

ARTUR NOWAK



KURIA

Prószyński i S-ka

ARTUR NOWAK

KURIA

Prószyński i S-ka

Copyright © Artur Nowak, 2026

Projekt okładki
Ilona Gostyńska-Rymkiewicz

Zdjęcia na okładce
© Your Choice/Adobe Stock
© Tatiana/Adobe Stock

Redaktor inicjujący
Michał Nalewski

Redaktor prowadzący
Anna Kubalska

Redakcja
Renata Bubrowiecka

Korekta
Katarzyna Kusojć
Bożena Hulewicz

ISBN 978-83-8391-422-0

Warszawa 2026

Wydawca
Prószyński Media Sp. z o.o.
02-697 Warszawa, ul. Rzymowskiego 28
www.proszynski.pl
kontakt@proszynskimedia.pl

WSTĘP

W jednym z warszawskich pałaców – tym z rokokową bramą i osobistym ogrodnikiem, ochroną i ekipą kuchenną – wieczorami odbywały się kolacje. Czasem z udziałem nuncjusza, czasem w szerszym gronie, z udziałem polityków. Gospodarz tych biesiad nazywał ich uczestników przyjaciółmi. Pewnego dnia na stół zamiast kolacji trafił list – anonim napisany dziecięcym pismem, z błędami ortograficznymi i opatrzony jakby dla ochrony słowem „Bóg”. List przyniósł przyjaciel, wysoko postawiony urzędnik. Jego autorem był chłopiec. Opisał, co działo się w kaplicy, do której nikt nie miał wstępu. Co mówił mu „książe Kościoła”, kiedy zabierał go z oazy „na modlitwę indywidualną”. List trafił do szuflady, a chłopiec – do szpitala psychiatrycznego. Biskup dalej rezydował w pałacu i gościł przyjaciół. Bo pałace kurii, jak się okazuje, mają dźwiękoszczelne ściany.

Kuria to zwieńczenie trylogii. Najpierw była *Plebania* – podróż po zapleczach polskich parafii, tych małych, niepozornych, gdzie życie toczy się w rytmie mszy, obiadów z ministrantami i półoficjalnych relacji z michałowymi lub „kuzynami”, a chłopca na godziny można łatwiej spotkać niż proboszcza z czystym sumieniem. W *Zakrystii* zabrzęczały pieniądze, miliardy znikające bez śladu. Pojawiły się przekręty, dotacje, dziwne fundacje, a wreszcie samobójstwa kapłanów, których nikt nie chce wyjaśniać.

Kuria to inna skala. To podróż po diecezjach, gdzie re-zy-du-ją biskupi, gdzie zakon nie służy Bogu, tylko wpływom, gruntom i dyscyplinie. Tu nie ma już chłopców z prowincji. Są doradcy medialni, włoscy sekretarze i kaplice lepiej wyposażone niż szpitale. Kardynałowie i arcybiskupi suną po marmurach wyściełających prywatne kopie Watykanu – z ogrodami, bibliotekami, kaplicami i sztabem pomagierów mających zadbać o piękne życie. Bo przecież każdy arcybiskup zasługuje na risotto w wersji bezglutenowej i adorację w wersji prywatnej.

Nie chodzi tylko o luksus. Chodzi o mentalność. Ten pałac to stan umysłu. Miejsce, w którym cisza jest strategią, a milczenie przemocą. Tu nie zapadają decyzje, tu są zawierane układy. A jeśli któryś z hierarchów ma jakąś niewygodną tajemnicę, rzucającą cień na jego biografię, to spodziewać się może raczej nowej rezydencji niż poważnego pytania o przeszłość. Tutaj ewangelia ubóstwa kończy się na bramie z rokokowymi wazonami, a dialog z wiernymi zaczyna się od rzecznika prasowego i kończy na wezwaniu policji.

W tej książce odwiedzam pałace biskupie nie po to, by się nimi zachwycić. Przeciwnie – sprawdzam, gdzie kończy się Kościół, a zaczyna dwór. Kto służy w kuriach, a kto rezyduje. Kto milczy i kto ten luksus umożliwia. I najważniejsze: kto za to płaci. Bo pałac biskupi nie jest wbrew pozorom samofinansującym się objawieniem. Rośnie na gruncie systemu, który działaniem bardziej przypomina korporację bez prezesa niż wspólnotę wiary.

Nie zamierzam w tej książce tylko oskarżać, ale nie chcę też jak inni przekonywać: „Trzeba zrozumieć”. Wystarczy już zrozumienia. Czas na dostrzeżenie problemu, na zdjęcie korony, skrócenie dystansu i postawienie kilku niewygodnych pytań: o bogactwo, o władzę, o przemoc symboliczną, psychiczną i cielesną. O to, dlaczego Jezus ze względu na swój strój nie miałby wstępu do żadnego z tych pałaców.

BÓG, BETON I BROSZURY: INTELEKTUALNA ZAPAŚĆ POLSKIEGO KLERU

Pisząc o polskim Kościele, trzeba koniecznie zatrzymać się przy osobliwym panteonie jego dostojników – tych z korpusu biskupiego i profesorskiego. To oni przecież budują polski Kościół, choć czasem wygląda on raczej jak makietka z kartonu i waty niż duchowa architektura. W tym gronie znajdziemy figury, które z powodzeniem mogłyby zdobić korytarze gabinetu osobliwości: mędrców od teologii stosowanej w polityce, kaznodziejów apokalipsy gender i specjalistów od eklezjalnego *savoir-vivre*'u rodem z XVIII wieku.

Mózgi biskupów – tak jak relikwie – są zazwyczaj dobrze zakonserwowane. Czasem tak dobrze, że nie dotarły do nich ani duch soboru watykańskiego II, ani nawet wiadomość o istnieniu internetu. Za to cytaty z katechizmu zespoliły się w nich z neuronami. Na każdą niewygodną opinię świeckiego, na każdą krytykę, na każde „a co z ofiarami?” w odpowiedzi werset z Listu do Rzymian. Ich myślenie przypomina grę w memory – zawsze ta sama karta niezależnie od pytania. Dialog? Tylko gdy rozmówca milczy. Teologia? Owszem, ale pod warunkiem, że nie chodzi o nic kontrowersyjnego. Na przykład: antropologia eucharystyczna w świetle godności kapłaństwa mężczyzny żyjącego w celibacie z lękiem przed światem. Ich doktoraty to często dzieła tak hermetyczne, że nawet Duch Święty musiałby znać łacinę i mieć indeks z KUL-u, żeby je zrozumieć. O postawie otwartej nie ma mowy – jedyna otwartość, którą okazują, to ta wobec własnych koterii i układów, jeśli tylko pachnie to awansem.

Zapytaj ich o papieża Franciszka, to spojrzą spode łba, jakbyś właśnie zaproponował legalizację marihuany w seminarium. Zapytaj o Benedykta

XVI – nagle rozjaśnienie, niemal wzruszenie, jakby mówiło się o kimś, kto „rozumiał liturgię i cywilizację Zachodu”. Ale powiedz cokolwiek krytycznego o Janie Pawle II – masz proces kanoniczny, ekskomunikę, a jeśli jesteś nauczycielem, wizytę kuratora i trzy katechezy pokutne z proboszczem w gratisie.

Wierzą w Logos, ale rozumieją go jako system cytatów. Operują pojęciami prawdy obiektywnej, upadku wartości i męczeństwa Kościoła, ale nie znoszą dyskusji, w której ktoś ma rację, zwłaszcza jeśli nie nosi mitry. Dla nich intelektualna pokora to herezja, a autorefleksja – pokusa szatana. Ich ulubiony czasownik? „Napominać”. Ulubiony rzeczownik? „Błąd”. I tylko jedno pytanie pozostaje bez odpowiedzi: co by zrobili, gdyby któregoś dnia zabrakło gender, ateizmu, laicyzmu i „ideologii ekologizmu”? Bez wrogów nie byłoby ich całej teologii, nie byłoby ich homilii, doktoratów, postów na Facebooku i debat w TVP. Zostałoby tylko echo. I ten cytat, powtarzany na wszelki wypadek, gdyby ktoś jeszcze słuchał: „Kościół jest w kryzysie, bo świat oszedł od Boga”. A nie – przypadkiem – od rozumu?

Trzeba przyznać, że jest to fascynująca galeria: ludzie, którzy z różańcem w jednej dłoni, a notatkami do habilitacji w drugiej przeszli z zakurzonej plebanii do złoconych apartamentów kurialnych, niekiedy pomijając w tej drodze zdrowy rozsądek, logikę, a czasem również fundamentalne zasady przyzwoitości. Niekiedy mają nawet doktorat z antropologii chrześcijańskiej, choć z człowiekiem nie mają zbyt dużo wspólnego. Choć, rzecz jasna, niektórzy biskupi i profesorowie odróżniają miłosierdzie od kodeksu karnego. Ale na tle tej instytucjonalnej przeciętności wyrastają egzemplarze niemal kolekcjonerskie: purpuraci jak z powieści Mrożka, teolodzy przypominający bohaterów *Procesu* Kafki i profesorowie – ich główna publikacja to zazwyczaj rozpaczanie nad światem, który zapomniał o Bogu.

Polski episkopat od lat spoglądał w przepaść, aż w końcu z wdziękiem nurka skoczył w nią na główkę. Ale nie do wody, lecz prosto w objęcia ojca dyrektora – samozwańczego pasterza narodowej duszy, medialnego barona z Torunia, doktora honoris chaosu Tadeusza Rydzyka. Bo jeśli ktoś się jeszcze łudził, że biskupi skupiają się wokół papieża w Rzymie, to powinien spojrzeć na mapę ich pielgrzymek. Kierunek: Radio Maryja. Cel przewodni: hołd. Forma: unizona. Treść: błagalna.

Tak, oto obraz nędzy i rozpaczy: episkopat, który nie broni ofiar, ale budżetu Rydzyka. Zamiast wyciągać konsekwencje wobec duchownych predatorów, całuje po rękach człowieka, który mówi, że „to przecież nie pedofilia, tylko prowokacja mediów”. A wszystko to w rytmie *Barki*, przerywanej audycjami, w których Żydzi są podejrzani, Niemcy winni, a Unia Europejska to Sodoma i Gomora w jednym pakiecie. Jak nisko trzeba upaść, by to Tadeusz Rydzyk stał się ołtarzem, do którego biskupi pielgrzymują z pobożnością godną średniowiecznych relikwii? Do jakiego stopnia trzeba zatracić instytucjonalny wstyd, by oddać ster Kościoła człowiekowi, który zbudował swoje imperium na strachu, niechęci do „innych” i betonowej odporności na etykę? Bo w istocie to nie Radio Maryja potrzebuje Kościoła, tylko Kościół potrzebuje Rydzyka. Potrzebuje jego mikrofonów, jego kamer, jego armii słuchaczek... Potrzebuje ich bardziej niż Ewangelii. A że wymaga to przymknięcia oka na antysemityczne insynuacje, na homofobiczne tyrady i na poklepywanie po plecach ludzi, którzy mieli „problemy z ministrantami”? Cóż, najwyżej odprawi się mszę w intencji oczyszczenia. Z win i z rozumu.

Tymczasem toruńskie imperium rośnie. Zbiera, rozdaje, zaprasza, wyklucza. Rydzyk stał się cenzorem, redaktorem, biskupem i papieżem w jednym. Episkopat można uznać już nie tyle za ślepy, ile po prostu zbędny. Bo kto dziś mówi do Polaków z ambony? Ojciec dyrektor. Kto układa listy lektur duchowych? Ojciec dyrektor. Kto wyznacza kurs na narodową świętość? Wiadomo.

Toruń – oto duchowa stolica oblężonej twierdzy, w której zasieki z paciorków i kropidła stoją w pogotowiu, a kazania przypominają wojenne rozkazy. W tej alternatywnej rzeczywistości Polska to kraj nieustannie zdradzany i napadany. Nie przez armię, ale przez znacznie gorsze siły: od czasu do czasu przez klimat, który zapewne uczestniczy w jakimś antychrześcijańskim spisku, ale głównie przez liberałów, ekologów, genderystów, feministki, LGBT. Innymi słowy, dziedziców zła, potomków masonów, duchowych synów bolszewików, wnuków Adama Michnika i – *last but not least* – siostrzeńców Lucyfera.

I właśnie Lucyfer odgrywa tu kluczową rolę. Bo bez niego cała ta wielka opowieść o duchowej wojnie, oblężonej twierdzy i apokaliptycznej misji Kościoła w Polsce po prostu by się rozpadła. Bóg? Jasne, jest gdzieś tam w tle – jako figura retoryczna. Ale to diabeł nadaje sens kazaniu, homilii,

felietonowi w „Niedzieli” i wykładowi z teologii moralnej. Gdyby Lucyfer nie istniał, trzeba by go natychmiast wymyślić. Bo kogo innego obwinić za spadek powołań, frekwencji i wpływów? Przecież nie siebie. Winni są zawsze oni – lewacy, Żydzi, ekologodzy i oczywiście ci od Netflixa.

Gdyby Jezus zjawił się dzisiaj w kurii, zostałby z niej wyrzucony za brak koloratki i zbyt długie włosy. Dla rezydentów kurialnych pałaców Ewangelia to dodatek do procedur, a krzyż to nie symbol ofiary, tylko insygnium władzy, złote ornaty i purpurowe pompony natomiast to mentalne relikty feudalizmu. Jak uważa Thomas Doyle, „piuska gasi rozum”. I rzeczywiście – to nie są już pasterze, to są zarządcy stadniny danieli na działce kupionej z bonifikatą 99%, z paśnikiem, do którego wstawili figurkę Marii tylko po to, by mieć święty spokój. Głódź, o którym mowa – generał, sołtys, multimilioner z błogosławieństwem Watykanu – to nie wyjątek. To twarz systemu. A właściwie jego gęba.

Polski biskup nie zna pokory. Zna tylko kontrolę, pokaz, rytuał, wydzielanie łask i pogardę dla słabych. Pycha to nie grzech – to metoda działania. A świętość? Świętość to PR, do załatwienia w dwa cudy i tysiąc punktów w katolickiej „Pedagogice”. No i te tytuły naukowe zdobywane w przedziwnych okolicznościach.

Wyobraź sobie, że jesteś młodym polskim teologiem marzącym o habilitacji. Proces ten jest długi, kosztowny i pełen biurokratycznych przeszkód. Ale oto pojawia się alternatywna możliwość: Słowacja. Tam, na Uniwersytecie Katolickim w Ruzomberku, procedura habilitacyjna jest znacznie prostsza i szybsza. Wystarczy przetłumaczyć swoją pracę doktorską na słowacki, uiścić opłatę (oficjalnie około 6,5 tysiąca złotych, nieoficjalnie nawet 8 tysięcy euro) i w ciągu kilku miesięcy można cieszyć się tytułem docenta, uznawanym w Polsce jako habilitacja. Z tej możliwości skorzystało wielu polskich akademików. W latach 2005–2016 w Słowacji habilitowało się łącznie dwudziestu ośmiu teologów z naszego kraju, głównie z Uniwersytetu Papieskiego Jana Pawła II w Krakowie (szesnaście osób) i Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego (piętnaście osób). Ta droga awansu naukowego była szeroko krytykowana: recenzentami prac habilitacyjnych byli Polacy z tytułami docentów ze... Słowacji, a więc bez odpowiednich kwalifikacji, a zdarzało się, że w zasadzie posługiwano się pracami doktorskimi obronionymi wcześniej w Polsce, bez dodatkowego dorobku naukowego.

Profesor teologii to postać osobliwa – pół duchowny, pół uczyony, a w całości oderwany od rzeczywistości. Jego naturalnym środowiskiem nie są parafia, klasztor ani nawet biblioteka. Jego habitatem jest biurko obrosnięte papierami zapisanymi jakimś niezrozumiałym scholastycznym językiem. Zasiada przy nim w todze z aksamitnym kołnierzem i krzyżem, którego nigdy nie zdejmuje – nawet podczas egzaminów z logiki. Ma zespół ludzi, którzy zwracają się do niego „księżu profesorze doktorze habilitowany”, a usta otwiera tylko po to, by wygłosić zdanie tak długie i zawikłane, że można by z niego zrobić różaniec.

Profesor teologii nie zna wątpliwości. W jego świecie wszystko jest jasne: kobieta nie może głosić homilii, ekologia to nowa wersja marksizmu, a katolik ma obowiązek głosić „jak trzeba”. Jego ulubiony sposób debaty? Cytat. Najlepiej z soboru trydenckiego. Jego największy lęk? Dialog z feministką albo – nie daj Boże – z księdzem, który zna francuski i czytał Karla Rahnera. Nie uprawia nauki, tylko ją cytuje. Nie zadaje pytań, tylko podaje odpowiedzi – zwłaszcza te, których nikt nie potrzebował. W jego dorobku znajdziesz arcydzieła takie jak *Moralna Arka Noego* Hugona ze św. Wiktora, *Zwierciadło zbawienia rodzaju ludzkiego*, bestseller późnego średniowiecza, i *Zwierciadło dziewic*, dedykowane mniszkom z alegoriami pokory, czystości i ikonografią dydaktyczną. Nikt tego nie czyta – nawet on. Nie prowadzi zajęć, lecz odprawia liturgie dydaktyczne. Z egzaminów studenci wychodzą nie z wiedzą, tylko z pokorą. W recenzjach prac magisterskich pisze: „Brakuje odniesienia do encykliki *Humanae vitae* i przypisu do mojej książki z 1997 roku”.

Gdyby Jezus pojawił się dziś na wydziale teologii, profesor zapytałby go najpierw o afiliację naukową i status habilitacji. Bo Ewangelia Ewangelia, ale czy Pan Jezus ma list rekomendacyjny od biskupa? Ksiądz Eligiusz Piotrowski napisał obszerną monografię o zmartwychwstaniu Jezusa, w której analizuje różnorodne interpretacje tego wydarzenia. To 871 stron potwierdzających jego teologiczny kunszt, wiedzę i odwagę. Co Piotrowski dostał w zamian? Trzy recenzje pełne ideologicznego bełkotu, strachu przed myśleniem i urażonych ambicji teologicznych aparatczyków. Zarzucono mu odejście od tradycyjnej teologii i skupienie się na analizie opisów zmartwychwstania zamiast na samym wydarzeniu. Nie podobało się, że Ewangelie to dla niego nie stenogramy z grobu Jezusa, tylko teksty historyczne, że cytuje Feuerbacha, że krytycznie czyta Ratzingera jako

jednego z wielu autorów, a nie jako Ojca Świętego, że pokazuje różnorodność myśli w chrześcijaństwie. Więc co? Kasacja i koniec kariery. Won.

Polska teologia to rezerwat dla tych, którzy wierzą, że cytat z Jana Pawła II to dowód naukowy. Tu habilitacja to nagroda za lojalność wobec episkopatu. I jakby tego było mało, cała ta zabawa odbywa się na uniwersytetach publicznych za publiczne pieniądze. Jakby ktoś urządził nam rekolekcje z doktrynerstwa i kazał jeszcze za nie płacić.

Gdyby Ewangelie pisały dzieci z przedszkola, prawdopodobnie brzmiałyby jak kazania biskupa Antoniego Długosza, człowieka orkiestry – dosłownie, bo śpiewa, tańczy, klaszcze, a wszystko w rytmie *Pana Jezuska*, który według niego chodzi z nami na wesele, mieszka w kredensie i odkurza sumienia w konfesjonale jak zelmer. Ten ciałkający się biskup znany jest głównie z programu *Ziarno*, czyli katolickiej wersji *Teletubisiów* z ambicją ewangelizacji. W kolorowej koszulce, z gitarą i roziskrzonym wzrokiem prowadzi w nim dzieci przez tajemnice wiary i choreografię do piosenki *Jezus kocha ciebie*. Dzieci skaczą, biskup śpiewa, a studio wiruje w rytmie łaski uświęcającej. „Dom to Kościół, stół to ołtarz, rodzice to kapłani, a dzieci to... chyba wierni, czasem niegrzeczni, ale od czego mamy konfesjonał – tę boską myjnię sumienia z zielonym światłem” – mówi Długosz głosem, jakby czytał bajkę o Złotowłosej, tylko zamiast misiów są święci i papież Franciszek, „nasz wspólny tatuś”.

Biskup Antoni Długosz zaskoczył wszystkich, porównując premiera Mateusza Morawieckiego do ewangelisty Mateusza, a ministra zdrowia Łukasza Szumowskiego do ewangelisty Łukasza. Według niego premier „pochyla się nad naszą egzystencją”, by żyło się nam lepiej, a minister zdrowia jest przedłużeniem czynów Jezusa, troszcząc się o nasze życie i zdrowie. W kontekście problemu pedofilii w Kościele stwierdził: „Kiedy ksiądz grzeszy, biskup wzywa go na rozmowę, upomina, wyznacza pokutę, po której, jeśli otrzymuje od księdza chęć poprawy, przebacza mu i daje szansę dobrego życia i duszpasterskiej pracy”.

W jednym z kazań z 2025 roku biskup Długosz zrekapitulował dotychczasowy dorobek episkopalnego lęku. Tym razem odpalił taki homiletyczny fajerwerk, że nawet archanioł Gabriel zrobił facepalm. Zaczęło się klasycznie: troska o ojczyznę, modlitwa za młodzież, a potem nagły skręt w stronę geopolityki, migracji i, oczywiście, lewackiego spisku.

Bo jak wiadomo, wszystko, co złe, pochodzi z Brukseli, Berlina albo z Instagrama. A najlepiej z trzech jednocześnie. „Pakt migracyjny to zamach na Polskę!” – grzmiał biskup. „Chcą nam zabrać suwerenność, sumienie i chyba jeszcze opłatek z wigilijnego stołu!” – można by dodać, gdyby nie fakt, że to już brzmi jak fragment oficjalnego komunikatu episkopatu. Dalej było tylko weselej: lewacka ideologia, aborcja, „zagrożenie tożsamości narodowej” i te wszystkie strachy, które regularnie śnią się polskim biskupom po obejrzeniu reportażu w TVN. I jeszcze ta dramatyczna puenta, że „lewactwo chce zabić sumienie Polaka”. Człowiek się aż zastanawia: może rzeczywiście gdzieś tam w ciemnej piwnicy Sorosa siedzi brygada antysumiennych zombi, która wyrusza nocą, żeby pod osłoną Netflixu mordować katolickie wartości?

Zapadło mi w pamięć jedno z kazań, w którym nasz dzielny pasterz zaatakował Donalda Tuska, głównego diabła brukselskiego piekła. Tym razem Długosz wsiadł na swojego retorycznego rumaka i pogalopował ogłosić światu, że demokracja walcząca to nie demokracja. Mimo że nikt do końca nie wie, co miał na myśli, brzmiało groźnie. A to się liczy. W jego narracji Tusk jawi się niemal jak szatan liberalizmu: uśmiechnięty, niemiecki, z piekielnym planem wyzwolenia Polski od tradycji, Kościoła i święconej wody. „On chce podporządkować wszystko sobie!” – grzmiał biskup, zapominając najwyraźniej, że przez ostatnie trzydzieści lat to raczej Kościół katolicki trenował tę samą dyscyplinę w wersji hard. Nie zabrakło też klasyki gatunku: działania Tuska to „atak na tradycję”, „zniszczenie wartości chrześcijańskich”, „zakwestionowanie autorytetu Kościoła”. Innymi słowy: ktoś wreszcie powiedział „nie” biskupom i włączył myślenie. Skandal.

Ale Długosz nie ustaje. Jak Gandalf z Radia Maryja z pastorałem w dłoni broni Polski przed tęczowym mrokiem, unijnym smokiem i Tuskowym potworem z Gdańska. I trzeba przyznać, że biskup to nie tylko duszpasterz. To polityczny performer pełną gębą, który jednym kazaniem potrafi wskrzesić PRL, ogłosić trzecią wojnę kulturową i zdiagnozować całe zło współczesności – zawsze z Tuskiem jako źródłem. Bo wiadomo: gdzie jest dwóch lub trzech zgromadzonych w imię demokracji, tam zaczyna się lewacka rewolucja.

Kolejny hierarcha w porównaniu z dziecięcym zapalem inkwizytorskim Długosza przypomina słonia. Nie tańczy, nie uśmiecha się. Od lat pełni funkcję religijnego tubylca partii rządzącej – duszpasterza w służbie narodowokatolickiego mitu, który z Ewangelią ma tyle wspólnego, ile marsz kiboli z procesją w Boże Ciało. W kazaniach biskupa Ignacego Deca Europa to Sodoma, Unia Europejska to szatański projekt, a LGBT – ideologia z piekła rodem. W jego teologii wszystko jest czarno-białe: PiS to apostołowie Chrystusa, opozycja to agenci diabła, a każda krytyka Kościoła – przejaw „lewackiej propagandy”. Wielkanocne kazania biskupa przypominają raczej przemówienia partyjne z lat pięćdziesiątych niż chrześcijańskie wezwania do miłości i pokory. Straszy islamem, broni partii władzy, lekceważy ofiary pedofilii. W 2020 roku publicznie podważał dane na temat nadużyć seksualnych w Kościele, sugerując, że media wyolbrzymiają problem, a przecież – jak stwierdził – „w każdej rodzinie zdarzają się słabości”. Czyli gwałt na dziecku to słabość?

Biskup Dec jednak nie jest wyjątkiem. Jest symbolem pewnego stylu bycia polskich hierarchów Kościoła: butnego, wsobnego, oderwanego od rzeczywistości, zblatowanego z władzą. Dec nie głosi Dobrej Nowiny. Jak wielu jemu podobnych myli ambonę z mównicą sejmową, a miłość bliźniego z miłością do sondażu. W istocie jego wypowiedzi są do tego stopnia upolitycznione, że brzmią jak ustępy z biuletynu partyjnego. To modelowy produkt polskiego klerykalnego chamstwa – połączenie bufonady i ignorancji z moralizatorstwem, a przy tym człowiek, który bardziej boi się tęczy niż krzywdy dzieci.

Gdyby Ignacy Dec nie został duchownym, spokojnie mógłby być sołtysem w którejś z zapomnianych przez Boga i Google wsi Dolnego Śląska. I to nie sołtysem z planem rozwoju gminy, ale z batem w rękę, notesem donosów w kieszeni i mszałem pod pachą. Rządziłby remizą jak psiarnią, wypuszczając wiejskiego stróża na trop każdego, kto nie uklęknie przed figurą Nepomucena lub – co gorsza – zagłosuje na „koalicję genderową”.

Tę mentalność idealnie oddaje jedno ze zdarzeń z 2019 roku, kiedy to biskup Dec w kazaniu z okazji święta Konstytucji 3 maja stwierdził, że „politycy PiS myślą jak Pan Jezus”, bo „chcą dobra człowieka, a nie jego zniewolenia przez liberalizm i ideologię gender”. W tej teologii władzy nie ma miejsca na wątpliwość, pytanie ani rozeznanie. Jest tylko jeden pasterz

i reszta stada. Myślą jak Jezus? A może raczej jak Władysław Gomułka – tylko w sutannie?

Kiedy Dec mówi o Europie, to z takim dramatyzmem, jakby właśnie odkrył, że Unia Europejska chce mu zarekwizować ornaty i zamienić je na tęczowe pelerynki. Straszy islamem, Brukselą, kobietami z Czarnych Protestów i edukacją seksualną. W porównaniu z jego retoryką nawet wiejski kabaret wydaje się subtelny. Bo tu nie chodzi o wiarę. Chodzi o kontrolę, o podtrzymanie układu, w którym biskup jak kacyk decyduje, kto zasługuje na sakramenty, a kto na potępienie, kto ma być pochowany przy parafialnym murze, a kto w rowie.

Przez lata zarządzał Świdnicą jak własnym folwarkiem twardą ręką i z mięką fobią przed liberalizmem. Jak sołtys, który nie ufa żadnemu obcemu, chyba że przyjedzie z Warszawy z legitymacją PiS i różańcem w ręku. Nawet gdy odchodził na emeryturę, zostawił po sobie kadrę wiernych pretorian – księży wychowanych na jego modelu: srogości bez głębi, moralizowania bez empatii, kaznodziejstwa bez Ewangelii.

Wyruszmy jednak w Polskę, trochę dalej na wschód, gdzie do niedawna biskup Antoni Dydycz stanowił kolejny prowincjonalny bastion klerykalno-narodowego betonu. „Nie donosimy, tylko zbawiamy dusze” – to jedno z symbolicznych zdań wypowiedzianych przez niego. Zwięzłe, brutalne i uczciwe w swej bezduszości.

Urodzony w 1938 roku Dydycz, kapucyn, ordynariusz w latach 1994–2014 diecezji drohiczyńskiej, był jednym z najbardziej konserwatywnych hierarchów polskiego episkopatu. Jego biskupia aktywność przypadła na czas przełomowy – epokę transformacji ustrojowej i medialnego rozliczania Kościoła z nadużyć. Ale Dydycz, zamiast reagować na te przemiany z refleksją, zamknął się w twierdzy ideologicznej, z której emanował twardym, nieprzejednanym tonem. W 2013 roku, komentując temat wykorzystywania seksualnego nieletnich przez duchownych, oświadczył: „Tajemnica spowiedzi nie podlega żadnym ograniczeniom. Nie można zmuszać księdza do zdrady tajemnicy sakramentu”, co było odpowiedzią nie tylko na rosnącą presję społeczną na tuszowanie tych przestępstw, ale i na próby ucywilizowania Kościoła. Dydycz – podobnie jak wielu jemu podobnych hierarchów – traktował milczenie w tej sprawie jako wyraz

wyższej duchowości, a nie współudział w przestępstwie. Nie mówił o ofiarach, nie mówił o winie, tylko o zdradzie i napaści na Kościół.

W świecie biskupów bowiem uprawniona krytyka Kościoła nie istnieje. Istnieją tylko atak, zdrada, „napaść inspirowana przez siły zewnętrzne”. Polscy hierarchowie nie pojmują, że można powiedzieć „dość” z miłości do prawdy, a nie z nienawiści do religii. Bo niby skąd mieliby się tego nauczyć? Na ich dworach otacza ich kler, który zależy od ich łaski jak średniowieczny wasal od seniora. Każde seminarium, każda kuria, każda parafia to folwark biskupi, w którym to władca decyduje, kto będzie proboszczem, kto wyjedzie na studia, kto dostanie suspensę, a kto pochwałę przy obiedzie. W takim systemie nikt nie powie prawdy. Wszyscy mówią to, co trzeba, całując pierścień i śmiejąc się z żartów o lewackim genderze.

Biskupi nie znają kultury sprzeciwu, bo nigdy nie musieli się z nią mierzyć. Ich formacja – intelektualna, duchowa, społeczna – oparta była na posłuszeństwie, zaufaniu hierarchii i przekonaniu o własnej nieomyślności. Krytyka? To przecież język świata, mediów, antyklerykałów. Poza tym Kościół nie może się mylić, bo znaczyłoby to, że trzeba go naprawić. A jak naprawiać coś, co jest z definicji święte? W takiej logice nawet milczenie o gwałcie staje się duchową cnotą, a nie hańbą. Bo ważniejsze od skrzywdzonych dzieci jest nienaruszenie sakramentu. Ważniejsze od uznania winy jest dobro instytucji. Ważniejszy od prawdy – wizerunek. Dlatego polscy hierarchowie nie rozumieją świata. Bo nigdy nie musieli żyć wśród nas.

Dydcz to reprezentatywny przykład tej mentalności. W kazaniach i wypowiedziach publicznych przywoływał stale te same wątki: „odradzający się duch narodowy”, „tradycja katolicka jako gwarant przetrwania narodu”, „upadek młodzieży przez liberalne media”. Podczas obchodów Święta Niepodległości w 2021 roku mówił, że przeszkodą w odrodzeniu narodu są „szkodliwe ideologie i zatruta edukacja”. To retoryka niemal niezmienna od lat dziewięćdziesiątych: obsesja na punkcie tożsamości narodowej, idealizacja historii, podpieranie się martyrologią i demonizacja wszystkiego, co nowe lub inne. Takie podejście pozwalało Dydczowi jawnie wspierać środowiska polityczne zbliżone do PiS i Radia Maryja.

W 2021 roku biskup zasłynął także inną deklaracją: protesty przeciwko „reformie” sądownictwa nazwał faszystowskimi, co było wręcz

groteskowym odwróceniem znaczeń, świadectwem kompletnego rozejścia się z rzeczywistością. Wsparcie Dydycza dla PiS-owskiej wizji państwa – narodowego, wykluczającego, podporządkowanego Kościołowi – uczyniło go jedną z figur klerykalno-politycznego symbionty. Mimo że od roku 2014 funkcjonował już jako biskup senior, w mediach katolickich (zwłaszcza bliskich Rydzykowi) wciąż był obecny jako głos „betonu” kościelnego – twardego, odpornego na dialog, przekonanego o swojej wyższości moralnej i historycznej misji.

Ale biskup Dydycz nie był tylko reliktem. Pisał kazania i listy pasterskie, a wszystkie jego wystąpienia stanowiły podręcznikowy przykład duchownego, który pomylił lojalność wobec instytucji z wiernością Ewangelii.

Hierarchowie potrafią też zaszkodzić fizycznie. Jednym z najgłośniejszych przykładów zaprzeczenia zdobyciom nauki i oderwania od realiów była wypowiedź arcybiskupa Andrzeja Dzięgi na początku epidemii COVID-19. W marcu 2020 roku wbrew zaleceniom sanitarnym i nawet stanowisku episkopatu hierarcha ten wystosował list pasterski do wiernych, zachęcający ich do ignorowania obostrzeń. Stwierdził w nim między innymi, że nie ma ryzyka zakażenia w kościele przez kontakt z sakramentaliami ani komunią. „Nie lękajcie się sięgać po wodę święconą. Nie proście o Komunię Świętą na rękę, przyjmujcie ją z rąk kapłana prosto do ust” – pisał Dzięga, dodając nawet: „Chrystus nie roznosi zarazków ani wirusów”. Argumentował, że woda święcona jest regularnie wymieniana, a diabeł się jej boi, co miało sugerować jej ochronne właściwości. I choć nawet duchowni podkreślali, że wirus przenosi się drogą kropelkową i podawanie komunii do ust stwarza niepotrzebne zagrożenie, to Dzięga bagatelizował konieczność dystansu społecznego, twierdząc: „Bóg jest ponad wirusem. Specjaliści niech szukają (...) pomocy medycznych, a my trwajmy w modlitwie. Dlatego świątynie pozostają u nas otwarte dla każdego”.

Kolejny kontrowersyjny krok Dzięga wykonał pod koniec 2021 roku, gdy w liście bożonarodzeniowym podziękował księżom za opór wobec restrykcji sanitarnych. Chwalił duchownych – używając języka charakterystycznego dla kręgów antyszczepionkowych – że nie ulegają naciskom segregacyjnym. Krytykował więc właściwie ograniczenia dla niezaszczepionych i wymogi sanitarne podczas kolejnej fali pandemii,

limity wiernych w kościołach oraz sens posiadania paszportów covidowych. W ten sposób hierarcha, utrwalając postawy antynaukowe w polskim Kościele, dał do zrozumienia, że stawia „wolność” ponad bezpieczeństwo zdrowotne.

Podobny brak zrozumienia sytuacji zdradzał biskup Wiesław Mering, który jeszcze jesienią 2020 roku, gdy w Polsce obowiązywały surowe restrykcje, nalegał na przykład na kontynuację tradycyjnej wizyty duszpasterskiej (kolędy) w diecezji włocławskiej, gdy wielu innych biskupów ją odwołało. Co znamienne, w liście pasterskim z listopada 2020 roku przyznał, że sam przeszedł zakażenie koronawirusem, przez co musiał żyć w izolacji. Mimo to jego wypowiedzi koncentrowały się nie na empatii dla ofiar pandemii, lecz na krytyce „wrogów Kościoła”.

Zarówno Dzięga, jak i Mering zasłynęli z ostrej retoryki (powiązanej z nacjonalistyczną) skierowanej przeciw osobom LGBT. Ich homofobiczne wypowiedzi wpisują się zresztą w tak zwaną krucjatę polskiego Kościoła przeciw „ideologii gender/LGBT”. Arcybiskup Dzięga w sierpniu 2019 roku wystosował list pasterski odczytywany w kościołach, w którym przedstawił trwające wówczas w Polsce marsze równości jako element zorganizowanego ataku na porządek moralny. Pisał o „falach” marszów LGBT rzekomo opłacanych z zewnątrz: „Falą idą przez Polskę, organizacyjnie zsynchronizowane, jakby odgórnie zarządzane, a prawdopodobnie i opłacane, spotkania i przemarsze”. Określał je jako przejaw pogańskiego bezbożnictwa w kontrze do Drogi Bożej Prawdy. Uczestnicy tych marszów, dodawał, „wołają o publiczne potwierdzenie prywatnego prawa do grzechu, i to ciężkiego grzechu sodomskiego”, a ich działania stanowią próbę „wprowadzania do szkół takiej edukacji najmłodszych”, co uznał za pogwałcenie prawa bożego i naturalnego. Innymi słowy, arcybiskup przedstawił ruch LGBT jako śmiertelne zagrożenie duchowe dla dzieci i społeczeństwa, wprost nazywając czyny homoseksualne grzechem sodomskim. Tego rodzaju retoryka – łącząca wątek spisku (marsze „odgórnie zarządzane” i „opłacane”) z odczłowieczeniem osób LGBT jako propagatorów grzechu – spotkała się z oburzeniem obrońców praw człowieka, którzy zarzucili hierarsze szerzenie nienawiści.

Ale Dzięga włączył się w działania zwalczające prawa osób LGBT. We wrześniu 2020 roku poparł obywatelski projekt ustawy „Stop LGBT”,

który między innymi zakazywał organizacji marszów równości. Z jego inicjatywy w parafiach archidiecezji szczecińskiej zbierano podpisy pod tym projektem. W liście do proboszczów na ten temat pisał, że ustawa jest „podyktowana troską o zachowanie ładu moralnego w polskich rodzinach, o bezpieczeństwo i zdrowy rozwój polskich dzieci i młodzieży”. Stał tym samym na czele diecezjalnej krucjaty propagującej ustawę powszechnie uznawaną za homofobiczną (dla porównania: nawet przewodniczący Episkopatu arcybiskup Gądecki odmówił jej poparcia w swojej diecezji).

Wiesław Mering również dał się poznać jako zagorzały przeciwnik LGBT. W głośnej wypowiedzi z sierpnia 2019 roku (dla Telewizji Trwam) bronił metropolity krakowskiego arcybiskupa Marka Jędraszewskiego, który kilka dni wcześniej nazwał przedstawicieli LGBT tęczą zarazą. Mering stwierdził wtedy, że Jędraszewski „nie powiedział niczego innego, niż powinien myśleć każdy normalny, zdrowy świecki, ksiądz czy biskup”. I dodał: „Jak możemy godzić się z tak chorą ideologią, jaką jest LGBT? Przecież Ojciec Święty Franciszek (...) mówił, że to jest coś tak chorego i coś tak niedobrego, czego jeszcze w historii nie było”. A więc Mering nie tylko nazwał ruch LGBT „chorą ideologią”, ale zasugerował, że każdy normalny człowiek powinien go potępiać – co *de facto* wyklucza osoby o odmiennych poglądach z grona „normalnych i zdrowych”.

W kolejnych latach język Meringa jeszcze się zaostrzył. W 2020 roku, komentując zdarzenia w Warszawie (zawieszenie tęczy flag na pomnikach przez aktywistów), publicznie nazwał osoby LGBT dewiantami. Ubolewał, że na Zachodzie „policja klęka w imię tej strasznej i chorej ideologii” LGBT, a odnosząc się do wydarzeń krajowych, mówił: „Dla wielu chrześcijan to, co się stało na Krakowskim Przedmieściu, jest obrzydliwe i wstrętne”. W innym wystąpieniu przestrzegwał wprost, że LGBT to „zagrożenie dla państwa, narodu i człowieka”. Tak ostre słowa, w tym nazwanie innych dewiantami, zostały uznane za przykład rażącej homofobii w dyskursie publicznym.

Warto zauważyć, że obu hierarchów – i Meringa, i Dziegę – łączy skłonność do wiary w teorie spiskowe w tej materii. Tak jak Dziega dopatrywał się zewnętrznego sterowania marszami równości, tak Mering w swoim wielkanocnym liście z 2021 roku pisał o „kłamstwie, bluźnierstwie i chorej ideologii wyznawanej przez agresywną mniejszość, roszczącej sobie pretensje do zawładnięcia kulturą i poglądami większości”.

Choć nie padł tam akronim „LGBT”, kontekst wskazywał na podobne „zagrożenia” ideologiczne. Tego typu wypowiedzi ilustrują skrajną niechęć hierarchów Kościoła do ruchów emancypacyjnych i uciekanie się do retoryki oblężonej twierdzy (Kościół kontra agresywna mniejszość). Wypowiedzi biskupów uderzały przecież również w ruchy na rzecz praw kobiet – co wielu odbiera jako przejaw mizoginii oraz oderwania od realiów społecznych – a broniły patriarchalnego *status quo*.

Dzięki w cytowanym już liście z 2019 roku jednym tchem potępił „czarne marsze” – czyli protesty kobiet przeciw zaostrzeniu prawa aborcyjnego – wraz z marszami równości. Napisał: „W tym duchu należy interpretować także postawy niektórych ochrzczonych, gdy (...) organizowane były różnego typu czarne marsze i demonstracje” – wiążąc je z „pogańskim” zagrożeniem symbolizowanym przez LGBT. Dla Dziegi zatem feministyczne protesty w obronie praw reprodukcyjnych stanowiły bunt przeciw bożemu prawu, wpisany w szerszą walkę kulturową. Uogólnienie to – sprowadzające gniew i lęk kobiet do „postawy ochrzczonych sprzeciwiających się Bogu” – zostało odebrane jako przejaw braku empatii i zrozumienia dla społecznych przemian. Zresztą biskup ten już w 2013 roku ostro krytykował programy nauczania o gender na Katolickim Uniwersytecie Lubelskim, uznając je za wpływy „skrajnej lewicy”, wymagające interwencji episkopatu.

Biskup Mering w ostatnich latach swojego urzędowania szczególnie mocno atakował Ogólnopolski Strajk Kobiet. W listach pasterskich i wypowiedziach publicznych malował obraz protestujących kobiet jako wulgarnych agresorów niszczących chrześcijaństwo. Pisał na przykład, że przed siedzibą biskupów we Włocławku zgromadziła się „agresywna grupa ludzi. Niektórzy nazywają siebie nawet... wierzącymi”, która przyniosła „wypisane hasła, wrzask, wulgaryzmy”. Zamiast wsłuchać się w głos tysięcy obywaterek, Mering przedstawiał protesty jako akt barbarzyństwa. W liście z listopada 2020 roku przekonywał wiernych, że muszą bronić kościołów przed uczestnikami Strajku Kobiet, bo „to machina, której celem jest zniszczenie chrześcijaństwa”. Twierdził wprost, że za protestami „stoją nieograniczone pieniądze, media nieszukające prawdy (...) a wreszcie »postępowi katolicy«”, sugerując szeroki spisek wymierzony w wiarę. Manifestantom zarzucił próbę „przeorania naszych sumień”, przeciw czemu wezwał do stanowczego oporu, co świadczy o skrajnej niechęci do ruchów

kobietych oraz braku refleksji nad źródłami społecznego gniewu. Zamiast spróbować dostrzec, że protesty były efektem poczucia krzywdy i strachu kobiet o swoje zdrowie i życie, Mering przedstawił je jako element wojny cywilizacyjnej finansowanej przez bliżej nieokreślone siły. Jego postawa to nie tylko przejaw mizoginii, ale dezawuowanie kobiecego głosu poprzez etykietowanie go jako histerycznej „mody na walkę z Kościołem”, z czego Mering był znany. Mering wielokrotnie atakował „gender” i inicjatywy równościowe (przypomnijmy na przykład list do rektora KUL-u w sprawie kursu „Gender: feminizm, *queer studies*, *men’s studies*”), a później jego postawa coraz bardziej odzwierciedlała mentalność betonu klerykalnego, dla którego ruchy na rzecz praw kobiet, edukacja seksualna i równouprawnienie płci to przejawy zepsucia moralnego lub spisku wymierzonego w Kościół.

Klerykalno-narodowy beton w polskim Kościele ma niestety wielu zwolenników. Twardogłowi członkowie tego skrzydła hierarchii mają swojego przedstawiciela – twórcę „teologii oblężonej twierdzy”, czyli arcybiskupa Marka Jędraszewskiego z Krakowa. To człowiek z doktoratem, profesurą, znajomością filozofii, którego dorobek naukowy jest na tyle duży, że mógłby uchodzić za intelektualistę, gdyby tylko chciał. Ale nie chciał. Wolał pozostać dumnym strażnikiem złotej klatki, w której „godność” biskupia zastępuje rozum, a retoryka – dialog.

Dla Jędraszewskiego „godność” nie jest próbą zrozumienia świata, lecz systemem alarmowym, który uruchamia się za każdym razem, gdy ktoś powie „prawa człowieka”, „zmiana klimatu” albo – nie daj Boże – „gender”. Jego język to nie język duszpasterza, ale oblężonego kaznodziei. Wydaje się, że między encykliką Piusa IX a najnowszym numerem „Naszego Dziennika” nie widzi żadnej różnicy. A może nie chce widzieć. Świat się zmienia? Tym gorzej dla świata.

W sierpniu 2019 roku Jędraszewski wypowiedział słowa, które przeszły do historii i podręczników propagandy: „Nie czerwona, ale tęcząca zaraza”. Arcybiskup miał na myśli osoby LGBT, które jego zdaniem próbują zawładnąć „naszymi duszami, sercami i umysłami”. Kazanie to odbiło się szerokim echem. Niektórzy nazwali je mową nienawiści, inni – duchową diagnozą cywilizacyjnej wojny. Jedno jest pewne: arcybiskup nie miał wątpliwości, że walczy ze złem, a nie z ludźmi. I jak już wszedł na barykadę, to z niej nie zszedł. Ruchy ekologiczne? Zbyt nowoczesne.

Feminizm? Groźba zburzenia porządku. W 2021 roku podczas nabożeństwa wielkopiątkowego porównał kobiety protestujące w sprawie aborcji z tłumem domagającym się śmierci Jezusa. Przypadek? Raczej logiczne następstwo w świecie, w którym wszystko, co nie mieści się w schemacie „Kościół – naród – rodzina”, to przejaw zdrady, zgorszenia lub działania Lucyfera.

W 2013 roku arcybiskup Józef Michalik – emerytowany prymas protekcjonalnego tonu – komentując skandale pedofilskie w Kościele, zasugerował publicznie, że dzieci... prowokują. Tak, nie pomyliłem się. Według Michalika dziecko szuka miłości, „ono lgnie (...). I zagubi się samo, i jeszcze tego drugiego człowieka wciąga”. Przeprosił potem za te słowa i uznał je za „niezręczność”. Ale każdy, kto próbował w Polsce prowadzić debatę o odpowiedzialności Kościoła, wie, że to nie są pomyłki językowe. To styl działania Kościoła, który już nie prowadzi wiernych, tylko ich sądzi. Który nie słucha świata, tylko go przeklina. Który nie uznaje, że może się mylić – bo jest przekonany, że ma rację. A przekonanie bierze się stąd, że taki osąd przeczytał we własnym kazaniu.

A jaki jest zwykły ksiądz?

Ksiądz z marmurowej plebanii to postać jak z polskiej kościelnej tragikomedii: właściciel złotego ornatu, osiemdziesięciu procent ofiar z pogrzebu i niepodważalnego autorytetu w zakresie... wszystkiego. Kiedy przyjeżdża nowy wikary, wie, że pierwszą rzeczą, jakiej się nauczy, będzie milczenie – najlepiej na stojąco, z rękami splecionymi z tyłu. Taki proboszcz nie rozmawia – on wydaje polecenia. Najchętniej o dwudziestej drugiej, wsuwając pod drzwi karteczkę: „6:00 msza, 8:30 spowiedź, 11:00 pogrzeb – przemówienie niepotrzebne”. Nie pytaj, nie dopytuj, nie myśl – przecież masz pełną lodówkę i ciepłą wodę, więc o co ci chodzi?

W kancelarii parafialnej taki ksiądz to pan i władca. Kiedy narzeczeni chcą ustalić datę ślubu, bada ich wzrokiem niczym laserem. Jeśli pan młody ma kolczyk, a panna nie chodzi do kościoła, włącza tryb ewangelizacyjny: „Na razie to może sobie pani święcić jajka, ale sakrament to nie w McDonalddie, dziecko”.

Przy ołtarzu to cesarz. W kazaniu lubi przywołać Jana Pawła II, sobór trydencki i projektować zagrożenia związane z cywilizacją śmierci. Homilię kończy apelem o pieniądze, „bo organy się sypią”, choć właśnie położył marmur w nowej zakrystii i kupił sobie ornat z haftem Matki Boskiej

Częstochowskiej i orłem w koronie. Jego ulubione słowo to „pokora” – zwłaszcza w odniesieniu do wikarych, ministrantów i siostry zakonnej, która ma przynosić mu kawę z mlekiem, ale nie za ciepłą, bo to „psuje refleksję nad ofiarą Chrystusa”. W kontaktach z kobietami świeckimi jest chłodny, a z kobietami konsekrowanymi – protekcjonalny. Jeśli któraś za długo mówi na spotkaniu dekanalnym, przerywa: „Wiem, co siostra chce powiedzieć”. O wiernych mówi „owieczki”, ale na ogół owce go denerwują. Szczególnie te, które pytają. Pytania są podejrzanym. Pytania oznaczają, że ktoś coś czytał. A najgorsze, co może spotkać księdza z marmurowej plebanii, to człowiek, który myśli – i jeszcze, nie daj Boże, coś czuje.

Taki proboszcz nie jest złym człowiekiem. Po prostu wie, że „Kościół się nie zmienia”. I że skoro przez trzy dekady nikt mu nie powiedział, że coś robi źle, to znaczy, że robi wszystko dobrze. A że wiernych mniej, powołań brak, młodzież odchodzi? To świat się pogubił, nie on.

I kilka obrazków z życia parafii: Starszy mężczyzna w kościele. Chce się wyspowiadać, ale ksiądz nie wpuszcza go do konfesjonału. „Nie dajesz na tacę? No to ja cię nie wyspowiadam”. Scena jak z kiepskiej komedii? Nie, to rzeczywistość nagrana w jednym z polskich kościołów i opublikowana w sieci. Gdzie indziej pies wszedł na teren kościelny, a ksiądz bez wahania zaczął go kopać. Znany duchowny Dominik Chmielewski skomentował sprawę bez ogródek: „Ten człowiek nie nadaje się na kapłana”. Ale Kościół, jak to Kościół, milczy. Co najwyżej przeniesie, co najwyżej uciszy. Sprawy nie wyjaśnia – zasłania się hierarchią, miłosierdziem i „potrzebą spokoju”.

Te incydenty nie są wyjątkami. To efekt działania systemu. Systemu, który rości sobie prawo do dominacji moralnej, a jednocześnie jego funkcjonariusze nie mają za grosz wstydu, pełni chciwości, przemocy i buty. Jak wskazuje profesor Stanisław Obirek, skojarzenia Kościoła z mafią nie są przesadzone:

My unikamy tego skojarzenia, ale rzeczywiście zmowa milczenia, omertà, która zwykle towarzyszy takim organizacjom przestępczym jak mafia czy Camorra, jest wyznacznikiem dość zaskakującym. Pani na pewno wie doskonale, jak trudno jest zaprosić do rozmowy księdza, nie mówiąc już o biskupach, którzy unikają jak ognia

normalnej rozmowy, mimo że są szalenie rozmownymi ludźmi. Chętnie wygłaszają kazania, piszą epistoły, ale prawie nigdy nie podejmują normalnej partnerskiej rozmowy.

I dalej diagnozuje ostrzej: „Dzisiejszy Kościół w Polsce, żądny władzy, zaszczytów i bogactwa, jest karykaturalnym tworem przypominającym strukturalnie armię, korporację, ale i mafię”.

Ten były jezuita nie przesadza. Wystarczy wczytać się w raporty i doniesienia. Księża odmawiający sakramentu, jeśli nie padnie „ofiara”, księża bijący, przeklinający, poniżający. Księża pasożyty – jak określił to jeden z komentujących – którzy Kościół zamienili w prywatny folwark. Czy ktoś jeszcze wierzy w ewangeliczne ubóstwo? W pokorę? W służbę? W miłość bliźniego? „Zamiast słów Jezusa – wyrachowanie. Zamiast miłosierdzia – księża, którzy rozliczają wiernych z wpłat. Zamiast duszpasterstwa – księgowość”.

Kiedy Kościół traci resztki moralnego autorytetu, pozostaje mu już tylko jeden mechanizm – zastraszanie i manipulacja. Straszanie „świętokradztwem”, manipulacja zbawieniem, grożenie piekłem. Cyniczna gra na emocjach ludzi często prostych, wierzących, ufnych. Ale na szczęście ta iluzja się rozpada. Bo gdy ksiądz odmawia spowiedzi, bo nie dostał na tacę, to nawet najbardziej wierzący zaczynają widzieć, że coś tu śmierdzi. I nie jest to zapach kadzidła.

JEZUICI: MIĘDZY DUCHOWOŚCIĄ A DYSCYPLINĄ, MIĘDZY TEATREM A TRAUMĄ

Poszukując rady, pomocy i może jeszcze jakiegoś duchowego drenażu, trafiłem do jezuitów już jako dorosły mężczyzna. Tak, tych od inteligentnych kazań i jeszcze inteligentniejszych spojrzeń spod brwi. Problem z alkoholem, który rzekomo miałem już za sobą, kierował moimi emocjami, zarządzał demonem wspomnień i nocnych pobudek. Bo, o czym się przekonałem, nie wystarczy przestać pić – trzeba jeszcze przestać udawać, że to rozwiązuje problem. Do tego natomiast potrzebny był mi ktoś, kto zamiast mówić: „Bóg cię kocha”, powie: „Masz syf w środku. Usiądź. Zobacz”.

Wtedy usłyszałem o rekolekcjach ignacjańskich w Falenicy. Tydzień milczenia, modlitw i – jak się szybko okazało – intensywnej konfrontacji z wewnętrzną orkiestrą żalu. Jezuita prowadzą to z gracją chirurgów polowych: minimum słów, maksimum precyzji, żadnych znieczuleń.

Najpierw oddajesz telefon. Dobrowolnie. Niby sam go wyłączasz i odkładasz, ale atmosfera przypomina trochę moment, w którym rekrut oddaje cywilne ubrania i z ulgą wkłada mundur. Albo kaftan bezpieczeństwa. A to dopiero początek. Potem dowiadujesz się, że przez cały tydzień nie wolno mówić. Serio – nie wolno. Żadnego „hej”, żadnego „dzięki za sól”, żadnego „długo jeszcze tej mszy?”. Cisza. Absolutna. Jezuita. Milczenie tak gęste, że można by je kroić nożem liturgicznym. Dzień przypomina harmonogram penitencjarnego sanatorium dusz. Pobudka o świcie (dla Jezusa, nie dla ciebie, ty tylko przypadkiem jesteś w tej historii), potem msza, cztery medytacje dziennie, rozmowa z kierownikiem duchowym, posiłki w ciszy i spacer po lesie w stylu „człowiek i jego traumy wśród mazowieckich sosen”. Medytacje

ignacjańskie? To nie żadna „chwila z cytatem” jak na Instagramie. To raczej egzystencjalna psychodrama z udziałem Ewangelii, wspomnień z podstawówki i niespodziewanej fali wyrzutów sumienia. Czytasz fragment Pisma, zamykasz oczy i nagle wszystkie twoje lęki i kompleksy ustawiają się w kolejce jak w przychodni NFZ, każdy z numerkiem, gotowy opowiedzieć ci, co myśli o twoim życiu. Czasem kontemplujesz mękę Chrystusa, czasem zmartwychwstanie, a czasem – dla urozmaicenia – przypowieść o bogaczu i wielbłądzie. Tyle że to ty jesteś tym wielbłądem, z garbem pełnym niezalutowanych spraw, próbującym precyzyjnie się przez ucho igielne własnego sumienia w korku emocjonalnym na autostradzie do wewnętrznej przemiany.

Jedyna okazja, by coś powiedzieć, to rozmowa z kierownikiem duchowym. Ale zapomnij o small talku. Wchodzisz do pokoju, siadasz naprzeciwko człowieka w sutannie, a on patrzy ci w duszę i pyta: „Co się działo na modlitwie?”. Nie: „Czy się udało?”, nie: „Czy ci się podobało?”, tylko co cię rozwalilo, co wyciągnęło ci flaki emocjonalne na stół. I próbujesz odpowiedzieć tak, żeby nie wyjść ani na egzaltowanego męczennika, ani na cynika z wypaleniem duchowym klasy premium.

Między tymi duchowymi jazdami masz czas na notatki. Ręczne. W zeszycie. Jak w podstawówce, zanim przyszła cywilizacja i Google Docs. Można płakać – to mile widziane. Można się wkurzać – jeszcze lepiej. Można milczeć z takim zaangażowaniem, że zaczynasz słyszeć, jak twoje jelita komentują *Psalms 51*. A wieczorem idziesz spać z nadzieją, że jutro może wreszcie Jezus przemówi... albo przynajmniej powie, co zrobić z tym wszystkim, co w tobie nagle zaczęło gadać.

Pod koniec tygodnia jesteś zmęczony jak po maratonie bez treningu, ale w dziwny sposób wdzięczny. Nie dlatego, że objawił ci się anioł z planem na życie. Bardziej dlatego, że po raz pierwszy od dawna nie uciekłeś przed sobą. I to, paradoksalnie, w towarzystwie ludzi, z którymi nie zamieniłeś ani słowa.

Milczenie. Biblia. Trauma. I jezuci. Brzmi jak żart, ale działa. Czasem człowiek musi zejść głęboko, żeby przestać się topić.

Jezuici zawsze mnie fascynowali. Interesowałem się nimi z wielu względów. Mówi się, że jezuita nie dojrzewa. On się wypieka – jak chleb albo ciasto w piecu rozpalanym modlitwą, posłuszeństwem i samotnością.

Tyle że nie przez godzinę, nie przez tydzień, nawet nie przez pięć lat. Wypiek jezuita trwa lat kilkanaście. Możesz w tym czasie zostać lekarzem, zmienić dwukrotnie ścieżkę kariery, zbudować dom i założyć rodzinę, a nawet kilka razy się rozwieść – a kandydat na członka Towarzystwa Jezusowego wciąż będzie tkwił na etapie duchowego zakwasu. Nowicjat? W innych zakonach trwa rok, u jezuitów – dwa lata. Dwa lata pełne milczenia, oddalenia i wyrzeczeń. Nie wolno uczestniczyć w ślubie brata. Nie pojedziesz na pogrzeb matki chrzestnej. Masz siedzieć, kontemplować i rozeznawać. Jeden z jezuitów wspominał, że gdy pewien nowicjusz poprosił o zgodę na udział w rodzinnej uroczystości, usłyszał: „Idź do kaplicy i przemyśl to z Panem Jezusem”. Przemyślał. Nie pojechał. Zakon to nie demokracja – to duchowe wojsko.

I to nie metafora. Ignacy Loyola, założyciel zgromadzenia, był żołnierzem – i pozostał nim w duchowej strategii. W *Ćwiczeniach duchownych* stwierdził, że zakonnik ma „wyrzekać się własnej woli”, „podporządkować się całkowicie przełożonemu” i „ufać, że białe jest czarne, jeśli tak mówi Kościół”. To nie modlitewnik. To instrukcja kontroli. Duchowej i psychicznej.

Zresztą życie Loyoli wyglądało jak scenariusz z pobożnej wersji *Gry o tron* – z mniejszą ilością seksu, a większą mistyki i kontuzji. Ignacy był baskijskim szlachcicem i żołnierzem, zakochanym w „czynie i honorze” jak bohater powieści płaszczka i szpady. Lubił kobiety, pojedynki i błysk zbroi. W 1521 roku w bitwie pod Pampeluną dostał kulą armatnią w nogę i to dosłownie uratowało Kościół. Leżał potem miesiącami z połamanymi kośćmi, które kazał łamać i łamać jeszcze raz, żeby dobrze wyglądać w rajtuzach rycerskich (bo jak wiadomo, świętość świętością, ale stylówka jest ważna). Podczas rekonwalescencji chciał czytać romanse rycerskie, ale w domu były tylko *Życie Chrystusa* i *Żywoty świętych*. Więc je zgłębiał. I zaczął sobie wyobrażać, że zostanie rycerzem Chrystusa, tylko że miecz zamienił na modlitewnik.

Po nawróceniu Ignacy miał epickie kryzysy sumienia. Uważał się za tak grzesznego, że godzinami wyznawał te same grzechy. Spowiednicy mieli go dość. Jeden powiedział mu wprost, żeby się ogarnął (językiem szesnastowiecznym oczywiście). Ignacy przeżywał też mistyczne wizje – i nie, nie po grzybkach, tylko z czystej kontemplacji. Potrafił zastygać na godzinę ze wzrokiem skierowanym w niebo, „czując Boga w każdej

rzeczy”. W czasie swoich duchowych eksperymentów w Manresie zachowywał się tak, że miejscowi uznali go za niebezpiecznego szaleńca. Chodził brudny, zarośnięty, jadł resztki i całymi dniami medytował w jaskiniach. Członkowie inkwizycji uznali, że jego „duchowość” może być heretycka. Przesłuchiwali go kilka razy, ale nic nie znaleźli. Po prostu Ignacy miał swoją duchową ścieżkę. Bardzo skuteczną, choć momentami przypominającą kurs survivalowy połączony z psychoanalizą.

Loyola uznał, że aby reformować Kościół, trzeba mieć solidne podstawy intelektualne, więc w wieku trzydziestu trzech lat poszedł do szkoły i siedział w ławce z piętnastolatkami. Pan z brodą w habicie, uczący się łaciny razem z dzieciakami, które robiły głupie żarty. A on to wszystko znosił, bo wiedział, po co tam jest (i pewnie miał najlepsze oceny).

Pierwszy plan Ignacego nie obejmował założenia zakonu. Loyola chciał po prostu zebrać kilku mężczyzn, którzy będą gotowi pójść wszędzie na wezwanie papieża. Bez klasztorów, bez zakonnych ślubów (na początku), bez nadęcia. Mieli to być tacy duchowi komandosi. Kiedy plan pójścia do Ziemi Świętej nie wypalił (bo Turcy), Ignacy z ekipą trafił do Rzymu i tam papież zatwierdził nowy zakon: Towarzystwo Jezusowe, które z czasem stało się najlepiej wykształconą, najbardziej zorganizowaną i... najpodejrzliwiej traktowaną wspólnotą w Kościele. Kiedy Loyola umierał w 1556 roku, jego współbracia chcieli wezwać lekarza i kogoś z Watykanu, ale on spokojnie powiedział: „Dajcie spokój. To tylko śmierć”. I umarł tak, jak żył – w skupieniu, prostocie i z planem gotowym do końca.

Co z tego zostało w jezuickiej formacji? Po nowicjacie są lata studiów filozoficznych (zazwyczaj trzy), potem tak zwana praktyka (praca duszpasterska, nauczanie, ewangelizacja), zgłębianie teologii (zazwyczaj za granicą). Święcenia kapłańskie nie kończą formacji, tylko otwierają nowe etapy: doktoraty, specjalizacje, nowa probacja. Trzydziestodniowe rekolekcje ignacjańskie w całkowitym milczeniu. Bez telefonu. Bez kontaktu. Tylko ty i Bóg. I twoje sumienie, które po tylu latach już nawet nie wie, czy jeszcze wolno ci mieć własne zdanie.

Pełne włączenie do zakonu następuje dopiero po piętnastu, dwudziestu latach. I nawet wtedy... jeszcze mogą ci podziękować. Śluby wieczyste są jak umowa na czas nieokreślony z klauzulą, że tylko jedna strona ma prawo ją zerwać – i to nie jesteś ty. Bo jezuita nie ma być mnichem. Ma być agentem – duszpasterskim, intelektualnym, misyjnym. Loyola nie tworzył

zakonu modlitwy. On tworzył armię duchową Kościoła kontrreformacji, która miała odzyskać dla Rzymu to, co zagrabili protestanci. Od początku jego zakonnicy szkoleni byli do polemiki, perswazji, infiltracji. Uczyli się języków, dialektyki, sztuki wpływu, by władać słowem jak szpadą. Jezuicki kaznodzieja miał przekonać, zastraszyć, poruszyć sumienia, ale nie dyskutować. Przeciwnika nie wolno było słuchać. Należało go rozbroić.

Stąd tak długa, tak szczegółowa i tak przemyślana formacja. Nie chodzi o świętość – chodzi o skuteczność. Zakon nie chce myślących. Chce skutecznych. Posłusznych. Gotowych rzucić wszystko i wyjechać do Afryki. Albo zostać kapelanem szpitala w małym miasteczku, bez prawa publikacji i głosu. Dziś forma może się zmieniać, ale mechanizm nie: posłuszeństwo jest ważniejsze niż sumienie. To dlatego jezuita wciąż wypiekają ludzi latami – bo kiedy już przejdą przez ten duchowy piec, będą ugniatani tylko przez ręce przełożonych. Znamy te historie. Ksiądz Mądel, który ośmielił się mówić o molestowaniu, został uciszony. Ojciec Piotr Matejski, który nie wytrzymał presji, odebrał sobie życie. W obu przypadkach zakon milczał. Bo mechanizm kontroli to nie tylko reguły. To także brak wsparcia, kiedy ktoś zaczyna pękać.

Wypiek jezuita to nie droga do świętości. To hartowanie narzędzia. Jeśli się złamiesz – byłeś nie z tej gliny. Jeśli przetrwasz – będziesz gotowy. Nie na Ewangelię, ale na misję.

Kim są jezuita, wyjaśnił mi mój przyjaciel Stanisław Obirek. Był w środku. Poznał układ. Przez wiele lat pełnił funkcję przełożonego. Zakosztował jezuickiego chleba, kadzidła, zakonnej hierarchii i specyficznego *savoir-vivre*'u tej elitarnej czarnej kompanii. A potem zdjął sutannę, odetchnął świeżym powietrzem i powiedział, jak było. Stanisław, chłopak z *pegeeru*, który poszedł do jezuitów z romantycznym przekonaniem, że Kościół to przestrzeń poszukiwania prawdy, szybko zderzył się z rzeczywistością przypominającą raczej zamknięty korporacyjny świat niż ewangeliczną wspólnotę. Jego opowieść to nie atak. To ciekawa *wiwisekcja*, czyniona z humorem, ironią i z wyraźną czułością dla wspólnoty, która dała mu wiele – i wiele odebrała.

Jezuici to zakon, który można kochać, nienawidzić, demonizować, ale nie da się go zignorować. Przez wieki jego członkowie byli „czarnymi papieżami”, intelektualną awangardą Watykanu, misjonarzami, agentami

wpływu, doradcami władców i królów, a także – o zgrozo! – redaktorami naczelnymi sumień. W filmach grają ich zwykle aktorzy w czarnych płaszczach ze zmrużonymi w wyrazie podejrzliwości oczami, choć w rzeczywistości najczęściej noszą swetry, piszą doktoraty i potrafią z pamięci cytować Kanta i Rahnera. Są demonizowani, bo zbyt mądrzy, zbyt niezależni. Bo mówią po francusku i angielsku, a nie tylko po łacinie. Bo czytają Marksa i Freuda, zanim usiądą do Tomasza z Akwinu. Bo jeden z nich – Pedro Arrupe – wymyślił „wiarę, która sprawiedliwością działa”, czyli teologię wyzwolenia. I nagle konserwatywny Kościół powiedział: „Hola, hola. Zbyt blisko biedoty, zbyt daleko od katedr”.

Kiedy papieżem został Jan Paweł II – syn konserwatywnego Wschodu – relacje z jezuitami ochłodziły się jak uczucia po trzydziestu latach małżeństwa. Pedro Arrupe nie był już mile widziany na audiencjach. Zamiast siedzieć w łoży, słuchał papieża pośród tłumu. To bolało. Tak kończy się rewolucyjny zapal w Kościele: chłodem bijącym z Watykanu.

Obirek potrafi opowiadać o tym bez żółci, z dystansem kogoś, kto widział strukturę od środka. Patrzy na jezuitów jak na dawnych kolegów z elitarnej szkoły wojskowej. Wie, kto miał rację, kto grał, a kto naprawdę wierzył. Wie, kto z kim pije kawę, kto pisze listy do nuncjatury, kto odgrywa pokutnika, a potem dzwoni do kardynała z sugestią: „Ten młody kleryk zbyt dużo czyta”. I choć nie chce do tego wracać, nie zapomina, a jego opowieść jest cennym świadectwem – nie o tym, jacy jezuita są dla świata, ale jacy są, kiedy zgasną światła, a sutanna wisi w szafie.

A może właśnie dlatego są tak demonizowani? Bo nie mieszczą się w prostym schemacie. Nie da się ich zamknąć w formule „ksiądz z ambony”. Oni myślą, piszą, uczą, wątpią i – o zgrozo! – mówią czasem rzeczy, które Kościół woli zamieść pod dywan. Są jak intelektualni komandosi – nie zawsze posłuszni, ale zawsze celnie punktujący to, co boli najbardziej. Przy tym wszystkim mają też ambicje, prywatne dążenia, ulegają kultowi intelektu. Zdarzają się samozachwyty, hierarchiczne gry, ulubieni uczniowie. Ale kto z nas jest bez grzechu, niech pierwszy rzuci brewiarzem...

Lubię te wszystkie teorie spiskowe o jezuitach. Że oto wyrosła w Kościele jakaś tajemnicza grupa, która ciągle musi się bronić przed mniej lub bardziej absurdalnymi oskarżeniami o zdradę czy powiązania z masonami. Że rządzi ona światem z za pleców papieża i w wolnych chwilach fałszuje

cuda. Brzmi absurdalnie? Owszem. Ale mity o jezuitach mają się świetnie jak teorie o płaskiej Ziemi i chipach w szczepionkach.

– Mit pierwszy: *Monita secreta*, czyli jak zostać duchowym Bondem

Zaczął się od paszkwilu. Jeden z byłych jezuitów – urażony, zawiedziony, zapewne pozbawiony dostępu do najlepszego wina w klasztorze – napisał *Monita secreta, czyli tajne instrukcje działania jezuitów*. Dokument ujawniał rzekomo, jak zakon uwodzi możnych tego świata, manipuluje sumieniami, podsłuchuje królów i spowiada ich z grzechów, by potem wykorzystywać te informacje do własnych celów. Czyli coś jak watykański odcinek *House of Cards*. Problem polega na tym, że to totalny wymysł, tekst napisany z zemsty i z nudów. Ale mit się przyjął, bo kto nie lubi dobrej historii o zakonnikach z sekretną agendą? Wersja *deluxe* mówiła nawet o jezuitach w przebraniu Żydów, masonów, a czasem – o nieba! – protestantów.

– Mit drugi: czarny papież, czyli facet w cieniu Watykanu

Generał zakonu jezuitów otrzymał tytuł czarnego papieża nie dlatego, że prowadził czarne msze (choć kto wie, co myślano w XVIII wieku), ale dlatego, że – rzekomo – miał więcej władzy niż papież biały. Ponoć pociągał za sznurki, wpływał na doktrynę, miał na usługach szpiegów i jednocześnie prowadził gimnazja z łaciną. Oczywiście w realu generał głównie pisał listy i prowadził zebrania formacyjne, co nie brzmi aż tak ekscytująco, ale ten mit ciągle żyje. Nawet gdy papież Franciszek – pierwszy jezuita na Tronie Piotrowym – zaczął reformować Kościół, niektórzy krzyczeli: „A nie mówiliśmy? Jezuita przejął wszystko!”. Jakby nie zauważyli, że Franciszek jest raczej szefem ekipy remontowej niż spiskowcem.

– Mit trzeci: uzdrawiacze trądu i fałszerze cudów

W pewnym momencie historii jezuita zostali oskarżeni o wywoływanie trądu – tylko po to, by móc potem cudownie uzdrawiać. Plan był prosty: najpierw epidemia, potem modlitwa, a na koniec oklaski i darowizny. Genialne posunięcie! I choć koncepcja ta bardziej przypomina scenariusz dziejącej się w średniowieczu telenoweli niż realną działalność duszpasterską, wielu ludzi w nią uwierzyło. A że zakon działał na całym świecie – od Chin po Amerykę Łacińską – łatwo było przyjąć, że w walizce oprócz Biblii jego przedstawiciele wożą też próbówki z zarazkami.

– Mit czwarty: zbyt mądrzy, by być prawdziwymi

Jezuici mieli jedną poważną wadę: czytali książki. I to nie tylko katolickie. Studiowali Arystotelesa, Kanta, Marksa, a potem jeszcze – na Boga! – psychoanalizę. Niektórzy więc znali więcej języków niż przeciętny proboszcz przepisów liturgicznych. A to wzbudzało niepokój. Bo jeśli zakonnik zaczyna mówić o dialogu z judaizmem i cytuje Freuda zamiast Ducha Świętego, to znaczy, że coś jest nie tak, prawda? Weźmy takiego ojca Stanisława Musiała, który który głośno mówił o chrześcijańskim antysemityzmie, przypominał, że przez wieki kazania o „bogobójcach” tworzyły klimat nienawiści, z którego wyrosła Zagłada. Przecież to jasne, że w Polsce nie wszystkim się to podobało. Nawet prymas Glemp dał do zrozumienia, że Musiał to taka piąta kolumna z krakowskim akcentem.

– Mit piąty, lokalny: księza od teatru, czyli jak zgubić ducha zakonności

W Polsce jezuici to nie tylko agenci Watykanu, ale... reżyserzy amatorskich spektakli i nauczyciele śpiewu. Bo przecież gdzieś trzeba było „pokazać działalność duszpasterską”. A że czasem śpiewacy fałszowali, a teatr przypominał kabaret – to trudno. Ważne, że coś się działo. Obirek pisze, że jezuici w końcu „ulegli kulturze sarmackiej”. I oto mamy zakon elitarny, który zamiast intryg prowadzi rekolekcje z gitarą, zamiast planować podbój Rzymu, szyje stroje na jasełka.

Obirek na początku też budził moje podejrzenia. Zastanawiałem się, czy może nie wypuścili go na chwilę w teren, do świeckich, żeby zbadał, co w trawie piszczy. Bo co to za przedziwna historia z tym jego powołaniem! Usłyszał wołanie Boga nie poprzez cud, nie poprzez nagłe nawrócenie, ale poprzez... sztukę, teatr. Grotowski. Kantor. Recytacja, gest, scena. Jakby Duch Święty zamieszkał w rekwizytorni Nowego Sącza i szepnął do młodego chłopaka zza kulis: „Chodź za mną”.

W *Wąskiej ścieżce* (wywiadzie rzece, który przeprowadziłem z Obirkim, a do którego sama Olga Tokarczuk dała nam zawstydzająco entuzjastycznego blurba) opowiedział mi, jak trafił do jezuitów, bo poczuł, że scena i liturgia mówią tym samym językiem – językiem symbolu, ciała, przekraczania codzienności. Nie poprzez zgiełk parafii, nie poprzez katechezę ani procesję, tylko poprzez sztukę. I tam, wśród ascetycznych ścian klasztoru, odnalazł coś głębszego: wspólnotę, która naprawdę myśli. Ludzi, którzy nie boją się pytań. Przestrzeń, gdzie mistyka spotyka intelekt, a wiara nie musi wykluczać wątpliwości.

Jezuitów z jego opowieści trudno nie podziwiać. Nie dla ich struktur, nie dla ich wpływów (choć i one bywają imponujące), ale dla odwagi mierzenia się z tym, co niewygodne. Dla duchowości, która nie zamyka się w „będzie dobrze, módl się więcej”, ale mówi: „Usiądź. Zanurz się. Rozeznaj”. Dla tego szczególnego mariażu rozumu i wiary, który stanowi esencję ignacjańskiego stylu życia.

Obirek, choć dziś poza Kościołem, nie pisze o jezuitach jak o wrogach. Przeciwnie – mówi z podziwem o ojcu Piechniku, którego spotkał jako humanistę w cywilnych ciuchach w willi pełnej książek i myśli. Wspomina ojca Musiała – proroka sumienia, który przeciwstawił się chrześcijańskiemu antysemityzmowi z odwagą, jakiej brakowało całym instytucjom. Wymienia też tych, którzy prowadzili rekolekcje, uczyli filozofii, czytali Freuda i świętego Ignacego równocześnie i nie widzieli w tym sprzeczności. To był zakon, który fascynował – właśnie dlatego, że był inny. Zamiast rytualnego klepania prawd – pytanie. Zamiast triumfalizmu – praca nad sobą. Zamiast gotowej odpowiedzi – rozeznanie, które boli i oczyszcza. Obirek wszedł w to jak w spektakl – z zachwytem, gotów oddać temu życie. Bo jezuita – najlepsi z nich – naprawdę uprawiają teatr najwyższej próby. Nie grają cudów – oni pokazują, jak głęboko trzeba zejść w siebie, by cokolwiek zrozumieć z Ewangelii. Dlatego ich demonizowano. Dlatego ich się bano. Bo nie pasowali do prostych ról. Nie przystawali do szablonu księdza, który wie lepiej. Bo jezuita, których pokochał Obirek, byli bardziej przewodnikami niż kaznodziejami. I dzięki temu zostają z tobą, nawet kiedy już nie wierzysz tak jak kiedyś. A ja, wchodząc w historię narolskiego dysydenta, też poczułem, że w tej całej opowieści o Bogu i Kościele jezuita to osobny rozdział. Może nawet osobna księga. Księga tych, którzy chcieli czegoś więcej niż posłuszeństwa. Którzy wierzyli, że myślenie to nie grzech. I że teatr – o dziwo – może prowadzić prosto do Boga.

W polskiej historii trudno znaleźć zakon bardziej wpływowy, kontrowersyjny i jednocześnie trwalszy niż jezuita. Ich powrót do kraju po kasacie w 1773 roku przypomina raczej scenariusz politycznego thrillera niż historię duchowej odnowy. A przecież zaczęło się od ignacjańskiej wizji duchowego ćwiczenia, walki z herezją i pracy misyjnej. W Polsce zakorzenili się już w połowie XVI wieku, a przez kolejne dwa stulecia rządzili: sumieniami, szkołami, ambonami, a niekiedy nawet polityką.

Kiedy ich w XVIII wieku skasowano, wielu odetchnęło. Ale czy rzeczywiście jezuita zasłużyli sobie na miano „tych, którzy zgubili Polskę”? Pamiętnikarze epoki stanisławowskiej mieli o jezuitach różne zdanie. Dariusz Rolnik pisał: „Ojcowie jezuita biją dobrze, ale uczą jeszcze lepiej” – i to jedno z charakterystycznych podsumowań stylu wychowawczego w kolegiach towarzystwa. Metody edukacji jezuita były bezlitosne: oparte na pamięciowej nauce łaciny, surowej dyscyplinie, codziennych ćwiczeniach duchowych i rygorystycznej ocenie postępów. W XVIII wieku jezuita prowadzili w Polsce około pięćdziesięciu kolegiów, w których kształcili elity szlacheckie i duchowieństwo. Ich uczniami byli senatorowie, biskupi, a także dworscy kaznodzieje. Wychowywali nie tylko ku cnocie, ale też ku uległości wobec autorytetu – zarówno duchowego, jak i świeckiego.

Ten model edukacji budził kontrowersje już w epoce oświecenia. Z jednej strony podziwiano dyscyplinę i jakość nauczania, z drugiej – oskarżano ich o tłumienie samodzielnego myślenia, oportunizm wobec moźnych i zamknięcie na postęp. W 1773 roku papież Klemens XIV pod naciskiem Burbonów skasował zakon jezuitów. Polska, znajdująca się już po pierwszym rozbiornie, przyjęła tę decyzję z mieszaniną ulgi i niepokoju. Z jednej strony znikali dominatorzy duchowej przestrzeni, z drugiej – powstawała luka w edukacji. I właśnie tę lukę wypełniła Komisja Edukacji Narodowej (KEN), pierwszy nowoczesny organ oświatowy w Europie. Co ciekawe – i co do dziś jest niechętnie przypominane – znaczna część kadry KEN-u składała się z byłych jezuitów. Na Litwie to właśnie oni reformowali szkolnictwo. Marcin Poczobutt-Odlanicki, były rektor jezuita kolegium w Wilnie, kierował Szkołą Główną Wielkiego Księstwa Litewskiego aż do 1799 roku. Inni eksjezuita pełnili funkcje wizytatorów, inspektorów, rektorów wydziałów. Wbrew legendom o jezuita sabotażu większość raportów z wizytacji potwierdzała wysoką jakość pracy byłych zakonników. Zresztą, jak pisano w źródłach litewskich, system akademicki KEN-u był dla nich „nową formą organizacji parazakonnej” i dzięki temu mogli dalej działać jako wspólnota.

Po trzecim rozbiornie Rzeczypospolitej, kiedy szukano winnych upadku państwa, jezuita stali się idealnym celem. Oskarżano ich o wszystko: o fanatyzm, serwilizm wobec Rzymu, o wspieranie absolutyzmu, zdradę oświeceniowych wartości, a nawet o demoralizację szlachty przez kazania

i panegiryki pisane dla magnatów. „Jezuici zgubili Polskę!” – głosiły broszury i emigracyjne pamflety. Pisali tak zarówno romantycy, jak Mickiewicz, jak i pozytywiści, jak Bentkowski i Krzyżanowski. Zakon był oskarżany o polityczne intrygi, o wciągnięcie Polski w niepotrzebne wojny z Moskwą i Szwecją, o wzniecanie prześladowań religijnych, o utrwalanie feudalnego porządku i tłumienie jakichkolwiek reform. Jędrzej Moraczewski w *Jezuicach w Polsce* z 1861 roku nie pozostawia suchej nitki na Towarzystwie Jezusowym: „Jezuici panowali przez swych uczniów i koadjutorów w rządzie, w sejmie, w kościele, w wojsku i w trybunałach”. Według niego to właśnie jezuicka dominacja duchowa i edukacyjna była „najgłówniejszą z przyczyn upadku Polski”.

Na te oskarżenia zareagowali sami jezuici, między innymi ksiądz Stanisław Załęski, który w monumentalnym dziele *Czy jezuici zgubili Polskę?* (1872) przeprowadził żmudną analizę zarzutów. Odrzucił je jako nieudowodnione, oparte na stereotypach i emocjach. Argumentował, że to właśnie jezuici mogli – i próbowali – być czynnikiem porządku moralnego w państwie zdominowanym przez anarchiczną szlachtę. Załęski uznał, że opinia publiczna została zmanipulowana przez liberalną i antyklerykalną propagandę, nieznającą realiów działania zakonu. Przypominał, że po kasacie to właśnie eksjezuici – bez środków, bez struktur – nadal uczyli i organizowali życie duchowe w Galicji, na Litwie i w Białorusi. Nie intrygowali, lecz ratowali.

Jezuici nie zniknęli. Ich duchowy i edukacyjny wpływ trwa do dziś. W XXI wieku prowadzą szkoły, uczelnie, rekolekcje, publikują książki i zakładają media, choć nadal jedni widzą w nich żołnierzy Chrystusa, a inni – politycznychmacherów w sutannach. Jedno jest pewne: nie da się o nich myśleć bez emocji. A w Polsce ich znane nazwiska nie tylko przywołują dzieje zakonu, ale często wręcz je uosabiają. Byli to nie tylko wybitni pedagodzy, teologowie i misjonarze, lecz także doradcy królów, reformatorzy nauki i bezkompromisowi żołnierze Kościoła.

Jeśli ktoś miałby być twarzą Towarzystwa Jezusowego w Polsce, to na pewno ksiądz Piotr Skarga (1536–1612) – kaznodzieja, dramaturg, ideolog kontrreformacji. Był nie tylko autorem *Kazań sejmowych*, lecz także nadwornym kaznodzieją Zygmunta III Wazy. Jego działalność publiczna to popularyzacja idei kontrreformacyjnych, nacisku na posłuszeństwo wobec władzy i zachęcanie do duchowego uzdrowienia państwa poprzez

przywrócenie jedności religijnej. Dla jednych to prorok, który przestrzegał przed anarchią szlachecką, dla innych fundamentalista, który marzył o katolickiej monarchii absolutnej. Skarga był też jednym z głównych organizatorów Akademii Wileńskiej, która przez wieki stanowiła bastion jezuickiego szkolnictwa w Europie Wschodniej.

Marcin Poczobutt-Odlanicki (1728–1810) – astronom i ostatni wielki rektor Akademii Wileńskiej w latach 1764–1808. Był ucieleśnieniem oświeconego jezuitę. Z jednej strony kierował kolegium, z drugiej – prowadził badania astronomiczne, korespondował z uczonymi z całej Europy i był członkiem Royal Society w Londynie. Po kasacie zakonu nadal zarządzał Szkołą Główną Litewską i zdołał nie tylko utrzymać, ale i rozwinąć system edukacyjny na ziemiach litewskich. Jego działalność pokazuje, że jezuita nie byli monolitem ideologicznym – łączył ducha katolickiego misjonarza z oświeceniowym praktykiem nauki. Jego los to również symbol ciągłości – po kasacie zakonu włączył się w prace KEN-u niemal bez szwanku.

Andrzej Boboła (1591–1657) – męczennik i święty „żołnierz Chrystusa”. Choć jego znaczenie polityczne było znikome, Boboła ciągle jest jedną z najbardziej rozpoznawalnych postaci zakonu. Pracował jako misjonarz na Polesiu i Wołyniu, gdzie nawracał prawosławnych, nie cofając się przed konfrontacją. Zginął w męczarniach z rąk kozackich w czasie powstania Chmielnickiego. Jego kult stał się narzędziem walki duchowej z prawosławiem i symbolem „męczeństwa za jedność Kościoła”. W XX wieku papież Pius XII ogłosił go patronem Polski i Litwy. Boboła to postać symbol: uświęcony mit walki o katolicką dominację, niezależnie od kosztów.

Franciszek Bohomolec (1720–1784) – reformator edukacji i komediopisarz. Łączył kapłaństwo z karierą pisarską i dydaktyczną. Uczył retoryki, redagował „Monitor”, czyli pierwsze czasopismo oświeceniowe w Polsce, pisał komedie obyczajowe, krytykujące sarmackie wady i zacofanie. Choć jako jezuita pozostał lojalny wobec zakonu, popierał reformy i rozwój racjonalizmu. Bohomolec reprezentuje nurt myślowy, który próbował pogodzić katolicką tożsamość z wartościami oświecenia.

Wspomniany już Stanisław Załęski (1843–1908) – apologeta zakonu i jego dziejopis. W epoce, gdy polska inteligencja odwracała się od Kościoła, Załęski bronił dobrego imienia jezuitów z pasją i talentem

historycznym. Jego czterotomowa seria *Jezuici w Polsce* to nie tylko zbiór źródeł, ale także polemika z liberalnym i pozytywistycznym antyklerykalizmem. W swoich pismach starał się obalić mit, że jezuici zgubili Polskę. Twierdził, że byli ofiarą politycznych projekcji, a ich rzeczywisty wkład w naukę i wychowanie był nie do podważenia. Był jednym z pierwszych, którzy zastosowali metodologię źródłową do obrony zakonu.

Ale ja i tak najbardziej lubię jezuicki humor, którego nie brakuje w tych wszystkich książkach. W osiemnastowiecznych kolegiach Towarzystwa Jezusowego edukacja miała wyraźny profil fizyczno-moralny. Jeden z uczniów wspominał: „Kiedy nie umiałem *declinatio latina*, prefekt oddał mi to, co winien byłem zapamiętać – przez kij na plecy. Była to edukacja głęboko zakorzeniona”. Piotr Skarga znany był z przenikliwego tonu, ale też kąśliwych porównań. W *Kazaniach sejmowych* pisał: „Wolność nasza taka, że pies uwiązany na smyczy większy pożytek przynosi niż pan poseł w sejmie!”. A w kwestii edukacji i dyscypliny moralnej wspominał: „Szkoła bez kary to piekło na ziemi. Chłopiec, który nie był karcony, wyrasta na obywatela... zbyt wolnego”. W dziewiętnastowiecznej niemieckiej publicystyce jezuitów porównywano do istot z mitologii. Cytowany przez Załęskiego profesor S. Hüppe pisał: „Ich organizacja przypomina budowę boa – spokojna, ale gotowa zmiążyć każdą samodzielną myśl”. Załęski w odpowiedzi notował: „Czy boa kształci młodzież i zakłada kolegia? Gdyby tak, Niemcy już dawno byłyby rajem”. Franciszek Bohomolec w sztuce *Małżeństwo z kalendarza* włożył w usta nauczyciela taki dialog z uczniem:

- Co to jest rok przestępny?
- Czas, gdy egzamin przesuwają się na po Wielkanocy, a uczniowie zyskują łaskę Bożą i jezuitę.

Bohomolec sam drwił z jezuickiego szkolnictwa, mimo że był jego częścią. Pisał o swoich kolegach: „Niektórzy ojcowie bardziej boją się gramatyki niż piekła, a uczniów karzą za błędy ortograficzne z większym zapalem niż za grzechy”. Andrzej Bobola, misjonarz na kresach, znany był z odwagi i... niezachwianej wiary w skuteczność łaciny: „Gdy diabeł opanował chłopca w okolicy Pińska, ojciec Andrzej kazał mu czytać po

łacinie. Zły duch podobno zwiął jeszcze przed koniugacją”. W broszurach z XIX wieku Towarzystwo Jezusowe staje się wręcz parodią samego siebie. Jeden z autorów ironizował: „Jezuici odpowiadają za upadek Polski, Turcji, Wenecji, a prawdopodobnie i Troi. Wpływ mają taki, że Rzym bez nich już dawno by upadł, a z nimi wciąż stoi. Jak długo jeszcze?”. Załęski nie pozostawał dłużny: „Zbyt wielu naszych historyków pisze tak, jakby jezuici chowali króla w lochach, karmili szlachtę opłatkami z arsenikiem i kazali biskupom układać układy z diabłem. Gdyby to była prawda, Polska powinna była zniknąć już w XVII wieku”. W jednym z osiemnastowiecznych katechizmów jezuickich znajdujemy pytanie:

- Co czynić, gdy ogarnia nas pokusa pychy?
- Należy przypomnieć sobie, że nawet Papież chodzi do spowiedzi.

Inny podręcznik logiki podaje przykład fałszywego rozumowania: „Jeśli ktoś twierdzi, że jezuici wszystkiemu winni, to zapewne winni też deszczowi w maju. Wniosek: nie wychodź z domu, bo może spotkasz jezuicką burzę”.

Ale niektóre historie jezuitów kompromitują – i to nie jako historyczny zakon, lecz strukturę wciąż działającą, karzącą, kneblującą. Wystarczy przypomnieć historię księdza Krzysztofa Mądla, jezuitę, który ośmielił się nie tylko mówić prawdę o Kościele, ale i o własnym doświadczeniu przemocy seksualnej, jakiej doznał od duchownego w młodości. Nie po to, by się skarżyć czy zaistnieć medialnie. Tylko po prostu, by nie kłamać. Zakon, który od wieków mówi o sobie jako o elitarnym laboratorium ducha i intelektu katolicyzmu, zareagował tak jak każda struktura zbudowana na strachu przed ujawnieniem własnych grzechów: represją. Mądel dostał zakaz wypowiedzi, zakaz publikowania, zakaz obecności w debacie publicznej. Nie został suspendowany, nie wydano go z zakonu – nie, to byłoby zbyt spektakularne. Zastosowano starą dobrą metodę: zamknąć, unieszkodliwić, zneutralizować. Nie przez krzyk – przez ciszę.

Bo właśnie cisza jest najskuteczniejszym narzędziem dyscypliny w Kościele. Głośno mówi się o miłosierdziu, a w zaciszu kurii i klasztorów doskonale ćwiczy się techniki psychicznej izolacji. Mądel nie był oprawcą. Nie był buntownikiem. Był tylko księdzem, który mówił, co myśli, i który – co gorsza – nie tracił przy tym wiary. Ale w Kościele, który lepiej znosi

ateistów niż uczciwych wierzących, to właśnie tacy stanowią największe zagrożenie. Nie chodziło o teologię, nie chodziło o poglądy, ale o kontrolę. Mądel złamał niepisaną zasadę: nie pierz brudów na zewnątrz. Tymczasem on nie tylko upomniał się o ofiary przemocy seksualnej, ale i odważył się powiedzieć, że jako młody człowiek sam padł ofiarą duchownego. To wystarczyło, by z człowieka Kościoła uczynić problem. Kiedy nie da się zwalczyć przekonania, knebluje się osobę.

To wszystko dzieje się kilka kilometrów od rezydencji arcybiskupa Marka Jędraszewskiego – symbolu duchownego betonu, który w swoim czasie organizował akcje wsparcia dla molestującego kleryków Juliusza Paetza. Symboliczne? Nie. To esencjonalne. W polskim Kościele ci, którzy bronią ofiar, są spychani na margines, a ci, którzy chronią sprawców – awansują. Zakon jezuitów nie jest tu wyjątkiem. Choć uważany jest za elitę intelektualną Kościoła, działa jak ciasna korporacja. Kiedy ktoś z własnych członków zaczyna przypominać o sensie sumienia, zostaje potraktowany jak zagrożenie. Traci dostęp do środków, do wspólnoty, do możliwości działania. Może zostać kapelanem, jeździć na rowerze do szpitala, może odprawiać msze w małej kaplicy, ale nie wolno mu mówić. Bo mógłby powiedzieć prawdę. A z prawdą struktury zbudowane na autorytecie mają zawsze kłopot.

Nie mamy tu dramatu zbuntowanego księdza, który zrzuca sutannę i pisze manifest. Jest człowiek, który pozostał wierny – Bogu, Kościołowi, sobie – i właśnie dlatego został ukarany. Mądla nie wyrzucono z kapłaństwa. Wystarczyło sprawić, by zamilkł. A zakon, który miał być wspólnotą sumień i rozeznawania, stał się – przynajmniej w tym wypadku – firmą zarządzania reputacją. A przecież to właśnie ignacjańska duchowość opiera się na pytaniu, na szczerości serca, na rozeznawaniu dobra, nie na ciszy i zgodzie. Jeśli zakon traci zdolność przyjmowania prawdy swoich członków, staje się wydmuszką duchowości, a wymagana w nim lojalność przypomina lojalność mafijną: nie wobec Ewangelii, ale wobec struktury. Historia Krzysztofa Mądla dowodzi, że nawet dziś polski Kościół boi się najbardziej nie radykalnych reformatorów, ale cichych świadków prawdy.

Mobbing, zależności, cisza. A pod tą ciszą zgnilizna, której smrodu nie da się już przykryć kadzidłem. Towarzystwo Jezusowe, którego członkowie przez wieki dumnie nazywali się żołnierzami Chrystusa, dziś coraz częściej przypomina zamkniętą strukturę posłuszeństwa. W tej strukturze zamiast

braterskiej wspólnoty panuje instytucjonalny chłód, a zamiast ducha rozeznawania – duch kontroli, przemilczenia i psychicznego rozbajania.

To nie są puste słowa. Stanisław Obirek opisał historię, która powinna wstrząsnąć sumieniem każdego wierzącego. W 2019 roku ojciec Piotr Matejski – zakonnik z wieloletnim doświadczeniem, wykładowca i duszpasterz – odebrał sobie życie na dziedzińcu klasztoru jezuitów w Nowym Sączu. Miejsce, które miało być dla niego domem, stało się sceną samobójstwa. I co zrobił zakon? Nic. Żadnej publicznej refleksji. Żadnego rachunku sumienia. Żadnej odpowiedzi. Tylko szybkie zamknięcie drzwi i cisza.

To nie był przypadek odosobniony. Obirek opisał też historię drugiego jezuitę, swego studenta Jacka Hubickiego, który w dramatycznych okolicznościach popełnił samobójstwo w Kłodzku. W obu przypadkach – jak podkreśla – zawiodło to samo: hermetyczne środowisko, w którym rozmowa o problemie oznacza zdradę, a słabość nie spotyka się ze współczuciem, tylko z podejrzliwością. Gdzie przełożeni są nie tyle duchowymi ojcami, ile administratorami losów innych, często bez kontaktu z ich cierpieniem.

Jak to możliwe, że zakon, który szczyci się przywiązaniem do intelektualizmu, tradycji Erazma z Rotterdamu, duchowości Ignacego Loyoli i służbą sumieniu, potrafi być tak obojętny na ból swoich członków? Obirek odpowiada brutalnie: w zakonach nie chodzi o rozwój, lecz o przetrwanie. A przetrwanie wymaga milczenia. „Empatia została zastąpiona zarządzaniem. Rozeznawanie – systemem. Sumienie – lojalnością”. I dodaje: „Kościół nie umie rozmawiać z ludźmi. Woli nimi zarządzać”. Ci, którzy próbują mówić, szybko poznają cenę tej decyzji. Płacą wykluczeniem, osamotnieniem, mobbingiem. Młodzi jezuitę, którzy zaczynają kwestionować autorytety, są natychmiast izolowani. Ci, którzy potrzebują pomocy psychologicznej, są traktowani jak nieprzydatni. A ci, którzy stają w obronie ofiar – jak heretycy. Wielu odchodzi. Coraz więcej. Cicho, bez rozgłosu, z bagażem wstydu i poczucia winy, że zawiedli Boga – choć tak naprawdę to ich zawiódł zakon.

To właśnie dlatego pytanie o to, dlaczego jezuitę odchodzą, jest dziś pytaniem o system. Nie o jednostki. O strukturę, która żąda całkowitego podporządkowania i w zamian nie daje nic. O wspólnotę, która żąda ofiary, ale nie oferuje wsparcia. O przełożonych, którzy potrafią recytować

Ćwiczenia duchowe z pamięci, ale nie umieją wysłuchać człowieka w depresji. I to nie Ignacy zawiódł. Zawiedli ci, którzy zamienili jego dziedzictwo w korporację duchowej uległości. Jeśli nie zmieni się nic, jezuita będą odchodzić nadal. I wtedy nawet najpiękniejsza retoryka o „duchu rozeznawania” nie przesłoni faktu, że w sercu zakonu, który miał służyć, wciąż bije chłód władzy i lęku. A gdzie rządzi lęk, tam Duch Święty już dawno nie mieszka.

W polskim Kościele nie brakuje opowieści o duchowym odrodzeniu za sprawą tego czy innego jezuita. Ale niektóre historie zaczynają się jak cud i kończą jak trauma. Jedną z nich jest historia duszpasterstwa prowadzonego przez jezuickiego charyzmatyka ojca Macieja Sz. Wspólnota, którą tworzył, miała być odpowiedzią na duchowe potrzeby młodych, a stała się strukturą przemocy i manipulacji.

Maciej Sz. był idealnym kandydatem na duchowego lidera XXI wieku: charyzmatyczny, uśmiechnięty, z ogniem w oczach i mikrofonem w dłoni. Prowadził rekolekcje, przyciągał tłumy, mówił z pasją o Bogu, Duchu Świętym i misji. Młodzież z duszpasterstwa Magis traktowała go jak mistrza. A on – jak wynika ze świadectw ofiar – traktował ją jak materiał do budowy własnego kultu. Jedną z członkiń tej wspólnoty, Nina, trafiła pod jego skrzydła jako osiemnastolatka. Miała szukać Boga, a znalazła dłoń Sz. na własnym ciele. Najpierw były słowa, potem przytulenia, w końcu „duchowe rozmowy” – i wszystko przeniosło się z salki katechetycznej do prywatnego pokoju zakonnika. On ubrany, ona naga, a nad nimi... krucyfik. Symbol nadziei, który w tej scenerii wyglądał jak niemy świadek gwałtu.

Towarzystwo Macieja działało jak sekta. Ktoś, kto do niego dołączył, miał przyprowadzić trzy kolejne osoby. I wspólnota zamykała się coraz bardziej. Emocjonalne uzależnienie, psychiczna tresura, izolacja od rodziny – wszystko pod płaszczykiem modlitwy i duchowego rozwoju. Podczas rekolekcji praktykowano gorące krzesło – godzinami wypominano sobie nawzajem wady i zalety. Maciej Sz. decydował, kto ma się spowiadać, kto może mówić, kto zasłużył na „dotyk łaski”. A potem były noce. Pociągi. Zakrystie. I dziewczyny – niewiedzące, co się dzieje. Bo przecież to był ojciec duchowy. Kapłan. Przewodnik. Święty. Pogubione, zmanipulowane, miały wrażenie, że robią coś złego. Że to one są winne.

Sprawa wyszła na jaw w 2023 roku po publikacji świadectwa jednej z ofiar. Potem odezwali się inni. Początkowo zakon jezuitów zareagował zdawkowo: komunikat, „czasowe odsunięcie”, lakoniczne zapewnienia o „procesie rozeznania”. Ale cierpienie rosło, a społeczność, która miała być wspólnotą Ducha, zmieniła się w duchowe więzienie. Wielu wciąż broni ojca Macieja. Bo był dobry. Bo mówił o Jezusie. Bo organizował piękne rekolekcje. Zresztą tak samo broniono duchownych, którzy przez lata krzywdzili pod pozorem opieki. Bo ofiary – jak zwykle – milczą zbyt długo, zbyt samotnie. Ale ta historia nie opowiada już tylko o jednym jezuitcie, lecz o systemie, który pozwolił mu działać. O Kościele, który uczy, że kapłan jest *alter Christus* – a potem nie sprawdza, czy ten Chrystus nie zamienia się w manipulatora.

Towarzystwo Maciejowe – jak nazywają je byli członkowie – to nie wspólnota. To relikw mentalności, w której charyzmat zastępuje sumienie, emocje zastępują rozeznanie, a krzywda jest pomijana, jeśli dokonuje jej „nasz człowiek”. I właśnie dlatego trzeba o tym mówić. Głośno. Imiennie. Bez kadzidła. Można jezuitów nie lubić za elitarność, za to, że zawsze mają jakieś cytaty pod ręką i znają różnice między koncepcjami Rahnera i Ratzingera. Można się ich bać – bo potrafią spojrzeć tak, że człowiek zaczyna się spowiadać, zanim zdąży usiąść. Ale wśród całego tego kościelnego karnawału sutann, ornatów i ambon wyglądają jak ktoś, kto przyszedł na przyjęcie w garniturze z literackich cytatów i właśnie popija espresso, zastanawiając się, co by na to powiedział Pascal. A ty nagle czujesz, że to może nie Bóg się do ciebie zbliżył, lecz na pewno przynajmniej ktoś, kto wie, że zadawanie pytań, na które nie ma odpowiedzi, ma sens. I że czasem to wystarczy.

Jeśli ktoś wciąż ma wątpliwości, że jezuitci to jednak fenomen, niech spojrzy na przypadek Stanisława Obirka, chłopaka z pegeeru, który został jezuitą, profesorem, redaktorem „Życia Duchowego”, człowiekiem renesansu. Studiował polonistykę i teatrologię, zna kilka języków – w tym niemiecki, angielski, łacinę i włoski, ale i hebrajski, a nawet rozumie jidysz. Uczył się też litewskiego, bo miał pracować na Litwie... Przetłumaczył teologię na język ludzi myślących i próbował rozmawiać z tymi, którzy z Kościoła dawno odeszli – z Kołakowskim, z Lemem, z poetami. Zamiast kazań oferował dialog. Zamiast potępiania – pytania. A że od jezuitów w końcu odszedł? To już tylko potwierdza regułę. Bo jezuitci nie są od tego,

żeby służyć instytucji. Oni są od tego, żeby ją nieustannie podważać. Gdy po wystąpieniu Obirka z zakonu kardynał Stanisław Dziwisz zadbał o to, by żadne katolickie uczelnie w Polsce nie mogły go zatrudnić, pomocną dłoń wyciągnął do niego nie biskup, nie zakonnik, lecz Stanisław Lem – ateista z klasą, który napisał, że jeśli nie ma gdzie się podziać, to zawsze może u niego zamieszkać.

CISZA I KAPLICA. ANATOMIA WŁADZY I MILCZENIA W POZNAŃSKIM KOŚCIELE

Poznań to miasto z charakterem. Twardym jak wczorajszy rogal i suchym jak uśmiech arcybiskupa Gądeckiego. Czy ktoś ten charakter lubi, to już inna kwestia. Poznań nie zabiega o sympatię. Nie wdzięczny się. Poznań stoi wyprostowany, z zaciśniętą szczęką, w lekko przyciasnym garniturze.

Zresztą garnitur to tu rzecz święta. Niewyprasowany, niewyjechany mankietem przez żelazko z funkcją parową – to jak obraz domowa. Mam czasem wrażenie, że w tutejszych elitach – wśród adwokatury, lekarzy i ludzi „nauki” (w cudzysłowie, bo wiedza w Poznaniu to często bardziej szyld niż zawartość) – obowiązuje jakiś rytuał inicjacji: połknięcie kija od szczotki. Im wyżej w hierarchii, tym kij dłuższy i twardszy.

Widzę ich oczami wyobraźni. Stoją przed lustrem w swoich willach na Sołaczu, pół godziny ustawiają muszkę, kolejne dwadzieścia minut doginają butonierkę do krzywizny klapy, a potem... szus! – w miasto, jak ze starej reklamy wody kolońskiej. Błyszczą buty, błyszczą łyśnieszki. Nawet zmarszczki wyglądają, jakby ktoś je wypastował. I tylko w oczach nuda. Wypłukana z lektur, z myśli, z emocji głębszych niż: „Czy tym razem Lech dociągnie do pucharów?”. Porozmawiać z nimi? Owszem, o wyższości diesla nad hybrydą, o ostatnich wynikach na korcie, o tym, że „ta nowa w Radzie to chyba z Krakowa, bo nie mówi »na dwór« tylko »na pole«”.

W Krakowie – gdzie elity są jak z innego świata – jest odwrotnie. Tam im ktoś mądrzejszy, tym bardziej niechlujny. Sweter rozciągnięty, spodnie jakby przeleżały w szufladzie z kotem. Buty niedopasowane, włosy jak po bitwie. Ale jak zaczynają mówić... o Schulzu, o Mahlerze, o Grzegorzku z Nyssy i jego koncepcji nieskończoności, człowiek siedzi i słucha jak zaczarowany. Bo ci ludzie może i nie wyglądają, ale mają czym myśleć.

A w Poznaniu? W Poznaniu wszystko wygląda. W tym mieście forma to fundament. Ale zawartość? Poznań jest jak mebel z płyty MDF: z wierzchu schludny, równe kanty, tylko nie próbuj wkręcać w blat za głęboko, bo się rozwarstwi.

W Polsce mawia się, że poznaniak trzy razy obejrzy złotówkę, zanim ją wyda. Samych poznaniaków irytuje ten stereotyp, ale coś jest na rzeczy. Porządek, czystość, punktualność, pracowitość to pozytywy, ale tuż obok: sztywność, chłód, brak otwartości. I jeszcze to przekonanie o własnej wyjątkowości. Wielkopolska to nie tylko kraina geograficzna, to mentalność. Tu nie lubi się przesady i nie znosi hipokryzji. Tymczasem w sercu Poznania, tuż obok katedry, trwa remont pałacyku. Oficjalnie to konserwacja zabytku, w rzeczywistości – przygotowanie rezydencji dla arcybiskupa seniora Stanisława Gądeckiego. Restauracja pochłonie kilka milionów złotych, ale nikt nie wie dokładnie ile. W końcu to Kościół. Nie ma obowiązku sprawozdawczości. Budynek – jednopiętrowy, skromny jak na biskupi standard – wzniesiono z inicjatywy biskupa Jana Lubrańskiego pod koniec XV wieku. To tu ma zamieszkać emerytowany arcybiskup z osobistym kapelanem, kuchnią, biblioteką, jadalnią, łazienkami i – oczywiście – prywatną kaplicą. Bo choć w katedrze obok jest kilkanaście ołtarzy, biskupowi należy się własne miejsce modlitwy. Zresztą to nic nowego. Tradycja możnowładców.

Arcybiskupi od wieków żyli jak magnaci. Najlepszym przykładem jest właśnie Jan Lubrański – postać z wielkopolskiego panteonu. Biskup, mąż stanu, fundator, budowniczy. Urodzony w 1456 roku, kształcił się na uniwersytetach włoskich i francuskich. Karierę zawdzięczał nie tylko wykształceniu, ale i koneksjom. Poparcie Jana Olbrachta otworzyło mu drzwi do biskupstwa płockiego, a później poznańskiego. Z czasem stał się kimś więcej niż duchownym – był reprezentantem interesów króla Zygmunta Starego w Wielkopolsce. Wzniósł seminarium duchowne, Akademię Lubrańskiego (prestżową uczelnię humanistyczną), rozbudował katedrę, dbał o drogi, wodociągi, życie kulturalne. Jego dwór uchodził za jeden z najważniejszych ośrodków renesansu w Polsce. Otaczał się elitą. Bywali u niego między innymi Piotr Tomicki, późniejszy biskup krakowski, absolwent Uniwersytetu w Bolonii, przyjaciel Erazma z Rotterdamu. Po tamtych czasach zostały biblioteki, dzieła sztuki, fundacje. Po współczesnych arcybiskupach coś zostanie?

Pałacyk przy Ostrowie Tumskim od lat był w opłakanym stanie, wymagał renowacji. Problem polega na tym, że efekt tej restauracji staje się jednocześnie symbolem – nie tyle troski o dziedzictwo, ile o wygodę jednego człowieka. Bo co znaczy w 2025 roku osobna kaplica dla arcybiskupa seniora? Gdzie kończy się duchowość, a zaczyna luksus? Jakie sygnały wysyła Kościół wiernym, gdy jego hierarchowie odchodzą na emeryturę do świeżo odnowionych rezydencji?

Poznań nie zapomina. Pamięta dobrze arcybiskupa Juliusza Paetza, protegowanego Jana Pawła II, któremu postawiono zarzuty o molestowanie kleryków, a który przez lata mieszkał tu, jakby nic się nie stało. Pamięta też jego poprzedników, na przykład Jerzego Strobę – człowieka zasad, organizatora, prymasa niepotrzebującego fleszy i PR-u, ale z rzeczywistym wpływem. To on odbudował struktury Kościoła w Szczecinie po wojnie, współpracował z partią tam, gdzie było trzeba, ale wiedział też, kiedy powiedzieć „nie”. W cieniu Paetza wydawał się świętym.

Stroba w czasie PRL-u załatwiał sprawy bez deklaracji politycznych, bez gestów pod publiczność. Kiedy trzeba było, budował kościoły, zakładał parafie, negocjował z władzą środki na inwestycje. Komuniści go szanowali, bo był skuteczny. W 1972 roku został pierwszym biskupem nowo utworzonej diecezji szczecińsko-kamieńskiej, wcześniej pracował u boku biskupa Wilhelma Pluty w Gorzowie. Gdy miał zostać biskupem krakowskim, władze PRL-u postawiły na Wojtyłę. Stroba pojechał do Poznania i tam już został.

Ale i on, jak wielu hierarchów tamtych czasów, nie zauważał problemów, które dziś wstrząsają Kościołem. „Wtedy nikt nie mówił o pedofilii” – tłumaczy mi jeden z księży. „A jak były jakieś podejrzenia o homoseksualizm, to się nie poruszało tematu. Trudno to było udowodnić, nikt nie chciał się wychylać”. Księży z problemami – szczególnie tych, którzy mieli dzieci – wysyłano za granicę. Czasem wyjeżdżali z własnej inicjatywy. Stroba nie robił przeszkód. Dziś Kościołowi w Poznaniu nie przewodzi odnowiciel, strateg ani teolog. Jego głowa po dwóch dekadach urzędowania wprowadzi się do wyremontowanego pałacyku z kaplicą. Pałacyku, który ma być azylem od pytań, trudnych spraw, ciężącej odpowiedzialności.

Poznaniacy są cierpliwi, ale nie ślepi. Wiedzą, ile kosztują takie remonty i kto za nie płaci. Nawet jeśli fundusze pochodzą z różnych źródeł – w tym

z państwowych i samorządowych dotacji na „ochronę dziedzictwa” – zadają sobie proste pytanie: czy naprawdę trzeba było aż tyle? Nie oczekują już wielkich biskupów na miarę renesansu. Ale nie chcą też hierarchów, którzy zostawią po sobie jedynie marmurową kaplicę w zabytkowym pałacu i opancerzony milczeniem mur wokół sumienia.

Arcybiskup Stanisław Gądecki przeszedł w polskim Kościele wszystkie szczeble kariery bez większego huku i z niemal bezbłędną precyzją stratega. Nie był błyskotliwy, nie był charyzmatyczny, nie był też – jak mawiają tu dyplomatycznie – blisko ludzi. Ale był. Trwał. I rósł. Nie przemawiał jak Rydzyk – nie było w nim tej zgrzebnej poezji PRL-owskiego megafonu. Nie miał też wojskowej buty Głódzia, który wszędzie wchodził jak do kantyny. Nie potrafił oczarować jak Ryś, który nawet herbatę pije pastoralnie. Mimo to przez lata był najpotężniejszym człowiekiem w episkopacie. Nie tym, który błyszczy, ale tym, który rozdaje karty.

W Watykanie go cenili, bo był przewidywalny. Przyszedł punktualnie, powiedział, co trzeba, nie zadawał pytań. W Polsce budził raczej szacunek niż sympatię. Chłodny, rzeczowy, posągowy. Taki, co to prędzej powie „zachowajmy milczenie” niż „porozmawiajmy szczerze”. Człowiek instytucji. Słupek graniczny doktryny.

Pytam więc ludzi z Kościoła, co on w sobie miał, że tak daleko zaszedł. Bo przecież nie był chamem jak Głódź, nie był aktorem jak Wojtyła ani – na szczęście – nie miał przestępczego życiorysu jak jego poprzednik Juliusz Paetz. „Dobry wyrobnik” – słyszę. „Solidny. Nikt się nie musiał za niego wstydzić. Nikt go o nic nie podejrzewał. Ani o zbrodnię, ani o natchnienia”. A poza tym trzeba mu uczciwie oddać: był wykształcony. Studiował, znał języki, czytał teksty źródłowe, cytował ojców Kościoła nie z bryków, ale z pamięci. Nigdy nie był duszpasterzem z powołania, raczej menedżerem ortodoksji. Człowiek, który wiedział, że Kościół to raczej maszyna niż wspólnota – i że ktoś musi trzymać klucz francuski, gdy innym marzą się aureole. A że teraz kończy karierę w świeżo odrestaurowanej rezydencji z osobną kaplicą – to już tylko konsekwencja jego życia. Bo Gądecki zawsze modlił się osobno.

Urodził się w 1949 roku w Strzelnie, wyświęcony został w 1973. Studiował w Rzymie, dobrze czuł się w watykańskich salonach. W 2002 roku objął Poznań po Juliuszu Paetzu, oskarżonym o molestowanie

kleryków (choć ten nie został usunięty z urzędu, tylko „złożył rezygnację”), ale nie był to wybór oczywisty. Gądecki miał posprzątać. Uciszyć burzę po jednym z największych skandali Kościoła III RP. I uciszył. Gdy później latami pytano go o Paetza, odpowiadał wymijająco. Gdy w Poznaniu Paetza wciąż widywano na oficjalnych uroczystościach, Gądecki milczał. Nawet gdy Paetz próbował wrócić do funkcji liturgicznych, nowy arcybiskup nie reagował z otwartą dezaprobatą. W odpowiedzi na domagania się księży, kleryków i świeckich publicznego oczyszczenia Kościoła apelował o roztropność. Przez niektórych był nazywany papieżem ciszy.

W 2014 roku został przewodniczącym Konferencji Episkopatu Polski. To wtedy na dobre objął stery polskiego Kościoła. A tak się złożyło, że właśnie w tym czasie zaczął narastać globalny kryzys związany z ujawnieniem pedofilii wśród duchownych. Watykan pod naciskiem opinii publicznej i ofiar rozpoczął reformy, a papież Franciszek wezwał episkopaty do działania. Gądecki też mówił o trosce o ofiary, o potrzebie oczyszczenia, o przejrzystości. Ale mówił głównie do Watykanu. W Polsce prezentował powściągliwość. Stosował milczenie.

Dla niego Kościół to przede wszystkim instytucja. A instytucją zarządza się jak urzędem. Trzeba zachować hierarchię, porządek, strukturę. Kiedy w mediach wybuchały kolejne afery – z Płocka, Krakowa, Gdańska – arcybiskup powtarzał, że nie można ulegać emocjom. Wolał pisać listy pasterskie, niż stawać przed kamerami. Nie chciał konfrontacji, nie szukał dialogu. Nawet z ofiarami przemocy seksualnej kontakt miał znikomy, czasem żaden. Wielokrotnie zarzucano mu, że nie rozumie obecnych czasów. Kiedy Kościół tracił młodych, Gądecki pozostawał wierny konserwatywnej linii. Zdecydowanie sprzeciwiał się wszelkim związkom partnerskim, edukacji seksualnej, konwencji stambulskiej. Po zamachu na Pawła Adamowicza milczał. Po Strajkach Kobiet wzywał do modlitwy. Po filmie *Tylko nie mów nikomu* braci Sekielskich napisał komunikat. Żadnej konferencji. Żadnej rozmowy z dziennikarzami. Żadnego gestu skruchy. Niektórzy księża – ci młodszy – mówią dziś o nim z niechęcią: „Jest jak cień. Zawsze obecny, nigdy niezaangażowany”. Starsi go szanują – bo „nie robił wstydu”. Ale nawet oni przyznają: to nie był człowiek epoki Franciszka. Bardziej Jan Pawła II niż Bergoglio. A może raczej urzędnik, nie prorok.

Po tylu latach arcybiskup Gądecki przechodzi na emeryturę. Bez szczególnego poruszenia. W mieście, które pamięta biskupów

budowniczych i organizatorów jak Stroba i Lubrański, Gądecki nie zostawił po sobie nawet kontrowersji. Tylko pałacyk. Remontowany za grube miliony, w którym – jak mówią duchowni – będzie miał wreszcie spokój. Z dala od kamer. Od pytań. Od ludzi. Tak jak lubi. „On nie lubi ludzi, zwłaszcza nieznanym” – mówi mi znajomy ksiądz, który przez kilka lat miał z nim styczność. „Najchętniej wystawiłby wokół pałacu wartowników, żeby nikt mu nie przeszkadzał”. Z kolei znajomy dziennikarz broni arcybiskupa: „Jak już musi z kimś spędzić parę godzin, potrafi naprawdę sensownie rozmawiać. Kiedyś byliśmy razem w samolocie, przez kilka godzin mówił otwarcie. O Kościele, o władzy, nawet o błędach. Tylko że to nie są rozmowy do mikrofonu. On żyje w ukryciu. Za murem. Tam czuje się bezpiecznie”.

Tomasz Cyłka opisał, jak arcybiskup urządził się na starość: wielkie przestrzenie, kuchnia, biblioteka, własna kaplica, pokoje gościnne – wszystko na miejscu. Mało kto zapyta, po co to wszystko, bo Poznań – choć lubi porządek – nie lubi się wychylać. Ale historia się o to upomni. Za dziesięć, dwadzieścia, pięćdziesiąt lat. Co po nim zostanie?

Po Lubrańskim: szkoły, biblioteki, kultura.

Po Strobie: parafie, kościoły, struktury.

Po Paetzu: remont rezydencji.

Po Gądeckim? Cisza i kaplica.

„Gadzina” – wspomina jeden z księży. „Dusigrosz. Ciągle chciał więcej. Każe zbierać, wysyłać, rozliczać. Ale jak się ma problem, nie ma czasu rozmawiać. Zawsze wystawia Balcerka”.

Grzegorz Balcerek to biskup pomocniczy, przez niektórych zwany pasterzem gniewu. Drobny, nerwowy, gorliwy. Gdyby mógł, przywróciłby w Kościele łacinę i zakaz palenia świeczek przez kobiety w spodniach. W październiku 2024 roku dał o sobie znać. W Kiekrzu wygłosił kazanie, które przeszło w okolicy do legendy. W homilii wygłoszonej podczas powodzi, która dotknęła południową Polskę, biskup Balcerek unosił głos nie tyle przeciwko wodzie, ile przeciwko „brudowi moralnemu”, który – jak mówił – „zalewa naszą ojczyznę, nasz naród”. Porównanie było dramatyczne i celowe. „Obok powodzi spowodowanej nadmiernymi opadami deszczu” – biadolili – „zalewa nas inna powódź. Powódź brudu moralnego. I tu potrzeba solidarności: modlitwy i ofiarnej postawy”.

Według hierarchy to właśnie „internet formujący myślenie i zachowania ludzi na niespotykaną dotychczas skalę szerzy pornografię, rozwiązłość, grzechy nieczyste przeciw naturze człowieka”. W jego kazaniu padały hasła rodem z broszur wydawanych przez ultrakonserwatywne wspólnoty. Dziewictwo według niego jest ośmieszane, życie w celibacie – negowane, niewierność – pochwalana, małżeństwo – „rozbijane”, czystość – „deptana”.

Znajomy adwokat – człowiek dobrze ustawiony, z koneksjami – wzdycha, kręci głową i mówi mi to, co wielu myśli, ale nikt nie powie głośno: „Po takich kazaniach jak Balcerka i kontaktach z mumią jak Gądecki... choćbym bardzo chciał, nie potrafię się przemóc, żeby tych błaznów zapraszać na jakiegokolwiek uroczystości. Ani rodzinne, ani publiczne. No po prostu się nie da”. A po chwili ciszy dodaje: „Unikam, z tymi ludźmi nie ma o czym rozmawiać”. To nie są już duszpasterze. To są urzędnicy obłędu. Ludzie z innej planety. Jakbyś rozmawiał z człowiekiem, który ma ci tłumaczyć sens życia, ale najpierw musisz się przebrać w togę z XVII wieku i udowodnić, że nie masz Spotify.

Nie jestem zaskoczony. Balcerek nie rozmawia z ludźmi – on głosi, osądza, grozi. Ma kaznodziejską manierę mówienia, jakby brał udział w konkursie na najbardziej dramatyczne porównanie roku. Woda to już nie żywioł. To moralna zaraza. Internet to Sodoma w wersji cyfrowej. A kobieta bez stanika pod zakietem – znak bestii. W tym całym teatrze poznańskiego Kościoła jest jak postać z niezrealizowanego scenariusza *Młodego papieża* – tylko bez ironii i estetyki.

Kiedy rozmawiam z jednym z księży, który znał Balcerka, zanim przywdział mitrę, słyszę zrezygnowany ton: „On kiedyś taki nie był” – wzdycha. „Czasem tak już jest, że starasz sobie jakoś zracjonalizować, że żyjesz w kłamstwie, w świecie, który nie ma sensu. No i wtedy kombinujesz tak: mój świat, niezmienny, trwa we mnie. Jestem wybrańcem. Cała reszta zwariowała”. To nie tylko ucieczka. To psychologiczny pancerz. Tyle że pod tym pancerzem kryją się lata milczenia, wybielania, współdziału. Bo czyż biskup Balcerek nie pamięta rąk, które kładły się na jego głowę w czasie konsekracji? Czy naprawdę nie wie, że były to ręce skażone? Że Juliusz Paetz molestował przez lata kleryków często pod jego nosem? Czy nie przypomina sobie biskupa Stanisława Napierały, który był współkonsekratorem w trakcie tej uroczystości, a dziś wspominany jest

gorzko – bo zarządzając diecezją kaliską, nie wszczął postępowań kanonicznych przeciwko księżom oskarżanym o wykorzystanie seksualne małoletnich, choć o sprawach wiedział? Czy Balcerek nie pamięta własnego podpisu złożonego pod oświadczeniem w obronie Paetza, którego wizerunki dziś usuwa się po cichu ze ścian katedr? Którego imię Kościół woli wypowiadać szeptem – jeśli w ogóle? Być może biskup woli nie pamiętać. Być może „świat zwariował” – jak mówi. Ale być może to nie świat, tylko on odleciał w przestrzeń urojeń o moralnej czystości jego Kościoła.

„Od pewnego czasu rozpowszechnia się w różnych środowiskach naszej archidiecezji zniesławiające opinie o naszym Pasterzu, Arcybiskupie Juliuszu” – tak zaczynał się list, który wiosną 2002 roku trafił na biurka duchownych w całej archidiecezji poznańskiej. Dalej było już tylko mocniej: „Zdajemy sobie sprawę, że niektórzy mogą ulec tej wielce szkodliwej propagandzie, która godzi w dobro Kościoła poznańskiego. Dlatego my, biskupi pomocniczy i dziekani – jako najbliżsi współpracownicy Księdza Arcybiskupa Juliusza – pragniemy wyrazić słowa zaufania, solidarności i głębokiego oddania dla naszego Pasterza...”. List wyglądał jak akt jednomyślności. Jak deklaracja środowiska duchownych, które pomimo pojawiających się zarzutów o molestowanie kleryków i młodych księży stało murem za swoim metropolitą. Ale w kularach kurii i seminariów wrzało. „To był szok. Myśleliśmy, że biskupi pomocniczy pokażą arcybiskupowi lustro. Że powiedzą mu: dość. Ale zamiast tego podpisali się pod jego linią obrony” – mówi jeden z księży kurialnych, prosząc o zachowanie anonimowości.

Jak ustaliłem, zanim do podpisania listu zostali poproszeni dziekani, dokument był już gotowy. Opatrzony nazwiskami najbliższych współpracowników Paetza: biskupów pomocniczych i członków ścisłego kierownictwa kurii. To oni stworzyli atmosferę, w której odmowa poparcia brzmiała jak zdrada. Ale nie wszyscy ulegli presji. W gronie duchownych znalazł się jeden, który miał odwagę się wyłamać. Ksiądz Romuald Niparko, wikariusz biskupi do spraw katechizacji, nie tylko odmówił podpisania oświadczenia – złożył także rezygnację z funkcji. Jego list był ciosem dla Paetza i świadectwem moralnego sprzeciwu wobec strategii kurii:

Przez długi czas [tę sprawę] pokrywało głucho milczenie mające sprawić wrażenie, jakoby się nic nie stało. Reakcje w formie pisemnych oświadczeń, które pochodzą od współpracowników Waszej Ekscelencji, noszą niestety znamiona klasycznej manipulacji. Tymczasem istnieje przeświadczenie, że mamy tu do czynienia z naganną rzeczywistością (...). Porusza to głęboko środowisko seminaryjne, szerokie kręgi duchownych i świeckich archidiecezjan, a także wiele osób spoza archidiecezji.

To był moment pęknięcia – choć dla opinii publicznej wciąż wszystko wyglądało na zamknięty mur lojalności. Trzech biskupów pomocniczych (Zdzisław Fortuniak, Marek Jędraszewski i Grzegorz Balcerk) podpisało list bez wahania. Balcerk – dziś zasiadający w episkopacie jako reprezentant twardej konserwatywnej frakcji – nie miał, jak się zdaje, żadnych wątpliwości. Wystąpił nawet jako promotor tej formy agitacji: osobiście przekonywał proboszczów, by złożyli podpisy pod dokumentem. „Niektórzy z nas nie chcieli. Ale nacisk był silny. Baliśmy się, że odmowa zostanie odebrana jako nielojalność wobec Kościoła” – mówi inny z poznańskich duchownych. W ten sposób wewnętrzny dramat został przykryty deklaracją solidarności. I tylko nieliczni, jak ksiądz Niparko, zdecydowali się zapłacić cenę za czyste sumienie. Kilka miesięcy później Paetz złożył rezygnację z urzędu metropolity poznańskiego – Watykan uznał ją „z powodów zdrowotnych”. Ale podpisy zostały. I pamięć o tych, którzy milczeli, też.

Biskup pomocniczy z Poznania ma problem z krewniakiem. I to nie taki, że zniknął po obiedzie bez podziękowania, ale taki, że po prawomocnym wyroku za przestępstwa seksualne wobec dziecka krewniak postanowił zniknąć z kraju.

Ksiądz Mateusz Napierała, dyrektor domu księży emerytów pod Poznaniem, krewny biskupa Grzegorza Balcerka, usłyszał wyrok: półtora roku więzienia za kilkakrotne doprowadzenie trzynastoletniego ministranta do poddania się innej czynności seksualnej. Zamiast jednak udać się do zakładu karnego, duchowny przepadł. Zniknął tak skutecznie, że nawet jego samochód – porzucony pod domem dla księży emerytów – wyglądał jak element scenografii w filmie noir. Policja rozważała, czy uciekł za granicę. Kościół milczał. Miasto mówiło o tym szeptem. Bo Poznań to nie tylko

rogale świętomarcińskie i barokowa fasada fary. To również sieć powiązań, lojalności i zmywy milczenia, które przez lata pozwalały Kościołowi działać ponad prawem. Napierała nie był wyjątkiem – był tylko kolejną twarzą systemu, który zawiódł.

Gdy ksiądz w końcu pojawił się w sądzie, by złożyć wniosek o odbycie kary w systemie dozoru elektronicznego, było już za późno na negocjacje. Został zatrzymany i przewieziony do więzienia. Tyle że to dopiero początek historii. Bo sprawą zainteresował się Watykan, a archidiecezja poznańska musi się teraz tłumaczyć nie tylko ze skandalicznego przestępstwa, ale i z tego, jak długo jeszcze duchowny odprawiał msze.

Ta historia jak wiele innych podobnych mówi więcej o Kościele w Poznaniu niż wszystkie wygłaszane w nim kazania. I więcej o samym mieście – gdzie z jednej strony młodzież maluje murale o równości i sprawiedliwości, a z drugiej w cieniu katedry trwają układy starsze niż demokracja.

Ale wróćmy do „gadziny”.

W archidiecezji wielkopolskiej pieniądze od lat płyną cienką strużką, ale za to wydatki rwą szerokim strumieniem. A że z gotówką w Kościele krucho, w lutym 2024 roku arcybiskup Gądecki przypomniał ludowi, że Wielki Post to nie tylko czas duchowej refleksji, ale i... daniny. „Każdy wierny – w miarę swoich możliwości – zobowiązany jest do troski o potrzeby wspólnoty Kościoła”, napisał. Czytaj: daj, ile masz, a najlepiej więcej.

Tymczasem wśród wikarych krążą inne wersety. „Kanonია wygląda jak nowa. Ta cała termomodernizacja to po prostu hasło pod wielki remont, żeby arcybiskup miał jak w Hiltonie – nowe podłogi, odnowione ściany, schody jak z katalogu luksusowych wnętrz. Oczywiście wszystko za pieniądze wiernych”. I jeszcze: „Wzmacniali nawet stropy! Bo przecież arcybiskup ma księgozbiór jak średniowieczne skryptorium. Tysiące opasłych tomisk. Trzeba było to wszystko zmieścić w budyńeczku, który do tej pory bardziej przypominał wiejską plebanię niż pałac myśli biskupiej”.

No i dobrze, niech sobie czyta. Tylko że jeśli w świecie ktoś o Gądeckim słyszał, to raczej jako o ciekawostce przyrodniczej, a nie duchowym przywódcy. W porównaniu z takimi konserwatywnymi fighterami jak kardynałowie Raymond Leo Burke i Gerhard Ludwig Müller Gądecki to raczej typ ciszej łkającego kontestatora. Tęskni za nowym Janem Pawłem

II, ale nie wali w stół, nie grzmi z ambony – raczej popłakuje w kącie z oczyma utkwionymi w jakąś opasłą księgę wzmacniającą strop.

Tylko raz zebrał się na akt odwagi. Na początku 2022 roku postanowił dać o sobie znać, wystosowując do przewodniczącego niemieckiego episkopatu biskupa Georga Bätzinga „list braterskiej troski”. Braterskiej – ale z pazurem. Usiłował przybrać pozę mentora i pouczyć Niemców, że ich „droga synodalna” prowadzi do teologicznej katastrofy, organizacyjnego chaosu i społecznej anarchii. Na tym nie koniec, bo Gądecki, jak przystało na starszego ucznia z ministranckiego internatu, pobiegł z donosem do papieża. „Proszę, proszę, Ojczy Święty – Niemcy psują Kościół!”. Jakby w Watykanie nie mieli większych zmartwień. Ten jego list, brzmiący jak kazanie z salki katechetycznej, wywołał w Niemczech jedynie wzruszenie ramion. A w Polsce? U nas przeszedł bez większego echa. Bo kto by dziś czytał arcybiskupa, nawet jeśli stropy wzmacniano, by jego mądrości się nie zaważyły.

Gdy arcybiskup Gądecki zasiada do pióra, by wystosować list do papieża Franciszka, nie robi tego w duchu pokory ani dialogu. Raczej jak ktoś, kto właśnie przyłapał sąsiada na paleniu kadzidełek, podczas gdy w jego domu od lat tli się dym pożaru – tyle że spod dziecięcych kołderk i sutann. W szeroko komentowanej reformie, nazywanej drogą synodalną w Niemczech, biskupi zza Odry starają się odpowiedzieć na kryzys wieloletnich nadużyć seksualnych wśród duchownych. Reagują na cierpienie ofiar, na konieczność reform, na wołanie sumienia i społeczeństwa. Proponują zmiany. I to takie, które w Polsce – krainie wiecznego klerykalnego komfortu i hasła „Bóg, honor, ojczyzna” wypisanego złotem na kurtynie dymnej obłudy – są nie do pomyślenia. Ale Gądecki nie odczytuje tego jako próbę uzdrowienia. On widzi rewolucję. I to nie taką, jaką przynosi Ewangelia – z miłosierdziem, empatią i troską o małych. To według niego rewolucja inspirowana „ideologiami lewicowo-liberalnymi”. Jakby każde słowo o kobietach, władzy, celibacie i moralności było z automatu marksistowską prowokacją.

Nie byłoby w tym nic nadzwyczajnego – ot, jeszcze jeden głos konserwatywnego hierarchy z kraju, w którym 95 procent spraw dotyczących pedofilii w Kościele nigdy nie trafia do sądu. Ale reakcja z zachodniej granicy była jak cios między oczy. Georg Bätzing, przewodniczący niemieckiej konferencji biskupów, odpowiedział

Gądeckiemu listem, który czyta się jak podręcznik obnażania hipokryzji: „Jest to – proszę pozwolić, że powiem otwarcie – bardzo niesynodalne i niebraterskie zachowanie”. Bätzing nie przebiera w słowach. Zarzuca Gądeckiemu gwałtowność, fałszywe i nieprecyzyjne stwierdzenia. Ale co ważniejsze – uderza w sedno: w mentalność obłądzonej twierdzy, która zamiast zmierzyć się z własnym grzechem, woli oskarżać innych o herezję. I wtedy pada zdanie, które powinno zapaść Gądeckiemu w pamięć jak refren psalmu żalu: „Takie pomysły należą po prostu do sfery zawitych teorii spiskowych”. Oto jak Niemcy widzą polski episkopat: nie jako braci w wierze, lecz jako pogubionych kaznodziejów spisków, którzy potrafią jedynie oskarżać, moralizować i unikać odpowiedzialności. I jakby tego było mało, Bätzing dorzuca sarkastyczne zdanie, które powinno spalić na czerwono twarz każdego hierarchy w Polsce: „Chciałbym się od Was nauczyć, jak radzić sobie z systemowymi przyczynami tysięcy nadużyć, które musimy dostrzec tutaj w Niemczech, w Polsce, ale także na świecie”. To już nie tylko riposta – to policzek i prośba. Bo Bätzing dobrze wie, że w Polsce ignorujemy systemowe przyczyny. Ukrywamy fakty i tuszujemy przestępstwa.

To właśnie arcybiskup Gądecki w 2019 roku, zamiast rozmawiać o systemowym problemie wykorzystywania dzieci przez księży, mówił o „cierpieniu duchownych” i „ataku na Kościół”. To on przewodniczył Konferencji Episkopatu, która długo nie potrafiła nawet wypowiedzieć słów „przepraszam”. To jego podpisy widnieją pod komunikatami, które bardziej niż troską o ofiary przepełnione są troską o reputację instytucji. Ale najśmieszniejsze – i najsmutniejsze zarazem – jest to, że człowiek, który przez lata nie potrafił posprzątać we własnym ogródku, próbuje dzisiaj uczyć Niemców, jak uprawiać teologię i moralność. Próbuje im mówić, czego „nie wolno”, choć sam reprezentuje episkopat, którego moralny kompas wygięty jest w kierunku tuszowania zbrodni i zaklinania rzeczywistości. Jakby złodziej pouczał bank w kwestii zasad zabezpieczania sejfów.

W istocie list Gądeckiego nie był ani synodalny, ani braterski, ani choćby roztropny. Był jak wołanie z ciemności człowieka, który boi się światła. Bo kiedy światło pada na polski Kościół, widać nie świętość, lecz kurz, gnój i cień dziecięcych ofiar. A niemiecki biskup – spokojnie, ironicznie, ale

bezlitośnie – powiedział tylko: „Nie uczcie nas Kościoła, dopóki nie zrobicie porządku z własnym piekłem”.

No to rozłóżmy na czynniki pierwsze, jak radzi sobie arcybiskup Gądecki z jednym z najpoważniejszych kryzysów Kościoła – skandalem wykorzystywania seksualnego nieletnich. Spoiler: nie radzi sobie wcale. Ale za to ma dużo do powiedzenia – głównie w obronie siebie, swoich kolegów i w wiecznym ataku na „zgniły Zachód”. Historia z księdzem pedofilem z diecezji Gądeckiego to klasyka polskiej szkoły tuszowania. Prokurator Paweł Ciesielczyk z Chodzieży zażądał kościelnych dokumentów dotyczących nadużyć. Odpowiedź? Został „powstrzymany przez przełożonych” – bo przecież nie będziemy ruszać spraw świętych instytucji. Druga próba? Sędzia Katarzyna Orzeł, która nie dała za wygraną, gdy sprawa trafiła do sądu. Gądecki wtedy wypalił: „Akta? Wysłałem do Watykanu. Kopii nie mam” – jak uczeń, który oznajmia, że oddał pracę domową psu, a że ten ją zjadł, nie może jej już pokazać. Ale sędzia nie dała się zbyć. Postawiła ultimatum: albo Gądecki dobrowolnie wyda dokumenty, albo zapłaci karę, a policja przeszuka siedzibę kurii. I co zrobił metropolita? Nic. Totalnie nic. Dokumentów nie pokazał. Ani oryginałów, ani kopii, ani żadnej kartki, choćby z notatnika. Zresztą, jak relacjonuje „Gazeta Wyborcza”, sędzia miała uzasadnione podejrzenia, że Watykan dostał tylko kopie, a oryginały leżą spokojnie w tajnym archiwum kurii, może obok porcelanowej figurki Matki Boskiej i krzesła, z którego nie wolno korzystać, bo kiedyś przysiadł na nim Karol Wojtyła.

W 2021 roku Gądecki zabrał głos, ale nie w celu przeproszenia, wyrażenia współczucia ofiarom. Po prostu rozplakał się nad losem swoich kolegów biskupów, którym Watykan wymierzał kary. Bo jakże to tak? Pedofil wychodzi po pięciu latach z więzienia i może żyć sobie z *carte blanche*, a biskup, który mu pomógł wszystko ukryć, traci funkcję! Gdzie tu sprawiedliwość, gdzie równość, gdzie empatia dla duchowieństwa? Gądecki nie krył, że jego zdaniem Kościół przesadza z karaniem hierarchów za „niedociągnięcia, uchybienia czy zapomnienia” (czyli tłumacząc na ludzki: za ukrywanie gwałtów na dzieciach). Ale spokojnie, nie zabrakło też tradycyjnego uderzenia w zgniły Zachód, bo przecież to nie księża w Polsce są winni, tylko „tendencyjne relacje agencji zachodnich”, które cytuje włoska prasa katolicka. „Tam w Watykanie nie mają już tej samej sympatii dla Kościoła w Polsce co kiedyś”. Dlaczego? Bo polityka

w Polsce jest dla nich niezrozumiała. No i może dlatego, że Watykan ma już dość zasłaniania się Maryjką i świętym Janem Pawłem II, kiedy na stole leżą akta spraw ukazujące krzywdę dzieci.

Nie sposób nie zauważyć, że wypowiedzi Gądeckiego mają w sobie coś z tragikomedii. Kiedy słyszę, że media zachodnie kłamią, a biedni biskupi są gorzej traktowani niż gwałciciele, to przecieram oczy. Czy to Kościół katolicki, czy peerelowski Komitet Centralny? W oczach arcybiskupa Polska to twierdza obleżona przez antykatolicki front laickich mediów, feministek, ofiar, które się „czepiają”, i papieża Franciszka, który, o zgrozo, chce rozliczeń. A Gądecki? On stoi z różańcem jak z tarczą, krzyczy, że krzywdzą jego kolegów, że Zachód się czepia, a Watykan nie rozumie. I wszystko to bez cienia refleksji o krzywdzie dzieci.

Jak sobie radzi Gądecki z problemem pedofilii w Kościele? Radzi sobie tak samo, jak dym z kadzidła radzi sobie z ogniem. Dymi, zasłania, zaciemnia obraz, ale niczego nie gasi. A kiedy trzeba działać – tłumaczy się Watykanem, brakiem kopii i niesprawiedliwością wobec biskupów. W 2019 roku Gądecki przedstawił swoją wersję rzeczywistości, śmierdzącą naftaliną i mizoginią. Otóż stwierdził, że celowo seksualizuje się dzieci: „Takie programy (...) są w rzeczywistości rozbudzaniem potrzeb seksualnych na bardzo wczesnym etapie rozwoju dziecka, czy też – jak to się potocznie określa – seksualizacją dzieci”. Nie byłby sobą, gdyby nie dorzucił jeszcze kilku zdań o „czystości misji kapłańskiej”. Twierdził: „Grzechy kapłanów, które należy zdecydowanie potępić, nie mogą dyskredytować samej misji kapłańskiej, która pozostaje wielka i czysta”. Jakby chciał powiedzieć, że misja strażaka jest piękna, nawet jeśli ten właśnie podpala domy. Winne są „pismaki”, winni są „medialni księża”, mający czelność mówić prawdę – czyli zachowujący się dokładnie odwrotnie niż ci, którzy przez lata zamiatali wszystko pod dywan, bo „Kościół się sam oczyści”.

Kapłani, którzy nie trzymają się linii, to dla Gądeckiego „pojedynczy strzelcy wystawieni na wiatry polityki”. A przecież wiadomo, że dobry ksiądz powinien być jak witraż – piękny, nieruchomy i najlepiej niemy. Bo kiedy coś powie, może się okazać, że przestał być lojalny wobec instytucji, która uczyła go bardziej tuszowania niż miłosierdzia.

Nie przeszkadza mu, że jego narracja brzmi jak parodia. Nie przeszkadza, że traci wiarygodność w oczach nawet starszych parafianek. Bo w jego

świecie to nie prawda jest ważna, tylko obrona świętości korporacyjnej. Gądecki, samozwańczy rycerz Kościoła oblężonego, nie tylko tropi „medialnych księży” i „pismaków na usługach zła”. On toczy świętą wojnę z całą cywilizacją śmierci. Bo przecież ważniejsze jest, że ktoś kiedyś powiedział „gender”, niż to, że w zakrystii dzieciakowi pękała psychika. Ważniejsze jest biadolenie nad „ideologią LGBT” niż systemowa bezkarność pedofilów w sutannach. Gądecki nie chce widzieć zła w swoim ogródku – woli pokazywać palcem za płot: „To świat nas gorszy, to Netflix, to szkoła, to ulica. My jesteśmy ofiarami!”.

W dodatku według Gądeckiego grzech księdza nie unieważnia świętości kapłaństwa, nie można ulegać stereotypom i trzeba bronić dobrego imienia Kościoła. Dla niego Kościół nie jest wspólnotą ludzi, tylko porcelanową figurką, którą trzeba za wszelką cenę ocalić przed pęknięciem. Tylko że ta figurka już się rozpadła. Na oczach wszystkich. I może właśnie dlatego Gądecki boi się jak ognia tych „pojedynczych strzelców” – księży, którzy mówią, co widzieli. Bo ich sumienia to lustro. A arcybiskup, jak każdy tchórz, woli snuć swoje wizje z przedsoborowych tomów, gdzie kobieta skrywa swe włosy, a kapłani skrywają swoje winy.

Trudno dziś uwierzyć, że Juliusz Paetz był poprzednikiem Stanisława Gądeckiego. Przy nim Gądecki – ascetyczny, sztywny, beznamiętny – jawi się jako skryty ministrant. Paetz zaś był wcieleniem namiętności, seksoholikiem, jak określano go w mediach, z nieposkromionym apetytem i bezwstydem, który łamał nie tylko granice etyki, ale i elementarnego poczucia wstydu. Paetz lubił młodych. Wybierał kleryków uległych, zastraszonej albo pochodzących z biednych domów. Jak Piotra – jednego z jego ulubieńców, do którego chodził podziemnym przejściem, którego przekupywał prezentami, któremu obiecywał stypendia w Rzymie. Profesor Tomasz Polak (dawniej Węclawski), były rektor seminarium duchownego w Poznaniu, ujawnił, że arcybiskup był tak bezczelny, że jednego z alumnów zawiózł do znajomego proboszcza w Niemczech... do gejowskiej sauny. Nie wszyscy wytrzymali presję. Niektórzy żyli na antydepresantach, inni trafili do psychiatryka albo uciekli za granicę. Nikt z nich nie chce dziś o tym mówić – milczą z lęku, wstydu, zranienia.

Paetz fundował wybranym studia, kupował markowe perfumy. Wyprawiał uczyty dla poznańskich elit, otaczał się możnymi. Podczas przyjęć młodym księżom kelnerom mówił: „Nie mogę narażać swoich gości, często

niewierzących, by obsługiwali ich księża w sutannach. Uszyję wam liberie”. Nie zdążył. Zmuszony do rezygnacji, zamieszkał w luksusowej willi przy katedrze. Żył jak książe Kościoła – z emeryturą i dodatkiem dorównującym pensji arcybiskupa metropolity, kapelanem, prywatną kaplicą, służbą... Do pomocy dostał siostrę z kurii, której nie ufał. Obawiał się, że donosi Gądeckiemu.

Bo między biskupami panowała jawna niechęć. Paetz drażnił Gądeckiego nie tylko samą obecnością. Zdarzało się, że siadał na tronie arcybiskupim, zmuszając Gądeckiego do zajęcia fotela pomocniczego. W Środę Popielcową podchodził do niego, by ten – choć z wyraźnym oporem – posypał mu głowę popiołem. Bezcelność? A może coś więcej – triumf bezkarności.

Willa sędziwego seksoholika lśniła marmurami. Apartament z dwiema łazienkami i salonem to efekt „odprawy” po powrocie z Rzymu. Bo też nie był to zwykły powrót. Jak ujawnia profesor Polak, w Watykanie wybuchł skandal z udziałem Paetza. Chodziło o nadużycia seksualne. W ramach „kary” został wysłany do Łomży, gdzie znów nie potrafił powstrzymać swoich zapędów. Watykan nie karał, lecz awansował. Uczynił go arcybiskupem metropolitą poznańskim – kop w górę, jak mówi Polak. Po aferze w Poznaniu rozważano podobno nawet wysłanie Paetza jako przedstawiciela Watykanu do jednej z organizacji międzynarodowych. Jego historia była znana – pytali o nią hierarchowie, w tym kardynał Franciszek Macharski. W wywiadzie dla „Newsweeka” kardynał Józef Glemp przyznał w 2012 roku, że wiedział o sprawie Paetza na długo przed jej ujawnieniem w mediach. Co więcej, mówił zagadkowo: „Starano się także ustalić, czy przypadek Paetza się rozwija, czy nie”. Co Glemp miał na myśli?

Gądecki, który musiał zająć katedrę po Paetzu, nie potrafił ukryć pogardy. A jego stosunek do homoseksualistów? Tu nie ma miejsca na niuanse – on nimi gardzi. Dlatego Paetza nienawidził nie tylko jako sprawcy skandalu, ale jako uosobienia wszystkiego, co jawnie podważało jego obraz Kościoła jako instytucji czystej, dyskretnej i hierarchicznej.

Czekał sporo lat, aż jego poprzednik opuści ziemski padół na dobre, ale przy okazji pogrzebu Paetza jak zwykle stanął na wysokości zadania. Wygłosił dziewięćdziesięcioszekundowe kazanie do dziennikarzy, po czym – nie odpowiadając na żadne pytania – z gracją godną Ducha Świętego uciekł. Trudno się dziwić – przecież niecodziennie chowa się swojego

skompromitowanego poprzednika po cichu w bocznej alejce na Starołęce zamiast w katedrze, gdzie wcześniej planowano. Oficjalny przekaz był jasny: „strzeżcie samych siebie i bądźcie bez grzechu”, co można odczytać jako subtelną aluzję: nie wchodźcie do zakrystii z dyktafonem i nie zadawajcie niewygodnych pytań, bo wasza ciekawość to grzech. Pożegnanie z arcybiskupem Paetzem odbyło się więc po bożemu, czyli po cichu, wstydliwie i z ochroną przy drzwiach katedry.

Poznań, wielowiekowe miasto, ma także ciemną kartę w swojej historii. Prowadzi ona wprost do mrocznych lochów, intryg na szczytach władzy i postaci, której nazwisko wymazano z podręczników. Mowa o historii księcia Kościoła, który podjął próbę królobójstwa.

Rok Pański 1578. Do królewskiego lochu w Rawie Mazowieckiej trafia niejaki Gradowski – z zawodu czarnoksiężnik, jak donosi cesarski szpieg. Mężczyzna ten miał według zeznań usiłować otruć króla Stefana Batorego. Co więcej, zamach nie był jego inicjatywą. Gdy go pojmano, wskazał palcem zleciodawcę: biskupa poznańskiego Łukasza Kościeleckiego. Źródłem tej informacji nie są bynajmniej plotki ani kroniki pisane przez stronnicych pamiętnikarzy. Źródło jest twarde i konkretne: to raport tajnego agenta Rudolfa II Habsburga, jednego z najpotężniejszych władców Europy, który uważnie śledził wydarzenia w Rzeczypospolitej. Doniesienie wysłano z Polski na Śląsk 4 kwietnia 1578 roku – adresatem była kamera śląska, czyli administracja cesarska, a nadawcą niejaki doktor Scharff, szpieg, który dostarczał na dwór Rudolfa najświeższe wiadomości.

„Jakiegoś Gradowskiego, czarnoksiężnika, wtrącono w Rawie do więzienia, bo chciał króla otruć, jak on zeznaje, za namową biskupa poznańskiego Łukasza Kościeleckiego, gorliwego stronnika domu austriackiego” – relacjonował Scharff. I dodawał, że Gradowskiego oskarżyła stara czarownica. Trop ten podjął dopiero kilkaset lat później lekarz i historyk Antoni Knot, autor pracy *Dwór lekarski Stefana Batorego*, opublikowanej w 1928 roku w tomie „Archiwum Historii i Filozofii i Medycyny oraz Nauk Przyrodniczych”. To tam pojawia się kontekst polityczny i medyczny tego zdarzenia. Batory, który od początku panowania podejrzewał, że jest celem zamachu, zwrócił się z prośbą o poradę do berlińskiego lekarza i alchemika Leonarda Thurneissera. Thurneisser zaś był wcześniej doradcą Zygmunta Augusta i słynął

z zamiłowania do magii, ziołolecznictwa i astrologii. Batory nie ufał już nikomu.

Ale kim właściwie był ów Łukasz Kościelecki? Został biskupem poznańskim w 1577 roku, zaledwie rok przed tą historią. Jego nominacja miała podłoże polityczne i religijne – był zdecydowanym przeciwnikiem reformacji i ściśle współpracował z jezuitami. Uważał, że tolerancja wobec innowierców to prosta droga do chaosu. Słynna stała się sprawa zamknięcia oficyny drukarskiej Melchiora Neringa, w której wydano dzieło Jakuba Niemojewskiego *Diatrybe albo kolacyja przyjacielska z księżmi jezuitami poznańskimi o przedniejsze różnice wiary krześcijańskiej czasu tego* – tekst wymierzony bezpośrednio w jezuitów. Na rozkaz biskupa egzemplarze książki spalono na poznańskim rynku. Kościelecki groził magistratowi ekskomuniką, jeśli ten uzna prawa gminy luterańskiej, która próbowała zalegalizować swoje inwestycje. Tymczasem sam Kościelecki według relacji współczesnych mu kanoników nie przejawiał najmniejszego zainteresowania życiem duszpasterskim. Nie pojawiał się w katedrze nawet w największe święta. Zarzucano mu nepotyzm, symonię (czyli kupczenie godnościami kościelnymi) oraz roztrwonienie majątku diecezji. Kiedy już opuszczał swoją siedzibę, robił to w sposób, który wzbudzał nie tyle szacunek, ile raczej politowanie. Codziennie rano wędrował wraz ze swoim parobkiem od kanonika do kanonika w poszukiwaniu śniadania – tak głosiła anegdota powtarzana po kątach kapituły.

Duchowieństwo miało dość takiego biskupa. Władze kościelne rozważały wysłanie do Poznania koadiutora – zastępcy, który w praktyce przejąłby rządy nad diecezją i uratował ją przed dalszym upadkiem. Dla Watykanu również Kościelecki stawał się coraz bardziej kłopotliwy. Czy to możliwe, że w takim właśnie momencie – sfrustrowany, pozbawiony poparcia, ale wciąż ambitny – sięgnął po radykalne środki? Czy próba otrucia króla była jego desperacką metodą na przypodobanie się Habsburgom, których politycznym agentem miał być? A może kto inny zagrał jego nazwiskiem? Nie wiemy. Pewne jest natomiast, że sprawa nigdy nie została nagłośniona. Knot pisze wprost: „Sprawa ta nie nabrała większego rozgłosu, gdyż żaden z historyków ówczesnych o tem nie wspomina”. Można przypuszczać, że starano się ją zatuszować, by nie pogłębiać napięć między dworem królewskim a Kościołem. Lub też, jak sugeruje autor, sam król nie chciał

rozgłosu – bardziej zależało mu na znalezieniu zaufanego medyka niż wszczynaniu otwartej wojny z biskupem.

Kościelecki zmarł w 1597 roku. Poznań po jego rządach długo się podnosił, a o Gradowskim, czarnoksiężniku z Rawy, który twierdził, że miał otruć króla, nikt już potem nie słyszał. Ale sprawa ta przypomina, że nawet w epoce złotego wieku Rzeczypospolitej, kiedy wydawało się, że rozum, prawo i religia będą rządzić światem – za kulisami wciąż działała alchemia władzy. A biskupi nie zawsze bywali święci.

Na wiosnę w 2025 roku ogłoszono, że archidiecezja poznańska zyskała nowego biskupa. Ale nikt tu specjalnie się tą informacją nie przejął, bo kogo w Poznaniu obchodzi jakiś nowy arcy. Poznań nie Kraków, nikt tu się z „czarnymi” nie liczy.

Arcybiskup Zbigniew Zieliński urodził się 14 stycznia 1965 roku w Gdańsku, czyli w mieście, gdzie duchowni uczą się przetrwania jak komandosi. Szlify zdobywał pod skrzydłami arcybiskupa Sławoja Leszka Głódzia – znanego lepiej jako „Flaszka”, prostaka o manierach sierżanta z ludowego WP, który pomylił posługę duchową z pułkiem pancernym. Pracując w cieniu takiej osobowości, Zieliński musiał nauczyć się milczeć, kiwać głową i nie dać się wciągnąć w zbyt głębokie rozmowy. Wyświęcony w 1991 roku, szybko wskoczył na ścieżkę kariery – seminarium, doktorat z socjologii religii na KUL-u (żeby brzmiało mądrze), stanowisko rektora, a potem biskupa pomocniczego Gdańska. W 2022 roku papież Franciszek przerzucił go do Koszalina, a już w 2024 trafił na arcybiskupią stolicę w Poznaniu, by zastąpić Gądeckiego.

Zieliński to typowy przedstawiciel nowej fali w episkopacie: wyważony, uprzejmy, uśmiechnięty, ale jakby bez właściwości. Jest „za dialogiem”, „przeciw przemocy”, „blisko ludzi” i „w trosce o dobro wspólne” – czyli tak naprawdę nie wiadomo, co myśli. Unika skandali, ale też trudnych tematów. Zbyt grzeczny, żeby kogoś obrazić, zbyt nijaki, żeby kogoś porwać. Pasuje idealnie do tego miejsca.

Za arcybiskupem ciągnie się sprawa z Koszalina – niewygodna, pomijana na ambonie, ale głośna wśród tych, którzy czytają między wierszami. Bo tu nie chodzi tylko o spór dwóch duchownych. Chodzi o pieniądze, władzę i coraz gorzej ukrywane mechanizmy kontroli, mające niewiele wspólnego z Ewangelią. W centrum tej historii stoi Dom Miłosierdzia Bożego –

miejsce, które dla wielu bezdomnych, porzuconych i uzależnionych stało się ostatnią przystanią. Stworzony przez księdza Radosława Siwińskiego, przypominał bardziej wspólnotę niż instytucję – z własną piekarnią, kawiarnią, ciepłą zupą i nocnym czuwaniem. Ale gdzie zupę nalewasz biednym, tam szybko pojawiają się ci, którzy wolą liczyć majątek. Siwiński mówi, że problem zaczął się, gdy dzieło urosło – nie tylko w dusze, ale i w metry kwadratowe. Dom wart dziś według szacunków około 24 milionów złotych zaczął interesować kurię. Oficjalnie chodzi o status zakonnych wspólnot Braci i Sióstr Miłosiernego Pana, ale w kuluarach mówi się o próbie przejęcia kontroli nad strukturą, która wymknęła się spod biskupiego nadzoru.

Arcybiskup Zbigniew Zieliński – wtedy jeszcze biskup koszalińsko-kołobrzeski – wolał mówić półsłówkami. Ale w ustach Kościoła każde półsłówko potrafi zmienić się w oskarżenie. Siwiński twierdzi, że Zieliński nie tylko podważał jego autorytet, ale rozpowszechniał informacje o rzekomej chorobie psychicznej duchownego i prowadzeniu sekty. Dla tych, którzy w Domu Miłosierdzia Bożego szukali ocalenia, brzmiało to jak kpina. Dla innych – jak znak, że trzeba się trzymać z dala.

W listopadzie 2024 roku ksiądz Siwiński złożył w sądzie wniosek o ugodę. Prosił o jedno: publiczne przeprosiny. Ale biskup – dziś już arcybiskup metropolita poznański – nie przyszedł z gałązką oliwną. Odmówił. Siwiński zapowiedział więc pozew o zniesławienie. W koszalińskiej kurii zapadła cisza. Rzecznik prasowy zasłonił się brakiem oficjalnych dokumentów. Ludzie związani z Domem Miłosierdzia Bożego mówią wprost: boją się. Że to wszystko to nie tylko osobisty konflikt, ale preludium do czegoś większego – do rozpadu wspólnoty, do likwidacji tego, co nie mieści się w systemie.

Sprawa będzie miała ciąg dalszy. A Zieliński? Zieliński właśnie rozpakowuje się w Poznaniu. Układa swoje dokumenty na drewnianym biurku, zawiesza krzyż w gabinecie, wita się z kadrą. Nowy początek – i stara sprawa, która ciągnie się za nim jak cień.

WARSZAWA: BETON I BŁOGOSŁAWIEŃSTWO

Pamiętam ten dzień, jakby to było wczoraj. Praca nad filmem *Tylko nie mów nikomu* braci Sekielskich nabierała tempa, a ja, uzbrojony w mikrofon i determinację, próbowałem przedrzeć się przez architektoniczne meandry pałacu metropolitalnego przy Miodowej. Operator dreptał za mną z kamerą jak cień, a ja uparcie pukałem do każdych drzwi, jakie napotkałem – raz w lewym, raz w prawym skrzydle kardynalskiej rezydencji. Cisza. Odpowiadało mi tylko echo i lekki przeciąg. Gubiłem się już w tych labiryntach. Kolumny, balustrady, lśniące marmury. Wszędzie pachniało kosztownym woskiem i nierealnym luksusem. Pałac był jak zamknięta szkatułka – niedostępna, pełna sekretów i złotych klamek. Zrezygnowany odpuściłem. Ale po chwili, kierowany już tylko instynktem, poszedłem na tyły kardynalskich włości. I wtedy – jak w biblijnej przypowieści o wdowie i niesprawiedliwym sędzi – drzwi się otworzyły. Na progu stanął on. Jeden z sekretarzy, oczywiście Włoch, z uśmiechem, który mógłby rozświetlić pół Sycylii.

– *Il cardinale è partito per il Vaticano* – powiedział, szczerząc idealnie równe perłowe zęby. – Kardynał wyjechał do Watykanu – przetłumaczył z rozbijającą lekkością, jakby mówił o wizycie u kuzyna, a nie o politycznej pielgrzymce do centrum kościelnej władzy.

Nycz i Ryś to dzieci krakowskiej szkoły błysku spod znaku Dziwisza. Bez jego błogosławieństwa pewnie by dziś święcili palmy w Pcimiu. Ale Dziwisz wiedział, komu pomóc – zwłaszcza jeśli był młody, rzutki i... elastyczny.

Weźmy jego najbliższego towarzysza, Andreę Nardotta, ochroniarza, baristę, może kogoś więcej... Został wyświęcony na diakona w prywatnej kaplicy Nycza przy pełnej orkiestrze biskupów. Brakowało tylko aniołów

i live'a w Trwam. Nycz raz próbował być progresywny – powiedział w telewizji, że związki partnerskie to może nie małżeństwo, ale da się żyć. Rzecznik biegał potem z dementi szybciej niż kadzidło po pasterce. Ale nic się już nie dało zrobić. Braun – nasz inkwizytor, sól polskości – ogłosił krucjatę przeciwko „lawendzie”. Wjechał przed kamery jak czołg i zażądał abdykacji. Bo jeśli kardynał mówi coś po ludzku o gejach, to dla Brauna to zdrada, herezja i koniec cywilizacji łacińskiej.

Zastanawiałem się czasem po swojej wizycie w tym pałacu, jak ten Kazimierz Nycz właściwie żyje. Po co mu tyle pokoi, te wszystkie gabinety, salki, refektarze, te całe barokowe skrzydła? Sam teren zielony wokół rezydencji to przecież hektary ziemi w centrum stolicy – roczny koszt utrzymania ogrodników pewnie przewyższa budżet niejednej parafii. Marmurowe posadzki aż proszą się o codzienne froterowanie. To niesamowite, że dwa tysiące lat po Jezusie dzieją się takie rzeczy.

Mieszkał tu niegdyś baron Piotr de Riaucourt i przebudował wszystko jakby z myślą o przyszłym przeznaczeniu tego budynku. Przebudował na modłę późnobarokową, zatrudnił Jakuba Fontanę (bo przecież jak barok, to z rozmachem), dołożył ogród francuski, altankę rokokową i – uwaga – bramę z wazonami. Tak, wazonami. Rokokowymi. Jedynymi takimi w Warszawie. Potem sprawy przybrały jeszcze dziwniejszy obrót. Wjeżdża Dominik Merlini, klasycyzuje, co się da, a pałac poważnieje, bo przecież ma być dla podkanclerzego koronnego. Ale zanim jeszcze biskupi rozłożyli tam sutanny, budowla stała się... cukiernią i hotelem. Tak! Ludwik Nesti, cukiernik z fantazją, otworzył w środku Hotel Paryski (później Europejski) i serwował ludziom ciastka tam, gdzie teraz modli się arcybiskup. Był też Hotel d'Europe, bo jak wiadomo, jak już robić hotel w pałacu, to z kontynentalnym rozmachem. A potem... bum! Rząd Królestwa Polskiego kupuje budynek i decyduje: koniec z ciastkami, teraz rezydują tu panny – Instytut Wychowania Panien. Ale tylko na chwilę, bo w 1843 roku postanowiono: dość żartów, teraz będzie tu rezydencja arcybiskupa warszawskiego. Bo przecież arcybiskup, jak wiadomo, nie może mieszkać byle gdzie. Musi być pałac, najlepiej z ogrodem francuskim i rokokową altaną. I najlepiej jeszcze z bramą, co wygląda jak prezent ślubny Marii Antoniny.

I to wszystko po to, by głosić ewangelię ubóstwa.

Ten sam Kazimierz Nycz, który w grudniu 2023 roku podczas kolacji Wspólnoty Sant'Egidio spojrzął na zebraną biedotę i powiedział z przekonaniem: „Pamiętajcie, że jesteście najważniejszą częścią Kościoła”, dwa lata wcześniej grzmiał do tej samej wspólnoty: „Podstawową przyczyną rosnącego ubóstwa, samotności, bezdomności i migracji jest to, że bogaci nie potrafią i nie chcą podzielić się swoim bogactwem”. Aż chciało się wtedy podejść, uścisnąć jego purpurową dłoń i powiedzieć: „Kazimierzu, daj przykład”.

W Wielki Czwartek 2013 roku Nycz przemawiał do kapłanów z patosem: „Musimy stawiać sobie pytania: czy jesteśmy dla biednych? Czy dbamy o pracę charytatywną?”, a potem dodał: „Ręce kapłańskie mają być zawsze czyste, by zbytnio nie przywiązywać się do rzeczy materialnych”. Mówił to facet, który sam zatapia je codziennie w aksamicie i złocie, którego szaty kosztują więcej, niż wynosi roczna pensja nauczyciela, bo szyją je włoscy mistrzowie krawiectwa liturgicznego. Człowiek, który tylko z tytułu funkcji kardynalskiej pobiera miesięcznie pięć tysięcy euro. „Podziel się, Kazimierzu”, chciałoby się powiedzieć. „Podziel się, skoro znasz dobrze tę ewangeliczną radę: »Idź, sprzedaj wszystko, co masz, i rozdaj ubogim«”. Albo sprzedaj chociaż trochę. Bo po co Bogu twoje królestwo za płótem? Po co te limuzyny, pierścienie, kucharze, szoferzy i ochrona? Po co ogrzewane marmury, skoro w twoim Kościele są ludzie, którzy zimą śpią w kartonach?

W tym świecie kardynał nie tyle chodzi, ile sunie. Być może za pomocą specjalnego baldachimu z kółkami, prowadzonego przez diakona z aplikacją Google Litania. Poranne rytuały są niezmiennie: marmolada z ekologicznej spiżarni benedyktynek, espresso z kardynalskiej maszyny firmy La Pavoni, brewiarz z połączanymi brzegami (wersja kolekcjonerska z podpisem Jana Pawła II) i przegląd prasy... ale tylko tej, w której o nim dobrze piszą. Troska o własne bezpieczeństwo? Cóż, w tym świecie nie istnieje pojęcie zagrożenia. Co najwyżej niepokój, że któryś z podsufitkowych fresków zacznie sypać się na kardynalską łysinę. Albo że klimatyzacja w papieskiej sypialni znów będzie ustawiona na temperaturę niegodną purpury. A przecież jeden włoski sekretarz z przeszłością w teatrze nie wystarczy, by odeprzeć atak rzeczywistości – zwłaszcza gdy ta rzeczywistość, jak wiemy, lubi przychodzić z mikrofonem i kamerą Sekielskich.

I nawet jeśli Centrum Opatrzności Bożej miało być dumnym wotum, duchowym wieńcem historii narodowej, dziś przypomina raczej coś między terminalem autobusowym a wystawą peerelowskich pomników. Zwiedzający? Znikomy ruch. Dzieci szkolne przyjeżdżają, tylko jeśli kuratorium obieca punkty za frekwencję. Emeryci przychodzą, bo myślą, że to nowe skrzydło Muzeum Powstania Warszawskiego. A tablice z darczyńcami – ach, te złote litery! – wyglądają jak księga rachunkowa rajskiego biura parafialnego. Bo przecież nic nie mówi „opatrność” tak wyraźnie jak marmurowe schody, podświetlany krzyż z Włoch i dębowa skarbona z terminalem płatniczym.

Wyobraź sobie, że Pan Bóg powiedział: „Zbudujcie mi coś monumentalnego”, a polscy architekci wzięli to zbyt dosłownie. Wyszła z tego Świątynia Opatrzności Bożej – betonowy kolos, który wygląda, jakby krzyż z katedrą miał dziecko z silosem na zboże. Z zewnątrz przypomina niedokończony sarkofag faraona, tylko że faraon miał lepszy gust i zużyłby mniej betonu. Fasada świątyni wygląda, jakby ktoś zapomniał ją dokończyć. Z daleka woła: „Zbliża się apokalipsa, a ja jestem jej makietą”. Wieczorem, kiedy się ją podświetli, wygląda jak centrala jakiejś galaktycznej sekty albo lotnisko w Dubaju w latach dziewięćdziesiątych – tylko że z relikwiami świętych zamiast pasa startowego. A kopuła przypomina czapkę grzyba po Czarnobylu.

W środku – monumentalna pustka. Echo się niesie jak po sumieniu po spowiedzi. Kaplica? Jest. Muzeum? Oczywiście. Grobowiec? Tak, bo przecież każdy betonowy kolos zasługuje na mauzoleum. Panteony, czyli miejsca spoczynku zasłużonych osób, mają na celu przede wszystkim upamiętnienie i uhonorowanie ich wkładu w historię, kulturę i naukę. To symbole narodowe, przypominające o osiągnięciach i wartościach, które dana społeczność ceni. Czy aby tu nie jest odwrotnie? Może to ci wielcy mają jakoś sprawić, że to miejsce będzie kiedyś ważne. Czy Jan Twardowski albo Krzysztof Skubiszewski rzeczywiście chcieli tu spocząć?

I to wszystko w ramach „wotum narodu”. Tylko nikt nie wie, jaki to był naród i kto to wotum złożył. Dla większości Polaków ten monumentalizm sprawia, że nawet wątpliwości tu twardnieją; to jak wielka wyciskarka do soków – tylko zamiast marchwi wyciska z wiernych skupienie. To pewnie jedyny kościół, w którym GPS mówi: „skręć w monumentalizm”. Ale świątynia stoi – dumna jak pomnik wstydu. Straszy dzieci, przyciąga

turystów i pieniądze, a wszystko to pod hasłem: „Niech Opatrzność nas ma w swojej opiece, bo architektura już nie da rady”.

Warszawa z lat dwudziestych i trzydziestych zeszłego wieku to miasto dorożek, dymiących fajek i świętych obrazków w każdym kącie. Ale też miasto Boya – człowieka, który chodził w cylindrze, cytował Moliera, a księżom się nie kłaniał. Co więcej, walił w nich jak z dubeltówki! I nie po cichu, pod pseudonimem. Z imienia, nazwiska i podpisu: „Tadeusz Boy-Żeleński” – lekarz dziecięcy, który leczył dorosłych z ciemnoty.

Pisał, co myślał: Nie baliśmy się już Austriaków, Niemców, Rosjan... ale „mamy nowego okupanta – w ornacie”; „Dopóki w Polsce będzie można wykrzykiwać wzniośle »Bóg i religia«, tam gdzie w gruncie chodzi o władzę i pieniądze – dopóty kasta wyodrębnionych z życia dzikusów będzie regulatorem najdonioślejszych spraw społeczeństwa”. W *Piekle kobiet* też nie gryzł się w język. Kościół wtedy zaglądał ludziom do łóżek z większą gorliwością niż dzisiejsi influencerzy do lodówki. Nie było rozwodów, nie było antykoncepcji, nie było wyboru. Było za to „cierp i módl się”. „Nie ma większego piekła nad to, które kobieta przeżywa w Polsce – piekło, którego pilnuje Kościół, kodeks i obłuda”. Boy miał wrażenie, że kobieta w Polsce to „inkubator w niewoli sakramentu”, a jej cierpienie to nie tragedia, tylko „chwała cnót niewieścich” według księdza.

Napisał też *Dziewice konsystorskie* – czyli rozwód po katolicku: „Tłum trzymać siłą, a możnych tego świata ustępliwością. (...) Stąd wynalazek nad wynalazki: konsystorskie dziewice”. Czyli takie panie i panowie, którzy po dziesięciu latach małżeństwa nagle oświadczyli w sądzie biskupim, że... nigdy nie skonsumowali ślubu. Serio. Cała Warszawa śmiała się z przypadków, gdy ludzie z trójką dzieci tłumaczyli, że „to z Ducha Świętego”, a Kościół kiwał głową i rozwiązywał małżeństwo.

Kiedy w sejmie toczyły się debaty o nowym kodeksie małżeńskim, biskupi pisali listy duszpasterskie, w których grozili narodowi: „Zamierzone prawo jest posiewem bolszewizmu u nas w rodzinie. Grozi ojczyźnie śmiertelną zarazą duchową!”, a Boy odpowiedział na nie z właściwą sobie ironią: „Obcy zaleją ziemie nasze! – Co nie daj Boże”.

Zanim ktoś wymyślił Twittera, a Tadeusz Rydzyk jeszcze się nie narodził, Polska miała już swojego medialnego imperatora – franciszkanina Maksymiliana Kolbego, który nie tylko głosił słowo Boże, ale też

dysponował prawdziwym katolickim „imperium medialnym” niczym przedsoborowa TV Trwam. Na froncie działał „Mały Dziennik”, który potrafił rozdmuchać wielką awanturę.

W latach trzydziestych jednym z głośniejszych skandali była sprawa Zofii Sadowskiej, warszawskiej lekarki, którą prasa z ambicjami tropienia Sodomy oskarżyła o wszystko, co tylko można było uznać za „niemoralne”. A że pani doktor była kobietą wykształconą, niezależną i – o zgrozo! – homoseksualną, to dla katolickiej prasy był to gotowy przepis na artykuł numer jeden. Brukowce żerowały na jej historii jak tabloidy na ślubie celebrytów – „Express Poranny” z lubością rozpisywał się o rzekomych orgiach i deprawacji przez nią młodzieży. „Mały Dziennik” wołał z okładek o odebranie jej prawa do wykonywania zawodu. A z ambon Warszawy płynęły grzmiące kazania o „grzechu Sodomy” – wszystko jak z dzisiejszego playbooka, tylko bez transmisji na YouTube.

Ale Sadowska się nie poddała. Wytoczyła proces o zniesławienie i... wygrała. Sąd uznał, że cała nagonka była wyssana z palca, a gazety będące dumą ówczesnego Katonetflixa musiały przeprosić i zapłacić. Nawet „Express Poranny” dostał po kieszeni. Okazało się, że prawo może jednak stanąć po stronie zdrowego rozsądku, a nie moralnej kruczaty. Warszawscy księża musieli na chwilę przestać grzmieć, a katolickie kręgi zrozumiały, że nawet najlepsza propaganda nie zawsze daje immunitet sądowy.

Kiedy spojrzymy jednak na dzisiejsze pole walki o moralność, możemy odnieść wrażenie, że w Polsce od stu lat wszystko się zmienia, ale nie tropiciele „niemoralności” i nie władcy umysłów z mikrofonem w dłoni. Bo czy to Kolbe z prasą, czy Rydzyk z radiem – mechanizm zawsze jest ten sam: moralna kruczata, media w służbie świętości, a na końcu... sala sądowa i zimny prysznic wyroku.

Nie tylko Kolbe troszczył się wówczas o moralność – pilnie strzegł jej również młody ksiądz Stefan Wyszyński, przyszły prymas tysiąclecia. Jako redaktor katolickiego pisma i aktywny głos Kościoła z zapałem krytykował rosnącą popularność prasy sensacyjnej, zwłaszcza „Tajnego Detektywa”. Wyszyńskiego wyraźnie bolało, że młodzież zaczytuje się w gazetach pełnych opowieści o zbrodniach, skandalach i ekscesach cielesnych. Nie potrafił się pogodzić z tym, że takie treści – uderzające w jego ideał moralnego wychowania młodego pokolenia – stają się normą kultury masowej. Choć grzmiał z ambony i pisał w katolickiej prasie, jego apele

trafiały w próżnię – „Tajny Detektyw” wciąż sprzedawał się świetnie, wzbudzając entuzjazm czytelników i zgorzenie w konserwatywnych kręgach kościelnych.

Afera z 1936 roku to przykład tego, że tam, gdzie jest popyt, znajdzie się i podaż – nawet jeśli fałszywa, nawet jeśli w sutannie. Warszawa i okolice stały się areną działania jednego z pierwszych w Polsce „kościelnych start-upów rozwodowych”. Sztuczni księża, fałszywe śluby, rozwody z błogosławieństwem nieba... no, prawie. Za odpowiednią opłatą, rzecz jasna.

Zorganizowana grupa, podszywająca się pod duchownych Kościoła starokatolickiego, oferowała „kościelne rozwody” i powtórne śluby. Ludzie, którym Kościół rzymskokatolicki mówił stanowcze „nie” w sprawach małżeńskich, szukali drogi na skróty, a ci „duchowni” dobrze wiedzieli, że wiara to nie tylko kwestia duszy – to także świetnie rotujący towar. I jak w każdym dobrze zaplanowanym przekręcie wszystko zakończyło się aferą. Prasa prześwieciła sprawę. „Polonia” grzmiała o „parafialnym biurze rozwodowym”, a kuria warszawska próbowała ratować wizerunek Kościoła, ostrzegając wiernych przed samozwańczymi duchownymi. Winni zostali skazani, ale sedno sprawy leży gdzie indziej. Sytuacja ta sprawiła, że ludzie – zwykli wierni – zaczęli patrzeć na Kościół jak na instytucję, która nie zajmuje się tylko modlitwą, ale dysponuje czymś bardzo cennym: symboliczną władzą nad sumieniem, nad miłością, nad związkiem, nad tym, „co wolno”. Bo jeśli da się sprzedać rozwód, to znaczy, że Kościół ma dobry towar. Tylko trzeba uważać na tych, co podjeżdżają pod parafię karetką z napisem „Usługi duchowe 24/7” i pytają, czy chcesz miłość z błogosławieństwem, czy bez błogosławieństwa.

Oj tak, nasłuchiwałem się ostatnio tylu pikantnych ploteczek z przedwojennej Warszawy, że zaczynam mówić z akcentem z kabaretu Qui Pro Quo i mam ochotę pić kawę wyłącznie z porcelany w hotelu Bristol! Stolica z międzywojnia to nie tylko eleganckie bale i dostojne procesje – to była prawdziwa mydlana opera z bohaterami w sutannach i z pekińczykiem na smyczy.

Przedwojenne brukowce pękały od sensacji tak gorących, że dziś mogłyby zawstydzić niejednego scenarzystę telenoweli. Za dnia ksiądz wygłasza kazania o moralności, a wieczorem tańczy tango w kabarecie Miraż z tancerką, której garderoba kosztuje więcej niż parafialna

dzwonnica! I niech mnie święty Florian kopnie, ale ponoć nawet piesek tej damy miał obrożę z haftem „Sponsorem jest proboszcz”. Gdy sprawa wypłynęła, ksiądz nagle „poczuł powołanie misyjne” i wylądował ponoć gdzieś na Podlasiu.

Wdowa z Mariensztatu oddała cały majątek parafii, a jej dzieci... otrzymały tylko zdjęcie z chrztu. Mieszkańcy mówią, że proboszcz był częstym gościem w jej salonie, przynosił róże i... ręcznie pisane homilie. Sprawa trafiła do sądu, ale zniknęła z wokandy równie szybko jak wspomniany duchowny – ponoć nagle powołano go do kurii w Lublinie „z powodów zdrowotnych”.

W stolicy pojawiła się niezwykła figura: ksiądz Stanisław Trzeciak, którego działalność predestynowała go bardziej do kandydowania na posła do sejmu niż do nieba. Profesor teologii, poseł endecki i samozwańczy obrońca Polski przed „żydowską inwazją” z ambony czynił coś w rodzaju jednoosobowego wiecu ONR – tyle że z lepszą akustyką i świecznikami. Gdy inni księża głosili Ewangelię, Trzeciak głosił: „Talmud o gojach!”. Zaiste, niecodzienne kazania – więcej tam było cytatów z *Protokołów mędrców Syjonu* niż z Listu do Koryntian. Niektórzy mówili, że jego homilie brzmiały jak program wyborczy, a kazania przypominały raczej agitki partyjne niż duchową refleksję. Sanacyjna prasa ochrzciła go (*nomen omen*) „apostołem nienawiści”, co mogło brzmieć dumnie, gdyby nie to, że to raczej tytuł z rodzaju „najlepszy kucharz w schronisku górskim dla narciarzy z alergią na gluten”.

Afera sięgnęła absurdu w 1936 roku, gdy niektórzy duchowni warszawscy zaczęli wspierać akademickie strajki antyżydowskie, a wyglądali przy tym tak, jakby sutannę szyli u tego samego krawca, co marszałkowie ONR-u. Powstała nawet „krucjata” (choć bardziej przypominała objazdową trupę kabaretową siejącą nienawiść), w ramach której rozdawano broszury w stylu „Jak uczłowieczyć handel dewocjonaliami” autorstwa młodego księdza Stefana Wyszyńskiego (tak, tego – nawet święci muszą przejść etap buntu). Dopiero pod koniec lat trzydziestych episkopat nieco się ocknął i stwierdził, że może jednak w działalności duchownych powinno być mniej polityki, a więcej Ewangelii. Ale wtedy Trzeciak już dawno rozdawał „duchowe mandaty” na prawo i lewo – szczególnie na prawo.

Zresztą Trzeciak to jednak szaraczek przy bardziej dystyngowanych dostojnikach.

Gdyby kardynał August Hlond żył dzisiaj, jego kazania miałyby stałe miejsce między prognozą pogody a komunikatem o zagrożeniu ideologią gender w TV Trwam. Byłby zapewne jednym z tych dostojnych panów w sutannach, którzy wsiadają do tramwaju linii piętnaście na placu Zbawiciela i po chwili zaczynają napominać współpasażerów o końcu chrześcijańskiej cywilizacji, popijając yerba mate z kubka z logo Akcji Katolickiej. Bo choć urodził się na Górnym Śląsku, a duszpasterską karierę rozpoczął w Poznaniu, to właśnie Warszawa stała się jego ideologicznym placem boju – jego duchowym Camp des Saints. Z jego biura przy ulicy Miodowej wychodziły listy pasterskie, które mogłyby konkurować z manifestami ONR-u. Pisał o zagrożeniu ze strony masonów, Żydów, socjalistów i zepsutych paryskich teatrów, a stolica była dla Hlonda tym, czym dla Piotra Skargi sejm – trybuną narodowej kaznodziejki.

W końcu to właśnie w stolicy ogłoszono jego słynny list pasterski o zasadach katolickiego wychowania młodzieży z 1930 roku – lektura obowiązkowa dla każdego, kto uważa, że najlepiej wychowuje się poprzez strach przed grzechem i wymóg lojalności wobec proboszcza. Można by rzec, że Hlond próbował stworzyć katolicką wersję wychowania obywatelskiego: zamiast obywatela – wierny, zamiast wolności – posłuszeństwo, a zamiast spacerów po Łazienkach – procesje z relikwiami.

Nie zapominajmy też o jego liście pasterskim o zagadnieniach społecznych z 1936 roku. Tam dopiero zaprezentował prawdziwą jazdę bez trzymanki. Hlond niczym kaznodzieja z Targówka, który właśnie obejrzał pierwszą audycję Radia Maryja, pisał, że „żydostwo” stanowi zagrożenie dla kultury i gospodarki. Choć zastrzegął: „Nie wolno Żydów bić” – co uchodziło wtedy za przejaw liberalizmu – to zaraz potem dodawał, że są „elementem szkodliwym”. Jakby mówił: „Nie bijcie, ale omijajcie szerokim łukiem. I najlepiej nie wpuszczajcie na Pragę”.

Oczywiście Hlond miał też swoje dobre dni. Stworzył Towarzystwo Chrystusowe dla Polonii Zagranicznej, co było odpowiedzią na potrzeby duchowe emigracji, a nie tylko kolejnym frontem w wojnie z „duchem epoki”. Ale nawet w tym wypadku trudno nie dostrzec rysu ideologicznego: chodziło o to, żeby polski robotnik w Detroit, zamiast czytać *Kapitał* Marksa, odmawiał różaniec i zgłębiał „Rycerza Niepokalanej”.

A teraz najlepsze: po wojnie Hlond wrócił z internowania we Francji i objął obowiązki prymasa, po czym próbował wskrzesić przedwojennego

ducha. Lipiec 1946 roku, pogrom kielecki – zamiast powrotu do normalnego życia fala krwi. Czterdziestu dwóch przedstawicieli narodu żydowskiego – głównie ocalałych z Zagłady – zginęło z rąk sąsiadów, milicji i wojska. Kościół milczał w tej sprawie, a kiedy już zabrał głos, przypomniał najgorsze uprzedzenia. Prymas Hlond, najwyższy autorytet duchowy w kraju, zamiast jednoznacznie potępić zabójców, tłumaczył, że pogrom nie był wyłącznie spontanicznym wybuchem przemocy, lecz elementem szerszego planu, w który miały być zaangażowane władze Związku Radzieckiego, polski rząd komunistyczny oraz niektóre żydowskie organizacje międzynarodowe. Według niego celem tej akcji miało być stworzenie wrażenia, że dla Żydów nie ma już miejsca w krajach Europy Wschodniej i powinni stamtąd wyjechać.

Hlond zmarł w 1948 roku w Warszawie, a pochowany został w podziemiach katedry św. Jana na Starówce, co, przynajmniej, pasuje do jego teatralnego stylu bycia.

I teraz, proszę Państwa, na scenę wszedł kolejny bohater narodowego duszpasterstwa: kardynał Stefan Wyszyński, znany również jako prymas tysiąclecia, a nieco mniej oficjalnie – jako człowiek, który wiedział, że z komunistą nie da się wygrać, ale można go ograć.

Warto wskazać, że Wyszyński, podczas pogromu kieleckiego jeszcze biskup lubelski (do 1948 roku), wypowiedział się o tych wydarzeniach w sposób, który dziś budzi ogromne kontrowersje. Został poproszony przez delegatów Centralnego Komitetu Żydów w Polsce o potępienie pogromu, a w odpowiedzi miał wyjaśniać masakrę ludową zemstą za udział Żydów w nowym komunistycznym rządzie, dodając, że „Niemcy chcieli wytępić naród żydowski, ponieważ Żydzi szerzyli komunizm”. Ponadto Wyszyński twierdził, że materiały przedstawiane podczas procesu Bejlisa nie rozwiąły oskarżeń o mord rytualny, co sugeruje, że nie odrzucał całkowicie tych fałszywych oskarżeń.

Jeśli Hlond był z tych, co krzyczą z ambony i grożą piekłem, to Wyszyński należał raczej do ludzi, którzy wolą wejść tylnymi drzwiami na naradę w KC i rzucić mimochodem: „A może towarzysze chcą, żeby Kościół nawoływał do spokoju społecznego w zamian za kilka hektarów pod seminarium?” – i zanim towarzysze się zorientowali, już podpisywali zgodę. Wyszyński nie był warszawiakiem z krwi i kości, ale to właśnie stolica była jego twierdzą. Tutaj urzędował i tu prowadził swoją

dyplomację z czerwonym dworem. Nie był rewolucjonistą. Był mistrzem przetrwania i rozumiał, że komuna to nie burza do przeczekania, ale klimat, w którym trzeba się nauczyć oddychać – i to z kadzidłem w ręku. Kiedy trzeba było, stawiał opór – jak w 1953 roku, mówiąc słynne „non possumus” w sprawie podporządkowania Kościoła władzy ludowej. Zapłacił za to internowaniem. Ale gdy wyszedł, nie rzucił się do rewanżu. Usiadł z towarzyszami przy stole (z relacji wiadomo, że lubili u niego herbatkę), dogadywał się, negocjował, kluczył, a wszystko to w imię wolności Kościoła – którą rozumiał jako prawo do budowania świątyń, drukowania tygodnika i obsadzania biskupów swoimi ludźmi, nawet jeśli trzeba było dać komunie dowód lojalności w postaci kazania o spokoju społecznym albo zdjęcia z Bierutem. Jego życie to nie heroiczna opowieść o męczenniku, ale raczej polityczny thriller. I trzeba przyznać, że Wyszyński był w tej grze dobry. Zbudował potężną instytucję, która przetrwała komunę bez większych strat. A nawet silniejszą, z monopolem na moralność i kapitałem społecznym, którego nie powstydziliby się Bank Watykański.

Bez niego niewątpliwie nie byłoby ani papieża Polaka, ani święta Konstytucji 3 Maja pod krzyżem na placu Zwycięstwa, ani tego osobliwego przekonania, że Kościół w Polsce to nie tyle wspólnota wiary, ile ostatni bastion narodowego instynktu samozachowawczego. Jeśli Hlond był apostołem oblężonej twierdzy, to Wyszyński był zarządcą tej twierdzy w czasach okupacji – tyle że okupantem nie był Turek, Moskał ani Szwed, tylko towarzysz w garniturze z PZPR-u, który na przywitanie mówił: „Niech będzie pochwalony... plan pięcioletni”.

Warszawa po wojnie była jak zrujnowana katedra – bez dachu, z wybitymi witrażami i z wątpliwym zarządcą. No i wtedy pojawił się on – biskup z Lublina z tajną bronią: opanowaniem, modlitewnikiem i wyczuciem geopolityki. W 1948 roku został mianowany arcybiskupem warszawskim i gnieźnieńskim, czyli prymasem Polski, i od razu zrozumiał, że walka z komunizmem wprost to jak próba wyrwania różańcem karabinu z rąk funkcjonariusza UB. Dlatego wybrał drogę długiej gry.

Wyszyński z równą swobodą cytował encykliki, jak referował sytuację polityczną niczym zawodowy analityk z Biura Politycznego. Wiedział, kiedy zaostrzyć ton, a kiedy wziąć głęboki wdech i milczeć. Gdy władza ludowa zaczęła odbierać Kościołowi szkoły, prasę, wpływy, nie rzucał

klątw. Rzucał... protokół z rozmowy z Cyrankiewiczem. Jak trzeba było, podpisywał porozumienie z władzami (1950), jak trzeba było, mówił „non possumus” (1953). Ale robił też to, co robi dobry menedżer w trudnych czasach: walczył o rynek i o dostęp do klienta, a więc o lekcje religii w szkołach, o kościelne czasopisma, o seminaria duchowne, o zgody na procesje, o antenę w radiu. PRL dawał po palcach, on wkładał rękawiczki. PRL zamykał drzwi, on otwierał okna duszpasterskie. A wszystko to z Miodowej – tej samej ulicy, z której kiedyś listy pasterskie wysyłał Hlond. Różnica była taka, że Hlond walił pięścią w stół, a Wyszyński mówił: „Możemy się nie zgadzać, ale rozmawiajmy. Najlepiej u mnie, przy herbacie”. Tak, prymas tysiąclecia wynalazł katolicką *Realpolitik made in Warsaw* – styl, w którym msza święta kończyła się telefonem do sekretarza KC.

W 1956 roku, po październikowej odwilży, Wyszyński wrócił z internowania jak bohater narodowy, a potem już tylko umacniał swoją pozycję jako religijny filar państwa bez Boga, ale z betoniarką ideologii. Milczał, gdy trzeba było milczeć. Wzywał do pokoju, gdy ulice się gotowały. I zawsze – absolutnie zawsze – bronił interesów Kościoła z pozycji lojalnego, ale stanowczego partnera. Gdyby PRL był firmą, Wyszyński byłby dyrektorem od public relations, który znał szefa, ale potrafił też tupnąć nogą, gdy mu ktoś za bardzo wchodził w dział duszpasterstwa. Nie był rewolucjonistą. Był instytucją. Arcykapłanem równowagi między sutanną a sztandarem. I warto o tym pamiętać, zanim ktoś znów zacznie go malować wyłącznie jako świętego z aureolą i krzyżem. Bo w rzeczywistości trzymał w jednej dłoni krzyż, a w drugiej – dyktafon z zapisem rozmów z Gomułką. I właśnie dlatego wygrał.

Historia Świątyni Opatrzności Bożej to epicka saga polskiego nieudacznictwa z domieszką mesjanizmu. Narodziła się z Konstytucji 3 maja, a więc aktu, który miał zmienić wszystko, a skończył się, jak wiadomo, rozbiorem. Uchwalenie konstytucji uczciliśmy... pomysłem na budowę świątyni. Potem przez ponad dwieście lat nie zbudowaliśmy niczego poza mitem. Ale w końcu stanęła. Masywna, betonowo-piaskowa wotywna twierdza wyznawców pompy i koperty. No, ale kardynał Nycz miał dalsze plany. Chciał iść mocno w inwestycje.

Na rogu Nowogrodzkiej i św. Barbary, gdzie kiedyś pachniało kadzidłem i starą mszą świętą, dziś pachnie hajsem, stalą i deweloperką. W samym sercu Warszawy Kościół postawił na beton zamiast na betlejemską stajenkę. Kardynał Kazimierz Nycz – pobożny z ambony, cwaniak od nieruchomości po godzinach – buduje stusiedemdziesięciometrowy biurowiec Roma Tower. Zamiast dzwonów: winda panoramiczna. Zamiast kazania: briefingi z BBI Development. A zamiast zbiórki na misje: 23 procent zysków dla archidiecezji warszawskiej z wieżowca wartego około siedmuset baniek. Ktoś powie: „Jezus wyganiał kupców ze świątyni”. Nycz ich właśnie zaprosił – najlepiej z kapitałem, pod krawatem i z podpisaną umową najmu.

W 2015 roku w pałacu arcybiskupim przy ulicy Miodowej kardynał spotkał się z wiceburmistrzami Śródmieścia Mateuszem Siepielskim i Pawłem Suligą. Podczas tej audiencji kardynał, narzekając na biedę diecezji warszawskiej w porównaniu z krakowską, wyraził pragnienie budowy wieżowca. Towarzyszył mu tajemniczy mężczyzna w muszce, który okazał się Rafałem Szczepańskim z BBI Development, odpowiedzialnym za realizację inwestycji. Hanna Gronkiewicz-Waltz, ówczesna prezydent Warszawy, znana z głębokiej religijności, odegrała kluczową rolę w realizacji projektu. Mimo sprzeciwu urzędników i mieszkańców to właśnie ona osobiście zdecydowała o wpisaniu stusiedemdziesięciometrowego wieżowca do planu zagospodarowania przestrzennego. Jak sama przyznała: „Nie może mi architekt dyktować, bo nie on wygrał wybory”.

Relacje Gronkiewicz-Waltz z Kościołem były na tyle bliskie, że mówiło się, iż częściej można było ją spotkać w kurii niż w ratuszu. W wywiadzie dla Tok FM podkreśliła, że osobista więź z Chrystusem pozwala jej nie rozczarowywać się Kościołem nawet w obliczu jego instytucjonalnych problemów. Jej decyzja o wsparciu dla Nycz Tower była więc efektem boskiego natchnienia, które przeważyło nad głosami sprzeciwu.

Nycz Tower miała stanąć na działce przy ulicy Nowogrodzkiej 51, w samym centrum Warszawy, w pobliżu Dworca Centralnego i Pałacu Kultury i Nauki. Działka ta została odzyskana przez parafię św. Barbary w 2005 roku dzięki decyzji Komisji Majątkowej. Na terenie tym znajdują się obecnie myjnia, parking, niewielki budynek i zabytkowa plebania. Planowany wieżowiec miał kosztować około 150 milionów euro. Projekt inwestycji wywołał liczne protesty ze strony mieszkańców, aktywistów

i urzędników. Wielu obawia się, że tak wysoki budynek zdominuje historyczną zabudowę Śródmieścia i zaburzy charakter tej części miasta. Na razie więc zaniechano budowy. Ale święte portfolio Nycza ma czym się poszczycić:

- Roma Office Center – tu ksiądz już nie zbiera na tacę, tylko przyjmuje 867 tysięcy złotych miesięcznie od Narodowego Centrum Badań i Rozwoju. NCBR siedzi tu jak w świątyni nauki, a płaci jak za Hiltona;

- Centrum Jasna – Kościół wynajął biura Parlamentowi Europejskiemu. Tak, liberałowie, genderowcy i aborcjoniści płacą czynsz polskiemu proboszczowi i jakoś nikomu to nie przeszkadza, bo euro nie śmierdzi nawet w zakrystii;

- Teatr Roma – tam, gdzie dawniej śpiewano psalmy, dziś śpiewają *Upiora w operze* – pod nadzorem archanioła od PR-u;

- dom rekolekcyjny Dobre Miejsce – ale jak przyjeżdżasz z konferencją, to od razu robi się lepsze;

- Dobry Zakątek w Konstancinie – katolicki biznes resort, gdzie rekolekcje kosztują tyle, ile weekend w spa. Świętość, ale w wersji premium.

Ile to wszystko przynosi?

W samym 2020 roku Kościół warszawski – bez jednego dzwonka na tacę – wyciągnął 29 milionów złotych przychodu, z czego 6,8 miliona czystego zysku. I to wszystko bez złotówki podatku – bo „kult religijny”.

A staruszek Nycz święci dobry czas na emeryturze.

Zanim jednak przejdziemy do jego następcy, wróćmy na chwilę do historii.

Pisząc o opatrności bożej, która czuwała nad Polakami, trzeba nieustannie przypominać, że jednym z najgorliwszych grabarzy idei odnowy Rzeczypospolitej był – z pełnym namaszczeniem i w stu procentach bez ironii – Kościół katolicki. Kiedy po rozbiorach państwo polskie próbowało się otrząsnąć i znaleźć fundusze na niezbędną armię, ktoś w sejmie rzucił pomysł tyleż oczywisty, co świętokradczy: podwójne opodatkowanie duchownych, a jeśli to nie wystarczy, może zabór majątku biskupstwa krakowskiego. Pomysłów nie brakowało, determinacji też. Brakowało jedynie zgody kleru. W efekcie Rzym wpadł w popłoch, a Warszawa o mały włos nie zerwała kontaktów ze Stolicą Apostolską.

Rzec można: prawdziwa wojna idei – po jednej stronie racjonalność, po drugiej święte oburzenie.

Polscy hierarchowie, oczywiście z chlubnymi wyjątkami, chętnie powtarzali papieskie zalecenia, niekiedy z gorliwością godną świętej inkwizycji. Na przykład w 1832 roku, kilka miesięcy przed ogłoszeniem papieskiej encykliki *Cum primum* przez Grzegorza XVI – dokumentu, który potępił powstanie listopadowe i wszelki „liberalizm” – rozpowszechniano przekaz potępiający powstanie. Zamiast patriotycznego uniesienia mieliśmy hymn dziękczynny dla Najjaśniejszego Cesarza i Króla – czyli cara Mikołaja I – którego władzy należał się nie tylko hołd, ale i modlitwa, księża wykorzystywali ambonę do szerzenia „spokojności towarzyskiego pożycia” – oczywiście na prawie bożym i przy sumieniu czystym jak komża po krochmaleniu.

Nie był to jednak jednorazowy zryw lojalistycznej gorliwości. Ćwierć wieku później już jako arcybiskup Antoni Melchior Fijałkowski nie miał wątpliwości, gdzie leży źródło porządku społecznego. W swoim pierwszym liście pasterskim cytował Ewangelię św. Marka: „Oddawajcie, co jest cesarskiego – cesarzowi”. A słowa te pojawiły się w nim dwukrotnie – dla pewności, żeby nikt nie miał wątpliwości, komu należy się dziesięcina, a komu kadzidło. Fijałkowski przypominał księżom, że mają wpajać tę świętą zasadę ludowi wiernemu. Poszanowanie dla władzy monarchy było nie tylko obowiązkiem, ale i formą... duchowego oczyszczenia.

Na szczególne jednak uznanie zasłużył biskup Antoni Gałęcki z Krakowa, który w roku 1862 – czyli na chwilę przed wybuchem powstania styczniowego – wydał list pasterski godny kancelarii carskiej. Pisał w nim z rozbijającą szczerością, że władza świecka także od Boga początek bierze. Chrześcijanie mieli być posłuszni przełożonym nie dlatego, że przełożeni byli mądrzy czy sprawiedliwi – ale dlatego, że tak chce Bóg. Kropka. „Nie jest to nauka moja” – pisał – „jest to nauka przez samego Boga objawiona”. W 1863 roku Gałęcki nakazał usunięcie wszelkich emblematów wojennych i symboli narodowych z grobów powstańczych na cmentarzach krakowskich. Za taką postawę odznaczony został 16 grudnia 1864 roku austriackim Orderem Żelaznej Korony.

Ten chóralny pean duchowieństwa na cześć porządku i władzy miał swoją kumulację za czasów Zygmunta Szczęsnego Felińskiego, arcybiskupa warszawskiego. Feliński, który jako młody człowiek brał udział

w powstaniu wielkopolskim 1848 roku, szybko złożył broń. W wykładach opublikowanych wiele lat później, w 1885 roku, dał wyraz swojej dojrzałej, statecznej refleksji: wszelka forma oporu, nawet przeciwko niegodziwym rządóm, to grzech – chyba że jest to opór bierny, w stylu syna, który słucha rozkazów obłąkanego ojca. Taka metafora zresztą nie wzięła się znikąd – to był realny dylemat epoki, w której patriotyzm zderzał się z teologią lojalizmu.

W innym wykładzie Feliński poszedł dalej, jakby na złość wszystkim tym, którzy wciąż wierzyli w sens powstań. Stwierdził bowiem, że nawet jeśli nastąpiła władza zaborcza, rewolucyjna i nielegalna, to skoro dopuściła ją Opatrzność, należy ją szanować. Można się buntować... ale tylko w sercu. Bo już nie w kazaniu i nie na ulicy.

Tak oto z bożą pomocą i duszpasterskim spokojem polski Kościół w XIX wieku zapisał jedną z bardziej dwuznacznych kart swojej historii – pełną pokory, uniżenia i, owszem, wyrafinowanej teologii poddaństwa. Czy zrobił to z przekonania? Z obawy? Z politycznego wyrachowania? Zapewne wszystkiego po trochu. Ale fakty są takie, że gdy Rzeczpospolita potrzebowała dusz, serc i złota, Kościół był gotów dać co najwyżej słowo. A i to nie zawsze wspierające naród.

Warszawa, lato 1794 roku. Stolica drży pod ciężarem własnych grzechów, a ulice parują od gniewu. Mieszkańcy, znużeni zdradą elit i upokorzeniem rozbiorów, szukają winnych – i znajdują ich wśród tych, którzy przysięgali służyć Bogu i ojczyźnie. Wśród znienawidzonych nazwisk błyszczą nazwiska duchownych. Ale żaden z oskarżonych nie budzi takich emocji jak Wojciech Józef Skarszewski – biskup chełmiński, sekretarz Rady Nieustającej, członek konfederacji targowickiej, negocjator traktatu rozbiorowego, który z równą łatwością przemawiał z ambony, jak składał podpisy pod dokumentami służącymi Moskwie. Jego życie to opowieść o oportunizmie podszytym erudycją.

Skarszewski urodził się w 1743 roku. Był duchownym, który z równym zapałem oddawał się sprawom Kościoła jak polityki. Jako senator i biskup zasiadał w Radzie Nieustającej, a jego lojalność wobec Rosji była tak silna, że przyjął od Rosjan złoty krzyż za wierność. Wzywał księży, aby w konfesjonatach nakłaniali wiernych do posłuszeństwa wobec zaborców. Jego strój przypominał bardziej mundur carskiego urzędnika niż szaty

duchownego – złote hafty, order i ozdoby, które miały świadczyć o jego wysokiej pozycji, a w rzeczywistości były symbolem jego zdrady.

Podczas insurekcji kościuszkowskiej, jak głosi chyba jednak legenda, Skarszewski został aresztowany i skazany na śmierć przez powieszenie, ale los miał dla niego inne plany. Gdy tłum prowadził go na szubienicę, biskup wyjął z rękawa dwuzłotówkę i wsunął ją do dłoni jednego z oprawców. Ten zawahał się i zawołał: „Ho! temu dajmy pokój, bo to dobry pan!” – i odwrócił uwagę tłumu, wskazując na innego duchownego. Inna wersja mówi, że uratował go wpływowy znajomy z dawnych czasów – prezydent Warszawy Ignacy Wyssogota Zakrzewski. Prawdziwy proces biskupa odbył się latem. Trybunał nie szczędził słów. W uzasadnieniu wyroku stwierdzono, że jako senator dopuścił się krzywoprzysięstwa, kolaboracji i jawnej zdrady. Wyrok: śmierć przez powieszenie. Data: 13 września. Miejsce: rynek warszawski. Ale w ostatniej chwili, dosłownie tuż przed egzekucją, przybył posłaniec z informacją o zamianie wyroku na dożywotnie więzienie. Skarszewski uniknął stryczka.

Po śmierci Skarszewskiego w 1827 roku jego trumna nie zaznała spokoju. W czasach II Rzeczypospolitej lewicowa młodzież przyjęła zwyczaj zostawiania na jego trumnie sznura szubienicznego – symbolu zdrady i hańby.

Niektórym się wydaje, że film *Kler* ukazuje życie duchownych w krzywym zwierciadle. Otóż nie. W osiemnastowiecznej Polsce kler żył tak, że Smarzowski musiałby ocenzurować sam siebie. Wyobraźmy sobie duchownego, który częściej bywał w łoży masonskiej niż w zakrystii, a zamiast świętych ksiąg studiował, jak przekonać carycę Katarzynę, żeby zrobiła z niego kardynała... a potem najlepiej jeszcze papieża. Poznajcie Gabriela Podoskiego, który chyba przez przypadek przyjął święcenia, a potem już tylko leciał po bandzie.

Zaraz po święceniach w 1743 roku odprawił ponoć jedyną mszę w życiu – prymicyjną. Dalej poszło już z górki: modne ubrania prosto z Paryża, modne towarzystwo (czytaj: damy serca i nie tylko) i styl bycia, który bardziej pasował do dworu wersalskiego niż do kurii gnieźnieńskiej. Mason? Jasne, członek łoży Pod Cnotliwym Sarmatą (nazwa przewrotna, bo z tą cnotą to był raczej na bakier). Zaczynał jako kanclerz królewiczów, potem referendarz, pisarz koronny – a w końcu dostał największą fuchę w polskim Kościele: arcybiskup gnieźnieński, prymas Polski. Jak?

Oczywiście dzięki rosyjskiej pomocy, a konkretnie posłowi Nikołajowi Repninowi, który po prostu załatwił posadę po zgonie poprzedniego prymasa (prawdopodobnie otrutego). Katarzyna II miała podobno powiedzieć o Podoskim: „Trzeba, żebyś został kardynałem, a potem papieżem – choćby miało to kosztować dwa miliony dukatów”. No cóż, przynajmniej wiedzieli, że Duch Święty raczej go nie powoła, więc trzeba to było zrobić rublem.

W 1768 roku Podoski głosował za wezwaniem wojsk rosyjskich do Polski, żeby stłumić konfederację barską. Mówiąc wprost – pomógł oficjalnie zrobić z Rzeczypospolitej rosyjski protektorat. No, ale w zamian dostał order, uśmiech carycy i... łatkę jednego z głównych grabarzy polskiej suwerenności. Po rezygnacji z życia politycznego spakował walizki, zabrał kochankę i pojechał do Gdańska, a potem do Marsylii. Tam oboje zmarli po jakimś pechowym obiedzie – zatrucie pokarmowe, ale może to po prostu metafora życia na cudzy koszt. Jego ciało zabalsamowano i złożono w kościele. Ale – *plot twist!* – w trakcie rewolucji francuskiej jego szczątki zostały z pogardą wrzucone do Starego Portu przez rewolucjonistów. Ot, taki symboliczny koniec człowieka, który grał na wszystkie strony – a na końcu nie został przez nikogo doceniony.

Podoski zebrał więcej orderów niż pobożnych uczynków: Order Orła Białego (bo czemu nie?), Order św. Andrzeja Apostoła Pierwszego Powołania (prosto od Rosji), Order św. Aleksandra Newskiego (jeszcze jeden rosyjski – bo jeden to za mało). Jeśli istniałby Order Świętej Hipokryzji, też pewnie by go dostał. Trudno Podoskiego lubić, ale nie da się też od niego oderwać wzroku. Jak od antybohatera, który nakręca fabułę. W Kościele był, ale w Boga nie wierzył. Został prymasem, choć bardziej pasowałby do teatru, kabaretu albo... reality show.

Ale nie on jeden popierał zdrajców Polski. Weźmy takiego biskupa Józefa Kossakowskiego, zwolennika Targowicy, który brał wypłaty z ambasady rosyjskiej, aż w końcu lud warszawski powiedział „dość!” i powiesił go na szubienicy pod ratuszem. Oczywiście uprzednio zdjęto mu święcenia. Lud wiwatował, a sam skazaniec krzyczał, że razem z nim powinni wisieć inni biskupi. Zaiste – prawdziwy odruch solidarności.

Inny gagatek, Ignacy Massalski, też skończył na końskich lejcach. Prymas Michał Poniatowski, braciszek króla, ponoć na widok szubienicy dostał zawału... albo, jak wieść gminna niesie, połknął proszek. I tak powstał

wierszyk: „Księżę prymas zwał ją linę, wolał proszek niż drabinę”. Z kolei biskup Antoni Kazimierz Ostrowski miał prymasiarnię – skrzydło pałacu dla wyselekcjonowanych panienek. Biskup Ignacy Krasicki, ten od bajek, bajerował nie tylko dzieci, ale i Fryderyka Wilhelma, za co dostał arcybiskupstwo. W tle zawsze były ruble z Moskwy, carskie jurgielty, zdrady, hulanki, haremy i festyn rozpusty z modlitwą na ozdobę. Nawet Jan Paweł Woronicz – poeta i arcybiskup – zamiast o Bogu grzmiał z ambony o boskiej misji cara Aleksandra. No bo przecież jeśli car przysłał ikonę i beczkę wódki, to był znak z nieba, nie?

A potem dziwimy się, że Polska zniknęła z map. Papież Pius IX w XIX wieku stwierdził z goryczą: „Polacy szukają przede wszystkim Polski, a nie Królestwa Bożego – oto dlaczego nie mają Polski”. Może gdyby papież wcześniej pogonił „książąt Kościoła” od rubli, dziewczyn i procesji z pannami w tle, byłoby inaczej.

No, ale Polska się odrodziła, a po Nyczu nastał arcybiskup Adrian Galbas – twarz odnowy, nadzieja Kościoła otwartego, zapowiadany jako ten, co wszystko zmieni. Miał być jak świeży chleb z rzemieślniczej piekarni, pachnący reformą, a wyszedł przedsoborowy suchar. Tęskniący za jakimś ludzkim panem i czekający na odnowę dziennikarze z Kościoła otwartego zapowiadali go niczym proroka. W Polsce, jak wiadomo, oczekiwania wobec proroków nie są wygórowane: zapowiada się dobrze, mówi składnie, nie krzyczy o gender na każdym rogu, czasem nawet coś o dialogu rzuci. No, ale wyszło jak zawsze, kiedy wspomniał o swoim „ubolewaniu nad klimatem dyskusji” nad katechezą (czytaj: jak oni śmia nie pytać nas o zdanie!). A przecież katecheci w stresie, uczniowie w szoku, a konstytucja płacze.

Galbas z jednej strony przyznaje, że poziom lekcji religii nie zachwyca, a z drugiej – kurczowo się ich trzyma, jakby bez tego Kościół miał się rozpaść. Zapowiada nową podstawę programową, może nawet „nowy impuls i formę” w parafiach. Ale religia w szkole? Ma zostać. Bo jak wiadomo, dzieci najłatwiej złapać, gdy są uwięzione między biologią a wuefem. A w sprawach aborcji? Klasyka z betonu: „Prawa kobiet są ważne, ale...”. I cała reszta jak z podręcznika dla biskupa rocznik '95.

DZIEJE GRZECHU KRAKOWSKIEGO

Jednym z księży, który mnie molestował, był sercanin z Krakowa. Rezydował, jeśli dobrze pamiętam, w domu prowincjalnym na Saskiej. To taka kamienica z duszą, chociaż dziś bardziej kojarzy mi się z zapachem mydła i starości niż z duchowością. To była końcówka lat osiemdziesiątych, może początek dziewięćdziesiątych – nikt nie wiedział wtedy, co to efebofilia, nikt nie znał słowa „grooming”. Pedofilia kojarzyła się z potworem spod łóżka, ale już na pewno nie z sympatycznym księdzem, który opowiadał o Afryce i rozdawał dolary.

Przyjeżdżaliśmy z kolegami do Krakowa – nastoletni, głodni świata, spragnieni wrażeń i czegoś więcej niż blokowisko. On był jak czarodziej. Sypał misjonarskimi opowieściami, historiami o Czarnym Łądzie, o węzach i dżungli, o ludziach, którzy jedli robaki, ale modlili się z większą wiarą niż my. Książ z Afryki – to brzmiało jak Indiana Jones w sutannie.

Kupował nam piwo. Częstował z śmiechem. Poznał nas z jakimiś chłopakami z Afryki, którzy studiowali w Krakowie. Byliśmy młodzi, naiwni i zafascynowani tym miastem – jego brukiem, tramwajami, zapachem starych księgarń. Kraków miał w sobie coś z obietnicy, której nie umieliśmy jeszcze nazwać.

Ksiądz przychodził nad ranem do naszych łóżek.

Wkładał ręce tam, gdzie nie powinien. Pachniał mydłem i czymś jeszcze – czymś, co dopiero później nauczyłem się rozpoznawać jako zapach starości i samotności. To może wydawać się dziwne, ale śmialiśmy się wtedy z tego. Udawaliśmy, że nic się nie dzieje, bo przecież „on tylko tak żartuje”. Może był czuły, a może po prostu nikt nas nie nauczył, jak wygląda granica. A może nauczył – właśnie on.

Wracaliśmy. Znowu i znowu. Bo Kraków był piękny. Bo było piwo. Bo byliśmy chłopcami, którym wmówiono, że mają być twardzi, a nie rozczulać się nad jakimś tam dotykiem.

A teraz? Teraz to wspomnienie wraca czasem, kiedy jestem w Krakowie.

Na pierwszy rzut oka wszystko się zgadza: dorożki, hejnał z wieży, wyprasowane sutanny przemykające pod sukiennicami i ciągle jeszcze ten zapach kadzidła mieszający się z aromatem gofrów. Kraków to przecież perła – tak przynajmniej nazwał go papież Franciszek, wręczając pastorał Markowi Jędraszewskiemu, metropolicie miasta, które bardziej niż stolicą duchową Polski jest dziś kapsułą propagandy i przywileju. To tu Kościół nie tylko rządził duszami, ale i ciałami. I to dosłownie.

Kraków to przedziwna prowizorka zmontowana przez przyjaźnię i lojalność. Bo Krakówek to nic innego jak ulotna chwila spotkania. Jego celebracja jest niepowtarzalna. W Warszawie, w Poznaniu ludzie nie mają na nic czasu. W Krakowie jest inaczej. Ludzie chcą być ze sobą. To jest najważniejszy moment, na który czekają.

Nie tak dawno uczestniczyłem przez zupełny przypadek w obchodach jakiejś rocznicy *Anioła w Krakowie* z Krzysztofem Globiszem w roli głównej w małym krakowskim kinie. Po emisji filmu przyszedł czas na wspomnienia. Sporo czułości, autoironii, że choć film podbił serca publiczności w różnych miejscach na kuli ziemskiej, jakoś nie przełożyło się to na zarobek twórców. Ale praca przy nim związała ekipę na zawsze. Jakby była to inicjacja, wspólne uczestnictwo w cudzie. No i Globisz. Od jakiegoś czasu nie mówi. Otoczony przez przyjaciół, usiadł jednak po seansie na scenie. Czasem błysła mu łezka, a czasem włączał się do rozmowy, chcąc coś powiedzieć. Było cicho. Dukał bez wstydu, bo był wśród tych, którzy go kochają, a bliscy pomagali odgadnąć jego pointy. Niby nic się nie działo, ale ja czułem, jakby tę fabułę grali dalej. Potem na korytarzu w kartonie wpadły cynamonki, których nie dało się zjeść bez sklejenia palców, oraz podano wino. No i ludzie nie mogli się ze sobą nagadać. Jakby byli siebie łakomi.

W Krakowie nic nie dzieje się od razu. Nawet tramwaj zamyśli się, zanim ruszy z przystanku. Tutejszy, zanim coś powie, najpierw lekko westchnie – nie z braku powietrza, ale z potrzeby podkreślenia, że to, co za chwilę padnie, będzie nie tylko mądre, ale i historycznie uzasadnione. Pisząc tę książkę, spotykałem się z nimi w różnych miejscach. Najczęściej w restauracji. Na pierwszy rzut oka chłodni. Nie rzucają się w ramiona, nie klaszczą jak warszawiacy, nie śmieją się z otwartą buzią jak poznaniacy. Ale gdy tylko dasz im temat do rozmowy – o teatrze, o sztuce, o Kościele –

rozkwitają niczym forsycja na Grodzkiej. A gdy padnie jedno słowo, jedno nazwisko, to się zaczyna.

– U nas to jest jakoś inaczej – mówi mi ksiądz, który zaprosił mnie na kawę. Herbata mu nie służy. – Ci, co nie chodzą do kościoła, to przeżywają. Czasem bardziej niż ci, co codziennie na klęczkach.

Siedzimy w zadymionej kawiarni, gdzie pachnie książkami, kurzem i czymś nieokreślonym. Może to duch miejsca, a może brak wentylacji. Ksiądz ma na sobie golf. Zamawiam espresso, ale dostaję americano i już wiadomo, że zaraz wybuchnie. Biegnie za kelnerem, omal nie wpada na kuchnię. Jestem zawstydzony, bo to tylko kawa, ale on jest nie do zatrzymania. Jestem gościem w jego mieście. Musi to załatwić. Pytam wreszcie o arcybiskupa.

– Tego?! – Robi minę, jakby mu kto cytrynę w kubek wrzucił. I nie jedną, tylko kilka. – Chor... człowiek! – mówi ścisłym głosem, który w piątym zdaniu zamienia się w krzyk. – Chor! Ja nie wiem, jak to się stało. Kraków to nie jest prowincja! My mamy dziedzictwo, rozumiesz?

Ło matko! Nie zdążam odpowiedzieć. On już wstaje, macha rękami i opowiada mi o tych mentalnych włościach. O kardynałach, Bonieckich, Turowiczach, Rysiach. Kończy na Tischnerze, że ten to by mu w mordę dał, ale z filozoficzną miłością. Ludzie się patrzą, ale przecież to Kraków. Tu każdy ksiądz z odchyłem to bardziej lokalny koloryt niż skandal.

Kilka godzin później jem zupę z dziennikarzem z tych, co przez pół życia pisali z szacunku do faktów, a teraz już tylko z przyzwyczajenia. Bar na Kazimierzu, łyżka w talerzu, głowa nisko nad barszczem.

– Widzisz – mówi – ten Jędraszewski to nie jest tylko biskup. On tu urzęduje. – Zamyśla się. – Ja nie chodzę do kościoła od matury, ale jak on coś chlapnie, to mi się robi przykro. Nie wiem czemu. Może dlatego, że tu kiedyś było inaczej. A teraz to tylko wstyd.

Jak niby było?

W tle leci Marek Grechuta. Milczymy chwilę przy muzyce, aż wreszcie kelnerka przynosi rachunek.

– W Warszawie by się śmiali, w Poznaniu by go podliczyli, a wy? – pytam.

– My cierpimy. Po krakusku. W ciszy. Ale z godnością. – Robi pauzę. – Niech już idzie i się zamknie.

Śmiech w gardle, gula w duszy i zupa już nie smakuje tak samo. Bo to nie tylko o biskupa chodzi, ale o pamięć, miasto i o to, że Kraków miał być świętszy od Watykanu, a teraz trochę się go wstydzi.

Wracam do mieszkania i zamiast zasnąć, wchodzę w internetową krucjatę. Wpisuję jego nazwisko – jedno z tych, których nie trzeba nawet dokańczać, Google już wie, o kogo chodzi. Otwieram zdjęcia. Przewijam. Oglądam, jakby to była galeria męczennika albo ikony stylu.

Marek Jędraszewski: kwaśny, wychudzony, ale zdrowy. Zdrowy tak, jak są tylko ci, co nigdy nie pili, nie palili i zawsze wiedzieli, kiedy kończy się post. Trudno cokolwiek wyczytać z tej twarzy. Bardziej rzucają mi się w oczy koronki z komży, które nosi. Twarz bez zmarszczek, jakby nie musiał się nigdy martwić. Mankiety jak spod żelazka, bielizna liturgiczna lepiej wyprasowana niż pościel w Hiltonie. Patrzę i nie wierzę. On naprawdę wygląda, jakby w tym mieście nie chodził, tylko się unosił. Jakby wszystko – od brwi po buty – było na pokaz. Ksiązę Kościoła z Rynku Głównego, strażnik moralności, który nigdy nie widział tłumu wychodzącego z kościoła i nie ma już żadnych kontaktów z normalnymi ludźmi. Ma tylko dwór – pochylony nisko, bezmyślny, bezradny...

Nie wiem, co bardziej mnie boli – że tak wygląda czy że ja to oglądam. Że mimo wszystko mnie to obchodzi. Że Kraków z tym swoim „duchem miejsca” nadal wierzy, że biskup to ktoś więcej niż urzędnik w koronkach. Bo niby nikt już nie chodzi do kościoła, ale wszyscy po cichu jeszcze w coś wierzą. Albo chociaż chcieliby wierzyć, że kiedyś to miało sens.

Krakowianie kochają kulturę. Wystarczy wejść do kawiarni przy Rynku i posłuchać: rozmowy są o Miłoszu, wystawach i teatrze. Bo Kraków funkcjonuje na dwóch poziomach: dla turystów i dla lokalsów. Dla turystów są gołębie, obwarzanki i hejnalista, który codziennie umiera w połowie melodii. Dla miejscowych są niekończące się dyskusje o tym, czym był Kraków przed przybyciem tej tłuszczy. Krakowianin nie mówi „spoko”, tylko „niech będzie...”, co znaczy: „jestem na ciebie zły, ale nie mam siły walczyć”. Krakowianin nie mówi „kocham cię”, tylko: „Znam dobrą knajpę przy Dietla”, co oznacza: „chcę z tobą spędzić życie, ale muszę cię przetestować w rozmowie”. Krakowianin bywa złośliwy, ale po cichu. Zamiast powiedzieć wprost, że ci nie ufa, zapyta: „A z której dzielnicy pochodzisz?”. Nie lubi nowinek – chyba że są odpowiednio stare. Jeśli coś jest modne, to znaczy, że jeszcze nie dojrzało. Jeśli coś jest modne od stu

lat, wtedy może rozważyć, czy warto się tym zainteresować. Skąpy? A i owszem. Ale nie dlatego, że nie chce dać – po prostu uważa, że nie musisz wiedzieć, ile co kosztuje, a jak zapłaci, to tak, żeby nie było widać. Zresztą w Krakowie o pieniądzach się nie mówi.

Poczucie humoru krakowianina jest jak tutejszy smog – gęste, duszne i trudne do wykrycia bez odpowiednich instrumentów. Nie ma tu rehotu, nie ma wystrzałów radości. Jest za to ironia – czasem czarna, czasem tak subtelna, że można ją pomylić z obojętnością.

W Krakowie mit Polaka katolika ma centrum dowodzenia, a tutejszy Kościół przez wieki używał religii jako narzędzia władzy, a historii – jako materiału do fałszerstw. To tu żył i pisał Wincenty Kadłubek, pierwszy propagandysta w sutannie. Cysters, który postanowił dodać Polsce godnej przeszłości, bo ta realna nie spełniała oczekiwań dworu i Kościoła. Zmyślał, a jakże. O walkach z Aleksandrem Macedońskim, o Lechu, Czechu i Rusie, o rzekomych cnotach Piastów. A za ten literacki fałsz został nagrodzony fotelem biskupa krakowskiego, choć elekcję przegrał. Papiestwo jednak miało inne priorytety niż uczciwość wyborów. Ważne było, kto lepiej służy interesowi Rzymu.

Dziś Kraków chwali się Kadłubkiem, jakby chodziło o Homera. Papież Klemens XIII ogłosił go błogosławionym w 1764 roku nie za cnoty, ale za skuteczność w tworzeniu mitów. W XIX wieku jego dzieło trafiło pod lupę historyków i rozgorzał spór „plemienia Kadłubkowego” z „plemieniem Galla”, postulującym historyczną powściągliwość i oddech od hagiograficznego bełkotu. Ale to Kadłubek wygrał w oczach Kościoła – jako ojciec polskiej kultury. Co za ironia.

Kraków przez setki lat był zaledwie diecezją podległą Gnieznu, co tylko pokazuje, jak wiele z tej wielkości to po prostu dobrze opakowany towar promocyjny. Archidiecezją stał się dopiero w 1925 roku, ale to nie przeszkadzało lokalnej kurii budować narracji o duchowej stolicy Polski. Duchowej? A może stolicy świętej nietykalności? Tu kardynałowie mają swoje salony, biskupi swoje wille, a proboszczowie nie tylko ambony, ale i wpływy, o jakich premier mógłby pomarzyć. Tu się klęczy – nie tylko z wiary, ale i z wyrachowania.

W Krakowie ksiądz to nie człowiek, to instytucja. Ma swoich ludzi w sądach, prokuraturach, radach miejskich i sejmikach. Ma lekarza, który podpisze mu wszystko, nawet nieśmiertelność. Ma wójta, który zorganizuje

procesję na koszt gminy, i komendanta, który zamiecie pod dywan, co trzeba. Sutanna w Krakowie to wciąż mundur chwały. Nikt nie pluje, nie krzyczy, nie wypomina grzechów Kościoła. Tu się jeszcze ceni duchowieństwo – nie za to, co głosi, tylko za to, co załatwia. Tu ksiądz może przejść przez rynek jak generał po zwycięskiej bitwie i choć wszyscy wiedzą, z kim mają do czynienia, wolą nie szargać świętości.

W tym mieście nie trzeba być wierzącym, żeby żyć w cieniu Kościoła, bo Kościół przypomina tu władzę okupacyjną: z własnym aparatem wykonawczym.

Idąc z Kazimierza na Rynek, przystaję przed witrynami księgarń i spoglądam z politowaniem na tomy hagiografii: biografie biskupów, świętych i proroków. Co chwilę mijam jakiś wyrastający ponad inne budynki przybytek zakonny, kaplicę albo wydawnictwo pod wezwaniem tego czy innego świętego. Bo jeśli Kościół ma swoje Disneylandy, to Kraków jest jego Paryżem. Zawłaszczył tu wiele ulic.

Ale ta perła ma pęknięcia. Pod fasadą barokowych zdobień, koloratkowych uśmiechów i procesji kryją się skandale, procesy, ofiary. Kraków to też muzeum winy, a nie tylko pomnik wiary. To tutaj wzmocniono to wielkie kłamstwo, że Polak to katolik. I jak to z wielkimi kłamstwami bywa – zadziałało. Połączenie chrztu księcia z budowaniem narodowego brandu było marketingowym majstersztykiem. Nie minęło tysiąc lat, a każdy, kto nie klęknął przed ołtarzem, był już podejrzany – o zdradę, herezję, a przynajmniej o to, że nie je wieprzowiny. Polak katolik to nie był pogląd. To był kod dostępu do zbiorowej tożsamości, przypinany każdemu obywatelowi jak PESEL.

Cały ten proces doskonale opisał Stanisław Obirek. Zaczęło się niewinnie. Ot, Mieszko, człowiek pragmatyczny, potrzebował jakiegoś sojuszu, a że Niemcy grozili chrześcijaństwem z lewej strony, to lepiej było wziąć je z Rzymu – na własnych warunkach. Efekt? Dzieci w szkole uczą się, że Polskę stworzył sakrament. A potem już poszło: trybunał inkwizycji, Trybunał Koronny, sobór trydencki, paschał i pasztet z królików na Wielkanoc.

A przecież kiedyś tu było inaczej. Kiedyś – to znaczy wtedy, gdy Polska była Rzeczpospolitą, a nie Parafią – Żydów, Rusinów, Ormian, muzułmanów i protestantów można było poznać na rynku, a nie tylko z antysemickich kazań. Polska była jak kolorowy bazar. Ale potem przyszła

kontrreformacja, taka duchowa krucjata z modlitwą, różańcem i cenzurą. Zamiast wielogłosu pojawiła się monotonia, zamiast wielowyznaniowej mozaiki – kleks w kształcie krzyża łacińskiego. Później nastąpiły rozbiory. To właśnie wtedy Kościół stał się substytutem państwa, a ksiądz – ostatnim urzędnikiem Rzeczypospolitej, bo – jak wiadomo – nic tak nie łączy jak wspólny wróg i wspólna msza za ojczyznę. Problem polegał na tym, że wielu duchownych mówiło wprawdzie po polsku, ale w sercu miało Watykan i lojalność wobec papieży, którzy zaborców całkiem sobie chwalili. Kto by się jednak wtedy wczytywał w encykliki? Wystarczyło, że proboszcz mówił z ambony, że modlitwa za cara była też modlitwą za Polskę.

I tak krok po kroku kłamstwo, że Polak to katolik, rosło w siłę. Przetrwało wojny, PRL, stan wojenny i tygodnie wielkiego postu. Mało tego – dzięki Hitlerowi i Stalinowi stało się wręcz literalnie prawdziwe. Wystarczyło zgładzić Żydów, przegnać Niemców, oddać Lwów i Wilno sąsiadom, a Polska z kraju wielu języków i wyznań stała się jednowymiarowym obrazkiem z Polakiem z różańcem z Matką Boską w tle i z podpisem: „*Memento, homo*”. Katolicyzm został nam wdrukowany jak logo państwowe – na świadectwach, na maturze, na murach i na tabliczkach „Katolickie Liceum Ogólnokształcące im. bł. Pawła VI”.

Dziś, gdy próbujesz powiedzieć, że może jednak nie trzeba być katolikiem, żeby być Polakiem, słyszysz, że jesteś zdrajcą, agentem albo liberałem. Liberalizmu boją się najbardziej, bo oznacza pytanie. A „Polak katolik” to przecież odpowiedź – ostateczna i nieodwołalna. To zaklęcie, które sprawia, że nawet najbardziej obojętni na Kościół wciąż mówią: „Ja do kościoła nie chodzę, ale w coś trzeba wierzyć”. No i wierzą. W Matkę Boską i Orłęta Lwowskie, w świętego Jana Pawła i Cud nad Wisłą. Czasem też w prezesa, ale to już inna opowieść.

Tak powstała narodowa magma – jak pisała Agnieszka Graff – oklejająca wszystkich: wierzących, niewierzących i niedowierzających. Bo tu nie chodzi o Boga, tylko o tożsamość. Katolicyzm w Polsce stał się nie tyle religią, ile sposobem bycia Polakiem. Rytuałem narodowym. Religijnym przebraniem patriotyzmu. I właśnie dlatego nikt już nie pyta, czy określenie „Polak katolik” ma sens. Bo przecież wszyscy wiedzą, że ma. Jak rekolekcje przed maturą. Jak ksiądz w komisji wyborczej i ołtarz na asfalcie.

No to powspominajmy trochę, jak to w tym Krakowie było drzewiej.

Z zapałem godnym Marka Jędraszewskiego, który uczynił z walki z mniejszościami seksualnymi niemal sens swego pasterzowania, walczył ponad pięćset lat wcześniej z Żydami inny duchowny – święty Kościoła katolickiego, włoski franciszkanin Jan Kapistran.

Kraków, rok Pański 1453. Rynek Główny pulsuje niecodziennym napięciem. Z całego miasta, a nawet z okolicznych wsi ciągną tłumy. Kupcy zamykają stragany, żacy przerywają kłótnie pod Bramą Floriańską, mieszczki ściskają różańce, a kapelani, nawet ci z Collegium Maius, spoglądają niepewnie spod kapturów. Na drewnianej ambonie ustawionej przed kościołem Mariackim staje drobny mężczyzna o przenikliwym spojrzeniu. To on. Jan Kapistran – zakonnik z dalekiej Italii, człowiek, który według niektórych potrafi leczyć dotykiem, według innych podpala dusze.

Przybył do Krakowa jako emisariusz papieża i prorok nowego czasu. Kazania głosił nie w kościołach, lecz na placach – bo ściany nie mieściły tysięcy, które przychodziły słuchać. Mówił o pokucie, o końcu czasów, o nieczystości księży, lenistwie mieszczan, herezji husytów i „grzechu w ciele Żyda”. Jego słowa były jak uderzenia bicia. Mówił donośnym śpiewnym głosem, unosił ręce ku niebu, a ludzie płakali, mdleli, kruszyli na miejscu amulety i oddawali bogactwa klasztorom. Podobno Zbigniew Oleśnicki, biskup krakowski, patrzył na to z podziwem, ale i z obawą. Nie ufał jego nadmiernej gorliwości. Ale król Kazimierz Jagiellończyk uległ urokowi „świętego Włocha”. Pozwolił mu nie tylko głosić Słowo, ale i założyć nowy klasztor franciszkanów obserwantów pod wezwaniem św. Bernardyna ze Sieny, nazwany tak na cześć mistrza Kapistrana. Klasztor zbudowano u stóp Wawelu, jakby sam Kościół chciał pokazać, że to, co się zaczęło na rynku, ma trwać. Ale nie wszyscy byli zachwyceni. Na Kazimierzu i wśród kupców szeptano o niepokojach. Kapistran ostro potępiał Żydów, zarzucając im czary, herezje i wyzysk chrześcijańskich dusz. Kilkakrotnie doszło do zamieszek – ludzie pod wpływem jego słów rzucali kamieniami w domy żydowskie, palili księgi, żądali „oczyszczenia miasta”. Historycy później nazwą to kaznodziejstwem nienawiści, ale wtedy uznawano: „Święty mówił, że trzeba się nawrócić”.

Jan Kapistran odszedł z Krakowa tak nagle, jak się pojawił. Jeszcze przez kilka lat wędrował po Europie, nawoływał do krucjaty przeciw Turkom,

a w 1456 roku zmarł w mieście Ilok (obecnie Chorwacja) po zwycięskiej bitwie pod Belgradem. Legenda głosi, że za jego sprawą w Krakowie wydarzyły się cuda, a ponad setka młodych akademików porzuciła studia i wygodne życie, by przywdziać habit franciszkański. Zamiast poszukiwać prawdy w dziełach Arystotelesa, zdecydowali się oddać „naukom Bożym” i ascezie, jakby tylko wyrzeczenie i walka z innymi mogły zapewnić zbawienie. Został kanonizowany ponad dwieście lat później, w 1690 roku, przez papieża Aleksandra VIII. Można powiedzieć: ot, jeden z wielu świętych antysemitów Kościoła katolickiego.

Świadkiem wielu wydarzeń, które na trwałe zapisały się w dziejach średniowiecznej Polski, był Jan Długosz – kronikarz, kanonik i wychowawca królewskich synów. To pod jego kierunkiem kształcił się między innymi królewicz Kazimierz, późniejszy święty.

Pewne rzeczy trudno zrozumieć: jak to się dzieje, że jeden królewicz ginie w bitwie i znika z kronik, a inny umiera na gruźlicę w wieku dwudziestu pięciu lat i trafia na ołtarze. Święty Kazimierz Jagiellończyk to właśnie ten drugi przypadek: młody, chorowity, pobożny chłopak, który zamiast szukać korony, znalazł aureolę.

Na dworach XV wieku najczęściej do powiedzenia mieli ci, którzy potrafili skutecznie zawiązać sojusz lub podciąć gardło. A tu nagle Kazimierz – chłopak, który codziennie chodził na mszę, spał na podłodze, a pod jedwabną szatą nosił włosienicę. Nie chciał balów, nie ciągnęło go na polowania, nie chciał walczyć o władzę, kiedy ojciec wysłał go na tron węgierski. Powiedział, że woli spokój sumienia. Czyli mówiąc dzisiejszym językiem, odmówił korpo kariery dla jogi i samotnych spacerów. Zmarł w Wilnie na gruźlicę, a ludzie zaczęli szeptać, że to był ktoś wyjątkowy. A ponieważ władcy uwielbiają świętych w rodzinie (nic tak nie legitymizuje dynastii jak własny kandydat do nieba), brat Kazimierza – król Aleksander – postanowił zrobić z niego oficjalnego orędownika u tronu Pana.

Wyobraźmy to sobie: Litwa, od stu lat chrześcijańska, wciąż jak ten biedny krewny na weselu Europy – ochrzczona, ale bez świętego. Polacy mają Stanisława, Czesi – Wacława, Włosi – co drugi grób z aureolą, a Litwini? Litwini mają problem. Na szczęście w rodzinie trafił się Kazik: młody, pobożny, abstynent, pacyfista... A że nie zdążył narozrabiać, to się nadawał. Idealny kandydat na świętego z katalogu cnót: „czystość,

młodość, królewskość”. Litwini dobrze go wspominali (bo podobno miał być ich wielkim księciem, czyli swojakiem), więc dogadali się z Polakami: Zróbmy chłopaka świętym – i dynastia błyszcząca, i Litwa nie wygląda na duchowe peryferie.

No więc w 1518 roku, w czasie jakiejś wojny z Moskwą, Kazik nieoczekiwanie wraca – tym razem jako *post mortem influencer*. Pojawia się na chmurce jak Gandalf z CGI i pokazuje rycerzom, gdzie przez Dźwinę przejść suchą nogą. Rycerze do króla: „Kazik przyszedł!”, a Zygmunt Stary na to: „To znak z nieba. Robimy go świętym, zanim konkurencja się zorientuje”. Wysłał więc do Rzymu prośbę – przez Jana Łaskiego, który był typem nadambitnego urzędnika, gotowego papieżowi wyczyścić sandały, byleby tylko projekt przeszedł. Papież Leon X zapewnił: „No dobra, przemyślę to”, i wysłał swojego człowieka do Polski. Legat Zaccaria Ferreri słucha tych opowieści, zwiedza kapliczki, je żurek i... zakochuje się w Kaziku. Pisze o nim hymn po łacinie (pewnie coś w stylu: „Kazimirus vir sanctus erat et semper ieiunabat”), opracowuje zgrabny żywot, dorzuca teksty liturgiczne i stwierdza: „Tak, panowie, to święty pełną gębą”. Papież łaskawie zgadza się na kanonizację w 1521 roku.

Pierwszą więc bullę kanonizacyjną dotyczącą królewicza Kazimierza wydał Leon X. Tak, właśnie ten Leon – wybitny przedstawiciel renesansowego hedonizmu w tiarze, miłośnik muzyki, sztuki, bibelotów i... powiedzmy, nieograniczonego stylu życia duchowego. Człowiek, który tak bardzo kochał Kościół, że zamienił go w salon towarzyski Medyceuszy. Kontynuator upadku papiestwa i patron świętych z przypadku – a może raczej z politycznego zapotrzebowania. To o nim szwajcarski protestant Jean-Henri Merle d’Aubigné powiedział wprost: „Co się atoli uczucia religijnego dotyczy, to tego u Leona nie było zgoła ani śladu”. No trudno się dziwić – papież żywił inne uczucia. Na przykład do muzyki, perfum, dobrze zbudowanych akolitów i wieczorków poetycko-kulinarno-lutnistycznych. A że według niektórych źródeł był ateistą? Cóż, nie on pierwszy i nie ostatni pełnił w Kościele wysoką funkcję bez szczególnej wiary w tego, którego reprezentował.

Wenecjanin Paolo Sarpi również zarzucał mu brak wiary. A John Bale, angielski reformator, w swojej paszkwilanckiej kompilacji *Pageant of Popes* przypisał Leonowi legendarne zdanie: „Wszystkie wieki mogą poświadczyć, jak korzystna była dla nas ta bajka o Chrystusie”. Do tego

dołożmy jeszcze smakowite plotecki z watykańskiej pralni: sodomie, biboszki, papieskich faworytów kąpiących się w marmurowych wannach, Bibbiene z erotycznymi freskami. Dobrze poinformowani ambasadorzy co prawda nic o tym wszystkim nie pisali, ale może po prostu nie wypadało? Albo kapali się razem?

I to właśnie Leon X w przerwie między ucztą a mecenasowaniem Rafaelowi uznał, że nieżyjący od kilkudziesięciu lat królewicz z Wilna – Kazimierz – zasługuje na aureolę.

Bulla idzie w drogę do Polski z biskupem Erazmem Ciołkiem. Ale co się dzieje? Erazm trafia we Włoszech na zarazę i... umiera. Razem z nim przepadają wszystkie papiery. *Sic transit gloria sancta*. I przez osiemdziesiąt lat Kazik musi się zadowolić byciem lokalnym świętym. Na obrazkach już z aureolą, ale bez papierów. Dopiero Zygmunt III Waza, wielki amator wszystkiego, co rzymskie, wpada na pomysł: „A może tam w archiwach jeszcze coś leży?”. No i leżało! Kopia bulli się znalazła. Papież Klemens VIII uznał więc: „No dobra, jak już wszystko gotowe, to nie będę marudził” – i w 1602 roku wystawił drugą bullę. Z pieczętką i wszystkimi bajerami.

I tak to Kazimierz Jagiellończyk młodszy został świętym. Nie dzięki cudom, nie dzięki objawieniu, nie dzięki krwawiącej hostii, tylko kombinacji polityki, rycerskich halucynacji i watykańskiej papierologii. A że chmurka się zgadzała, modlitwy były, no i hymn po łacinie gotowy, to i aureola siadła bez zarzutu.

Nie ma świętego bez cudów. Dla Kazimierza trzeba ich było trochę dopisać po fakcie. Najwięcej zdarzyło się w Wilnie. Gdy miasto miało być zaatakowane przez Szwedów, podobno jego mieszkańcom ukazał się młody mężczyzna w białej szacie i z mieczem w dłoni, który poprowadził wojsko do zwycięstwa. Ktoś rzucił, że wyglądał jak Kazimierz, i legenda poszła w lud. Inna historia – już bardziej przyziemna – mówi o chłopcu z chorymi nogami, który cudownie ozdrowiał, gdy modlono się przy grobie królewicza. Z czasem cudów uzbierało się kilkadziesiąt – skrupulatnie odnotowywanych przez kanoników, którzy wiedzieli, że święty z lokalnym kultem to też inwestycja. Niektóre przypadki były bardziej przekonujące, inne mniej. Jeden ze świadków zapisał na przykład, że pewna kobieta doznała „wewnętrzznego ukojenia”, co w języku ówczesnych hagiografów

mogło oznaczać równie dobrze wyleczenie z gorączki, jak i popołudniową drzemkę.

Wizerunek świętego Kazimierza, jaki dziś można zobaczyć w Wilnie, to osobna historia. Na jednym z najstarszych obrazów ma... trzy ręce. Nie, to nie nowy cud, ale efekt nieudanej renowacji. Ale że każda dobra pomyłka może stać się znakiem z nieba, wierni potraktowali to jako symboliczny dowód jego nadprzyrodzonej mocy. Jedni mówią, że to znak Trójcy Świętej. Inni, że chodzi o jedność Polski, Litwy i... niech będzie – nieba. Faktem jest, że żaden inny święty nie dorobił się tylu interpretacji jednej kończyny.

Kazimierz został świętym, bo był zbyt dobry, żeby go pominąć, i zbyt potrzebny, żeby nie zrobić z niego patrona unii. W czasach, kiedy Kościół lubił mieć swoich ludzi w każdej dynastii, Kazimierz – czysty, młody, królewski i martwy – był idealny. Nikt się nie bał, że się skompromituje. No i nie mógł już powiedzieć niczego, co można by źle zinterpretować.

Dziś w wileńskiej katedrze jego srebrny sarkofag błyszczy w półmroku. Turyści czasem pytają: „A co on właściwie zrobił?”. Odpowiedź brzmi: nic spektakularnego. Po prostu był dobry. Czasem to wystarcza – zwłaszcza gdy masz brata króla i papieża gotowego na układy.

A teraz inna historia młodego człowieka. Tylko że ten był ambitny. Pochodził z wpływowego rodu Odrowążów, a jego kariera rozwijała się błyskawicznie – od nauczyciela w szkole katedralnej przez kanclerza księcia Bolesława Wstydliwego aż po biskupa krakowskiego w 1266 roku. Gdy obejmował katedrę, miał niespełna trzydzieści lat, a już władzy mogła mu pozazdrościć niejedna głowa państwa.

Paweł z Przemankowa nie był pasterzem, lecz graczem. Człowiekiem politycznym, bezkompromisowym, gotowym rzucić wyzwanie księciu i królowi. W 1273 roku był głównym inspiratorem rebelii rycerstwa krakowskiego przeciw Bolesławowi Wstydliwemu. Źródła wprost przypisują mu podżeganie do buntu. Po jego stronie stanęli możni, którzy mieli już dość książęcej centralizacji władzy. Ale Paweł nie ograniczał się do polityki. Był także biskupem sybarytą. Jan Długosz pisał o nim, że był „światowy, ziemski, nieczuły na wyrzuty sumienia, zły i rozwiązły”. Wśród najgłośniejszych oskarżeń pojawia się historia z klasztoru klarysek w Skale. Według przekazów podczas wizytacji zakonnej Paweł miał zgwałcić jedną z młodych sióstr. Długosz nie owijał w bawełnę – nazywał rzecz po

imieniu. Bez wahania, z przekonaniem, że władza duchowa daje mu nietykalność, biskup dopuścił się brutalnego aktu. I nie spotkała go za to żadna kara. Różne źródła sugerowały, że Paweł utrzymywał coś na kształt haremu – zbierał młode dziewczęta z okolicznych wiosek pod pretekstem opieki duchowej nad nimi, a potem zamykał je w pomieszczeniach dostępnych tylko jego służbie. Traktował je jak własność. Część z nich zniknęła bez śladu, reszta milczała – ze strachu lub przyzwyczajenia do władzy, której nikt nie śmiał podważyć. Nawet klasztory nie były dla Pawła z Przemankowa świętością. Długosz uważa, że kobiety traktował jak towar, a Kościół jak prywatną domenę rozkoszy. Miał nawet aranżować „polityczne związki krwi” z Litwinami – ożenki krewniacze, by zyskać sprzymierzeńców.

Legendsy rosły. Mówiono, że słyszał głosy z nieba. „Biada ci, Pawle, lepiej by było, gdybyś się nie narodził!” – krzyczał eteryczny głos, słyszany rzekomo przez dziesiątki świadków. Innym razem głos szeptał: „Nie bój się, Pawle, rób, co chcesz – umrzesz za siedem lat”. Długosz dodaje jeszcze, że pewien zakonnik miał sen: wilk przemówił ludzkim głosem, oskarżając biskupa o grabież i zabójstwo. Duchowni ponoć rozpowszechniali te opowieści, traktując je jako ostrzeżenie.

A jednak Paweł żył jeszcze dziewiętnaście lat po „przepowiedni”. Umarł w 1292 roku i został pochowany na Wawelu – nie ze względu na świętość, lecz ze strachu lub szacunku dla jego siły. Zasłynął jako ten, który próbował uczynić z Kościoła państwo w państwie – wolne od świeckiego prawa, ale też pozbawione pokory. Umocnił niezależność duchowieństwa w Krakowie i – jak pokazują źródła – przekroczył granice moralności, której nie powinien przekraczać nikt, kto myśli o świętości. Niektórzy mówili o nim: biskup niezłomny. Inni: tyran w ornacie. Nie bał się ani księcia, ani Boga. Kiedy przeciwstawiał się królowi, naród bił mu brawo, ale kiedy zamykał drzwi klasztorów – kobiety milczały, a świat odwracał wzrok.

Paweł z Przemankowa był skonfliktowany z kolejnymi książętami – szczególnie z Leszkiem Czarnym, synem Bolesława Wstydliwego i przybranym synem świętej Kingi. Ta ostatnia – księżna i mniszka – wystawiła mu pozytywne świadectwo. Po śmierci męża jako zakonnica zarządzająca dobrami Sądeckich weszła w spór majątkowy z Leszkiem Czarnym. Biskup Paweł stanął po jej stronie. Trudno się dziwić, że Kinga,

której postać nie budzi większych kontrowersji, darzyła Pawła szacunkiem i wdzięcznością za wsparcie w trudnym okresie.

Legenda głosi, że małżeństwo Kingi i Bolesława Wstydliwego nigdy nie zostało skonsumowane – za sprawą cudu lub głębokiej pobożności obojga. Poznali się, gdy Kinga miała zaledwie cztery lata i została oddana trzynastoletniemu księciu w Wojniczu. Choć ich związek przypieczętowano formalnie, to wedle hagiografii Bolesław zrezygnował z praw małżeńskich – co tylko dodało mu aureoli pokutnika, a Kindze ułatwiło drogę do świętości.

Pochodząca z dynastii Arpadów węgierska księżniczka potraktowała religijność nie jako powinność, ale misję. Świętość była jej celem, a umartwienie – środkiem do niego. Rzuciła się w ascetyczne życie z gorliwością, która nawet w średniowieczu mogła uchodzić za skrajną. Nie jadła mięsa, piła wyłącznie wodę, chodziła boso. Zrezygnowała z biżuterii, a biodra okręcała pasem z końskiego włosa, który ranił jej skórę do krwi. Gdy robiło się ciepło – wkładała kilka warstw ubrań. Zimą – przeciwnie, chodziła niemal naga. Polecała zagrzewać wodę w kotłach, by gorąca para mogła zamarać na jej ciele. Kiedy zabrakło starych środków pokutnych, znajdowała nowe: według przekazów miała nawet ogrzewać cuchnące szmaty, by ich odór wprowadzał ją w stan duchowego cierpienia. Wszystko po to, by wyrzec się ciała i przybliżyć do Boga.

Jej styl życia wzbudzał podziw, ale też wątpliwości. Mimo że naśladowała surowy ideał franciszkański, to właśnie bracia z zakonu świętego Franciszka rozpuścili najcięższą z plotek. Według Jana Długosza oskarżono Kingę o utrzymywanie zbyt bliskiej relacji z duchownym o imieniu Boguchwał. Ten miał przebywać przy niej „nazbyt długo”, co wywołało poruszenie we franciszkańskiej wspólnotce. Boguchwał odesłano do Gniezna, a śledztwo w jego sprawie wszczął sam franciszkanin Piotr. Nie wiadomo, na czym oparto oskarżenie, ale jedno jest pewne: sprawę poruszono aż na spowiedzi. Gdy Piotr dopytywał Kingę o jej relacje z Boguchwałem, miała odpowiedzieć tylko: „Bóg wie wszystko” – krótko, stanowczo, z mistycznym przekonaniem. Sprawa ciągnęła się także po jej śmierci w 1292 roku.

W obronie czystości Kingi na prośbę żony, którą była królowa Jadwiga, wystąpił Władysław Łokietek. Zaświadczył, że widział „nieomyłne znaki” świadczące o jej niepokalanym stanie, w kontekście – delikatnie mówiąc –

absurdalnym. Bo skąd król miałby wiedzieć cokolwiek o stanie ciała zmarłej księżnej? Nie chodziło jednak o wiedzę, lecz o politykę. Jadwiga i Władysław byli głównymi patronami dzieła wyniesienia Kingi na ołtarze. Ich religijność nie była konwencjonalna – w 1320 roku podczas swojej koronacji w Krakowie Jadwiga uzyskała od papieża Jana XXII specjalne uprawnienie: mogła przekraczać klauzurę klarysek krakowskich, gdzie przebywała Kinga. Po śmierci Władysława Jadwiga sama zamieszkała w tym klasztorze. Dbała o pamięć o swojej świętej krewnej, ale też o Kościół – wedle własnej nieszablonowej wizji religijności, w której kobieta mogła być nie tylko cnotliwa, ale też wpływowa.

Tak oto opowieść o Kindze – księżniczce, mniszce, żonie i świętej – pozostaje wciąż fascynującym przykładem średniowiecznego modelu kobiecej świętości. Modelu, w którym ból, zapach rozkładu i milczenie wobec oskarżeń bywały oznaką zbawienia.

Postaci barwnych odzianych w biskupie stroje było w Krakowie więcej. Można by pisać o nich bez końca.

Był lipiec 1294 roku, kiedy przed bramę kurii krakowskiej zajechał konno starosta czeski. Nie był sam – towarzyszył mu oddział zbrojnych. Przed sobą trzymał dokument opatrzony pieczęcią króla Wacława II. Była to jawna ingerencja w wybór polskiego hierarchy, ale też przestroga: Kraków nie jest już wasz, lecz nasz. Kandydatem popieranym przez Czechów był Jan Muskata – duchowny, notariusz, dyplomata, wykształcony w Bolonii prawnik, który bardziej niż świętymi księgami interesował się mapą wpływów politycznych w Europie Środkowej. To był moment narodzin jednej z najbardziej kontrowersyjnych postaci Kościoła w Polsce. Muskata bowiem potrafił dla polityki zrezygnować z mszy, a Pismo Święte zamienić na miecz i dyplomatyczne knowania.

Już sam fakt, że Muskata zawdzięczał swą godność biskupią czeskiej protekcji, ustawił go w roli kogoś obcego wobec polskich interesów dynastycznych. Kiedy Przemysław II w 1295 roku koronował się na króla Polski, Muskata nie pojawił się w Gnieźnie. Ale już dwa lata później w Pradze był jednym z pierwszych duchownych, którzy złożyli hołd Wacławowi II jako królowi Polski. Nie wynikało to jednak z jego lojalności, lecz pragmatyzmu. W sytuacji, gdy Polska rozbita była na dzielnice, a Piastowie prowadzili bratobójcze wojny, Wacław II wydawał

się gwarantem porządku i siły. Muskata szybko stał się jego bliskim doradcą i ambasadorem interesów czeskich w Małopolsce.

Kiedy w 1300 roku Waław II wypędził Władysława Łokietka z kraju, Muskata był przy nim. Towarzyszył mu nie jako kapelan, lecz jako lojalny urzędnik – z tytułem podkanclerzego Królestwa Węgierskiego, do którego Waław również rościł pretensje. Kiedy papież Bonifacy VIII sprzeciwił się obsadzeniu tronu węgierskiego przez Przemyślidów, Muskata wrócił do Krakowa. Ale nie jako biskup, który chce się modlić. Raczej jako agent wpływu i zarządca ziem należących do Kościoła.

Trudno znaleźć biskupa, który lepiej rozumiał wartość miast, handlu i kapitału. Muskata był twardym gospodarzem. Pod jego rządami Kościół krakowski rósł w siłę materialną, a same miasta – jak Nowy Sącz – stawały się małymi twierdzami wpływów czeskich. Popierał niemieckich mieszczan, kolonistów, inwestycje w rozwój włości, z którymi wiązał duże wpływy podatkowe. Nie był ascetą. Podobno z trudem wytrzymywał na nabożeństwach. Jego związek z Gerussą, córką wójta sądeckiego, był tajemnicą poliszynela. Była jego konkubina, domniemaną matką jego dzieci, z którą żył jawnie, łamiąc celibat. Średniowieczne kroniki milczą na temat ich potomstwa, ale przekaz ludowy uczynił z Gerussy drugą Ewę – kobietę, która odciąga mężczyznę od Boga.

Kiedy w 1304 roku Władysław Łokietek wrócił do Polski, Muskata wybrał wojnę. Nie metaforyczną, lecz prawdziwą, z ogniem, mieczem i niewolą. Zorganizował zbrojnych najemników, których opłacał z dochodów biskupstwa. Jego ludzie palili wsie wierne Łokietkowi, uprowadzali ludzi dla okupu. Podobno Muskata utrzymywał wówczas: „Topór jest najlepszym kluczem świętego Piotra do otwierania kościołów zamkniętych dla Czeskiego Królestwa”. Był duchownym, który przemawiał językiem przemocy. Zamiast modlitw stosował groźby, zamiast miłosierdzia – politykę odwetu.

Wszystko zmieniło się w 1306 roku, gdy w Ołomuńcu zginął zasztyletowany Waław III – ostatni Przemyślida. Czechy pogrążyły się w chaosie, a Kraków odwrócił się od Muskaty. Ludzie, którzy przez lata chronili się pod jego skrzydłami, teraz oddali miasto Łokietkowi. Muskateę aresztowano. Siedział w ciemnicy krakowskiej niemal pół roku. Odmawiano mu prawa do kontaktów, modlitwy, komfortu. Złamał się.

W lipcu 1309 roku podpisał ugodę z Łokietkiem, ale jego ostateczna klęska przyszła rok później.

Dwudziestego stycznia 1320 roku odbyła się koronacja Władysława Łokietka. Jan Muskata był wśród obecnych w katedrze. Stał z boku, nie udzielał sakramentu. Jego obecność nie była zaszczytem, lecz upokorzeniem. Pokazano go jako symbol porażki: człowieka, który próbował uczynić z Polski czeską prowincję. Zmarł dwa tygodnie później, 7 lutego. Plotka głosiła, że serce pękło mu z żalu. Inni mówili, że został otruty. Jeszcze inni, że odszedł w milczeniu – zrezygnowany, świadomy, że jego dzieło przepadło.

Jan Muskata pozostaje do dziś jedną z najmroczniejszych postaci w dziejach polskiego duchowieństwa. Był politykiem, wojownikiem, kochankiem, dyplomatą. Rzadko – jeśli w ogóle – biskupem w sensie duchowym. Ale był też symbolem epoki: kiedy granice państw nie istniały naprawdę, a Kościół służył jako wehikuł do prowadzenia polityki, pozyskiwania pieniędzy i zemsty.

Czym byłaby historia Krakowa bez Piotra Skargi? To pytanie wydaje się retoryczne. Jego wizerunki zdobią ulice miasta, obrazy, pomniki i kościelne inskrypcje. Ale jak pokazuje Janusz Tazbir w klasycznej biografii *Piotr Skarga. Szermierz kontrreformacji*, faktyczny obraz najbardziej znanego polskiego jezuita jest znacznie bardziej złożony niż ten, który utrwaliła narodowa mitologia. Kim więc naprawdę był Piotr Skarga?

Urodzony w 1536 roku jako Piotr Powęski, przyjął imię Skarga jako zakonnik. Wstąpił do zakonu jezuitów i szybko wyrósł na jednego z najbardziej wpływowych duchownych epoki. Jako kaznodzieja królewski na dworze Zygmunta III Wazy i autor *Kazań sejmowych* był nie tylko mistrzem retoryki, ale też fanatykiem religijnym. W jego oczach Polska miała być przedmurzem katolicyzmu – a więc także polem walki z herezją reformacyjną, z islamem, judaizmem i wszelką odmiennością, która w oczach Skargi była zagrożeniem dla jedności Kościoła i państwa. Nie bez powodu w jego kazaniach czytamy, że kara Boża przyjdzie na Rzeczpospolitą nie ze strony sąsiadów, ale Turków – jako wyraz gniewu za „zbytnią” tolerancję. Tolerancję, która w Rzeczypospolitej była fundamentem politycznej konstrukcji. Skarga ten fundament chciał zburzyć. Kiedy w 1581 roku w Wilnie spalono księgozbiór książek protestanckich,

oskarżano go wprost: „Codziennie wówczas Skarga, ten potwór o wróżebnym nazwisku, podjudzał ludzi niczym grając na trąbce do ataku”.

Skarga był żarliwy. Ksiądz Kazimierz Panuś pisał: „Grzmiał jak burza, olśniewał jak błyskawica, uderzał jak piorun”. W kazaniach modlił się, błagał, a potem miotał przekleństwami. Styl, który dziś przypomina kaznodziejów spod znaku Radia Maryja, w jego czasach był skuteczną bronią przeciwko rodzącej się nowoczesności. A jednak – jak podkreśla Tazbir – wbrew legendzie nie był człowiekiem kontemplacji, cichości ani wewnętrznej ascezy. Raczej odwrotnie: nie panował ani nad słowem, ani nad piórem. Mimo to przez wieki jego postać była fetowana. Adam Mickiewicz w jego pismach widział „cały kraj, cały naród”. Jan Matejko – uniesiony legendą – dał mu swoją twarz na słynnym obrazie *Kazanie Skargi*, choć obraz ten utrwała z gruntu fałszywe wyobrażenie, że Skarga był prorokiem przestrzegającym przed upadkiem Polski, podczas gdy grzmiał nie przeciwko zdradzie magnaterii, lecz przeciwko wolności religijnej.

To właśnie Mickiewicz i Matejko – wieszcz i malarz narodowych mitów – stworzyli wizerunek Skargi jako wzoru patriotyzmu i duchowego przewodnika narodu. Tę legendę przejęła późniejsza tradycja katolicka. W Krakowie pod pomnikiem Skargi, odsłoniętym w 2000 roku z inicjatywy kardynałów Macharskiego i Dziwisza, czytamy: „Wielki kapłan i patriota, autor *Kazań sejmowych*, założyciel Arcybractwa Miłosierdzia”. Skargę przywoływał również Jan Paweł II, porównując Polskę do dębu, którego „korzeniem jest Chrystus”. Ale czy naprawdę był to duchowy ojciec wspólnoty, czy raczej jej ideologiczny strażnik i egzekutor jedynie słusznej wiary?

Oto sedno problemu: Skarga to nie tylko historyczna postać. To symbol myślenia wykluczającego. Dla niego innowierca był heretykiem, którego należało nawrócić albo usunąć. I zrobił wszystko, by ten język przemocy religijnej – utożsamiający polskość z katolicyzmem – wszedł do krwiobiegu Rzeczypospolitej. W jego kazaniach nie było miejsca na dialog. Był tylko wróg: inny, obcy, odstępcza.

Wreszcie pora opowiedzieć o jeszcze jednym świętym z Krakowa, którego historia oscyluje pomiędzy legendą a stenogramami z kongregacyjnych obrad. Świętym, którego droga na ołtarze przypomina raczej wędrówkę przez urzędnicze labirynty niż triumf wiary nad światem.

Jan Kanty miał być nie tylko błogosławionym, ale i doktorem Kościoła. Miał być.

W Krakowie był symbolem cichości, pokory, a jednocześnie intelektualnej powagi. Dla duszpasterstw akademickich, zwłaszcza dla dominikańskiej Beczki, to postać niemal mityczna. Od XIV wieku pielęgnowano tu tradycję duszpasterstwa przy uniwersytecie, a Jan Kanty miał być jednym z jego duchowych ojców. Nie tylko uczył, ale żył skromnie, rozdając potrzebującym to, co miał. Cuda? Owszem, przypisano mu ich wiele. Ale cuda to jeszcze nie świętość – przynajmniej nie w oczach Rzymu.

Kiedy polska delegacja postanowiła wynieść Jana z Kęt na jeszcze wyższe duchowe szczyty – chciano ogłosić go doktorem Kościoła – wszystko zdawało się iść zgodnie z planem. Aż do momentu, gdy ktoś w watykańskiej kongregacji zadał sobie trud przeczytania jego pism. Uważnie. I wtedy się zaczęło.

Zamiast świętego z aureolą – heretyk. Zamiast pochwał – potępienie. Wnioskowano nie tylko o odrzucenie tytułu doktora, ale o coś znacznie bardziej brutalnego: wymazanie Jana Kantego z rejestru błogosławionych oraz... wyrzucenie jego zwłok z kościoła, w którym został pochowany. Polska delegacja, na czele z plenipotentem Żołędziowskim, przeżyła klęskę. Zamiast triumfalnego powrotu z dekretami były konsternacja i szukanie winnych. No bo jak to: święty heretykiem?

Rzymscy prawnicy za sowitą opłatą podjęli się misji ratunkowej. Wyjście było tylko jedno: udowodnić, że kontrowersyjne pisma nie wyszły spod pióra Jana z Kęt.

Zaczęła się walka z czasem. Dziesięć lat, by przygotować materiał i uczynić Jana doktorem Kościoła. Potem kolejne sześć, by udowodnić, że feralne teksty, które pachniały herezją, nie są jego autorstwa. Ostatecznie padło na Jana z Warty. To jemu przypisano komentarze, które mogły pogrzebać świętość. Jan Kanty został więc uratowany. Nie jako doktor Kościoła, ale przynajmniej rezydent własnego grobu.

Historia tego świętego nieświętego to więcej niż przypis w dziejach krakowskiego Kościoła. To opowieść o tym, jak cienka bywa granica między świętością a potępieniem, jak niedaleko od rękopisu do utraty reputacji. I jak bardzo Rzym nie lubi niespodzianek.

No to wejdźmy z hukiem w XX wiek.

Spizowy kardynał z twarzą wyrytą w trosce, stojący naprzeciw krakowskiej kurii, patrzył na przechodniów, jakby chciał przypominać im o swoim dziedzictwie. Księżę Kościoła. Ojciec niepodległości. Mentor Karola Wojtyły. Kapłan niezłomny.

Dziś, na początku 2025 roku, jego wizerunek rysuje się inaczej – w cieniu ciemnego dębu Lasku Wolskiego, gdzie według jednego z duchownych, Andrzeja Mistata, „uderzał laską i ręką po pośladkach i genitaliach”. Świadectwo Mistata, na jakiś czas zapomniane, wróciło.

Zaczęło się od czegoś zupełnie innego. Profesor Joanna Tokarska-Bakir prowadziła kwerendę w krakowskim oddziale IPN-u – szukała materiałów do projektu o pogromie z 1945 roku. Natrafiła na coś, co nie dawało jej spokoju – zeznanie księdza, który oskarżał samego kardynała Adama Stefana Sapiehę o molestowanie seksualne. Teczka trafiła do dziennikarza TVN24 Marcina Gutowskiego. Tego samego Gutowskiego, który w cyklu *Bielmo* ujawniał, jak Jan Paweł II jako metropolita krakowski prznosił księży pedofilów z parafii do parafii. W tym samym czasie do podobnych informacji docierał holenderski pisarz Ekke Overbeek, autor *Maxima culpa. Jan Paweł II wiedział*. Obaj dziennikarze badali niezależnie archiwa IPN-u. Sprawą zajmowała się na łamach „Wyborczej” Małgorzata Skowrońska.

Mistat relacjonował: po przechadzce z kardynałem Sapiehą w Lasku Wolskim został przez niego odwiedzony w mieszkaniu. Sapieha zapytał o zdrowie, polecił rozebrać się i położyć na tapczanie. „Macał mnie po całym ciele, również po częściach płciowych” – zapisał. Rok później, w 1950 roku, ksiądz Anatol Boczek – duchowny z tego samego rocznika co Karol Wojtyła – donosił, że był bity paskiem i obmacywany. W kolejnych zeznaniach szczegółowo opisał „pseudolekarskie badania” kleryków oraz rytuały z elementami sadyzmu: „Trzymał i ścisnął mnie za genitalia jedną ręką, drugą uderzał mnie sznurem z węzłami”. Nie są to przypadki jednoznaczne moralnie, jak chciałby to widzieć Kościół. Nie ma aktu gwałtu w klasycznym rozumieniu. Jest dyscyplinująca dwuznaczność. Jest też powtarzalność zachowań. Sapieha nie działał w ukryciu – przeciwnie, wykorzystywał swój prestiż i władzę. „Czy każdy kapelan musi przechodzić takie oględziny?” – zapytał Mistat. „Każdy” – odpowiedział kardynał. Przez lata wydawało się to zbyt szokujące, by mogło być prawdziwe. Dziś wiadomo: relacje Mistata i Boczka się zazębiają.

Niezależne śledztwa ujawniają to samo: klerycy byli przyjmowani przez Sapiehę na osobiste audiencje z dotykiem genitaliów „w ramach badania zdrowia”, rozbieraniem do naga, z pytaniami o masturbację i „stosunki z kobietami” w tle.

Wizerunek „niezłomnego księcia Kościoła” zaczął się kruszyć. Ale uderzenie było podwójne. Po pierwsze, Sapieha był idolem, po drugie – mentorem. A jeśli rzeczywiście był drapieżcą, to co z jego najbliższym uczniem Karolem Wojtyłą? Janem Pawłem II? Papieżem? Czy nie wiedział? Czy mógł nie wiedzieć?

„Nie sposób sobie wyobrazić, żeby ktoś tak długo funkcjonował w tym środowisku i nic nie słyszał” – mówi dziś Stanisław Obirek, a Ekke Overbeek stawia pytanie wprost: „Czy można było być wybrańcem Sapiehy, nie doznając jego zainteresowania?”. Tomasz Terlikowski, katolicki publicysta, apeluje o powołanie komisji historyczno-psychologicznej. Ksiądz Józef Marecki, historyk Kościoła, przyznaje, że sam nigdy nie natrafił na te materiały. Z kolei Gutowski i Overbeek nie mają wątpliwości – teczki IPN-u to tylko wierzchołek góry lodowej.

Nie mamy dowodów, że Wojtyła był ofiarą. Ale też nie mamy przesłanek, by sądzić, że nie wiedział. Kiedy po latach zostanie biskupem, a potem metropolitą, nie tylko nie wspomni o praktykach poprzednika, ale przejmie jego styl – lojalność wobec instytucji ponad wszystko. Marcin Gutowski: „Z rozmów z duchownymi wynika, że o zwyczajach Sapiehy się mówiło. Może szeptem. Ale to był sekret poliszynela”. Wojtyła nie reagował. A potem sam tuszował. W co wierzył Karol Wojtyła? Czy wierzył, że Sapieha miał prawo „karać” młodych księży? Czy raczej że pewne rzeczy trzeba chronić przed oczami świata?

Mistat i Boczek nie chcieli być bohaterami. Złożyli zeznania, bo nie mogli już dłużej milczeć. I choć można dziś pytać o ich motywacje (nacisk ubecji, strach, presja), jedno jest pewne: ich relacje są spójne. Pokazują świat, w którym ból ciała był narzędziem kontroli duszy.

W Krakowie trwa demontaż mitu i nie wiadomo, jak głęboko sięgnie. Sapieha zmarł w 1951 roku. Spoczywa w katedrze wawelskiej pod konfesją św. Stanisława. Z jego cytatów zbudowano legendę. Ale historia nie pyta o cytaty. Pyta o czyny. Ile można udawać, że nic się nie stało? – oburza się profesor Tadeusz Gadacz, i to pytanie zawisło nad Kościołem w Polsce jak dzwon Zygmunt. Trudne do zniesienia, ale niemożliwe do zignorowania.

Zanim przejdziemy do czasów najnowszych, rzućmy jeszcze okiem – z uśmiechem, ale i bez taryfy ulgowej – na dwa filary krakowskiego Kościoła po epoce Wojtyły: kardynałów Franciszka Macharskiego i Stanisława Dziwisza. Dwie postaci, dwa światy, dwóch spadkobierców świętego z Wadowic – choć dziedzictwo rozumieli zupełnie inaczej.

Franciszek Macharski bywał ostry jak brzytwa i nie miał w zwyczaju się pieścić, ale miał w sobie jakąś autentyczną duchowość. Wymagający wobec innych, ale i surowy dla siebie – nie szukał poklasku ani błysku fleszy. Żył skromnie, niemal po franciszkańsku, mimo że formalnie należał do arystokracji intelektualnej Kościoła. W diecezji, gdzie wcześniej rządził Karol Wojtyła, był kimś w rodzaju kontrolowanego przeciwieństwa: nie uwodził charyzmą, nie wdawał się w polityczne gierki, raczej milczał, niż się tłumaczył. I chociaż unikał rozgłosu, jego obecność miała charakter symboliczny – był uznawany za autorytet, zwłaszcza w kwestiach etyki i sumienia.

Wielu ludzi, także spoza Kościoła, ceniło jego skromność, wrażliwość na biednych i niezależność myślenia. W odróżnieniu od bardziej medialnych duchownych Macharski nie angażował się w politykę ani spory światopoglądowe, co przysparzało mu szacunku również wśród niewierzących. Był blisko związany z dziełami miłosierdzia i pomocą ubogim – przez całe życie pozostawał wierny duchowi Brata Alberta. Do końca utrzymywał relację z Janem Pawłem II – to jego papież namaścił na swojego następcę w Krakowie.

W 2016 roku, już poważnie chory, trafił do Szpitala Uniwersyteckiego w Krakowie. Zmarł 2 sierpnia w wieku osiemdziesięciu dziewięciu lat. Umarł biednie. W testamencie duchowym też nie było wielkich słów – były cisza i pokora.

A potem przyszedł on: Stanisław Dziwisz – były osobisty sekretarz Jana Pawła II, człowiek legenda, który przez dekady czuwał u boku papieża, a potem objął krakowską kurię. I jakby z niej nie chciał wyjść. Skromność? Powiedzmy, że nie była jego największą cnotą. Pieniądzy też się nie bał – w końcu znał ich wartość. Rezydencję miał jak się patrzy, a i kontakty, o których zwykłym proboszczom się nie śniło. To za jego czasów do Krakowa wkroczył Legion Chrystusa – zakon, który już wtedy miał za sobą potężne skandale seksualne i finansowe. Ale kogo to obchodziło, skoro jego członkowie potrafili zorganizować galę, na której kardynał był traktowany

po królewsku. Były świece, kwiaty, przemowy – wszystko, co potrzebne, by rozświetlić jego autorytet. Legionistom zależało na prestiżu i ochronie – Dziwisz dawał im jedno i drugie.

Najgłośniejszą aferą związaną z Dziwiszem jest sprawa Janusza Szymika, wykorzystywanego seksualnie przez księdza Jana Wodniaka z Międzybrodzia Bialskiego. Szymik pisał do kardynała Dziwisza. Apelował o działanie. Zamiast reakcji otrzymał milczenie. Sprawą nie zajmowano się latami. Kiedy wybuchła medialna burza, Dziwisz tłumaczył, że nie pamięta korespondencji. Podobne słowa padły potem jeszcze wiele razy.

Dziwisz nie reagował również na postawę biskupa Tadeusza Rakoczego, który – mimo wiedzy o przestępstwach Wodniaka – miał przez lata nie podjąć żadnych działań. Dziś Rakoczy został ukarany przez Watykan. Dziwisz – nigdy.

Ksiądz Tadeusz Isakowicz-Zaleski z Nowej Huty nie bał się mówić, że Kościół ma brudne ręce. Zaczął grzebać w teczkach SB, wyciągać nazwiska agentów, także tych w sutannach. A że wśród nich przewijały się osoby z najbliższego otoczenia Dziwisza, zaczęła się wojna. Dziwisz nie szczędził środków, by uciszyć Isakowicza-Zaleskiego. Raz wysyłał delikatne listy, innym razem dyscyplinował za pośrednictwem kurii. Ale Zaleski nie dawał się przestraszyć. Mówił wprost, że w Kościele panoszy się zmowa milczenia, Watykan zamiata wszystko pod dywan, a Dziwisz jest strażnikiem tego dywanu.

Tymczasem Dziwisz jak rasowy polityk trzymał się linii: Kościół nie komentuje spekulacji. Kiedy padały oskarżenia o tuszowanie pedofilii, kiedy w mediach odmieniano przez wszystkie przypadki nazwisko Marciała Maciela Degollada od Legionu Chrystusa, dawał radę: milczał, przeczekiwał, udzielał wywiadów tylko zaprzyjaźnionym mediom. Zawsze z miną męczennika, który nie rozumie, skąd ta nagonka.

Na tron po Dziwiszu wszedł arcybiskup Marek Jędraszewski, filozof, uczonek, ale też zawodowy moralista z różańcem w jednej ręce, a młotkiem ideologicznym w drugiej. Kiedy objął stolicę krakowską, wiele osób miało nadzieję, że będzie to początek nowej jakości: porządku, czystości, może nawet pokory. Ale zamiast tego przyszła wojna kulturowa. Jędraszewski szybko pokazał, że jego prawdziwym przeciwnikiem nie są grzechy

Kościoła, tylko „ideologia LGBT”, „neomarksizm” i „czerwona zaraza, która zamieniła się w tęczową”.

Kościół, który jeszcze za Macharskiego miał autorytet (może nie masowy, ale głęboki), dziś traci go w oczach pokolenia Z szybciej niż Netflix abonentów. Statystyki są bezlitosne: świątynie w trakcie mszy świecą pustkami, powołania zanikają, a młodzi nie interesują się Kościołem – i to nie z nienawiści, tylko z obojętności. Niektórzy biskupi marzą o świętości, inni – o reformie Kościoła. A są tacy, co po prostu marzą o trzykondygnacyjnej rezydencji z ogrodem i złotym ornacie.

Jeśli poszukać siedmiu grzechów głównych Jędraszewskiego, trzeba sięgnąć głęboko.

1. Pycha

Od kiedy Juliusz Paetz włożył mu piuskę na głowę, Jędraszewski traktuje ją jak antenę 5G odbierającą tylko jedno pasmo: pochwały. Uwielbia lustra (podobno w Krakowie mają osobne błogosławieństwo), a jego ulubiony gatunek literacki to... zaproszenia na własne rocznice.

2. Chciwość

Choć do niedawna oddawał koperty (te z gotówką, nie z gratulacjami), teraz szykuje się na emeryturę w stylu papieskim: Castel Gandolfo przy ulicy św. Floriana, z ogrodem i murem wysokim jak jego ego. Oczyszczył rezydencję z niepotrzebnych księży (na przykład studiujących), a dla siebie zostawił pałac, w którym nawet kurtyny będą klękać z pokorą.

3. Nieczystość

Nie, nie chodzi o skandale z jego udziałem. Ale był manekinem w witrynie Paetza – niby stał, niby patrzył, a jak przyszło co do czego, to stwierdził, że nic nie widział. Kiedy mówi o „pornokracji”, słychać, że bardziej martwi się dostępem do internetu niż cierpieniem ofiar.

4. Zazdrość

Kiedy arcybiskup Grzegorz Ryś dostał biret kardynalski, Jędraszewski w ramach protestu postanowił wyjechać z Krakowa. Ostatecznie jeśli nie możesz mieć purpury, to przynajmniej nie patrz na tych, którzy ją mają.

5. Gniew

Jego styl zarządzania przypomina dyktaturę ośmioklasową. Wyrzuca dziennikarzy, nie odprawia mszy za Tischnera, a redakcjom, które go krytykują (mam na myśli „Tygodnik Powszechny”), pokazuje drzwi,

a raczej wypowiedzenia umowy najmu. Wystarczy, że źle spojrzysz, a już jesteś „zarazą”.

6. Lenistwo

Gdyby był program „Kościół ma talent”, to Jędraszewski wolałby siedzieć w jury i recenzować „czystość dogmatu”, niż samemu cokolwiek reformować. Z Levinasem skończył jak z siłownią w styczniu – był zachwyty, były plany, a potem znowu chipsy i Rydzyk.

7. Nieumiarkowanie w jedzeniu i picciu?

Tu klops. Albo raczej pyra z gzikiem. Bo jak sam wyznał, to jego ulubione danie. Ale bez przesady, bo sylwetkę ma jak na biskupa zgrabną jak kapelusz z lnu. Może dlatego bardziej lubi się ubierać, niż karmić. A że każdy ornat za kilka tysięcy? No cóż, człowiek też jest naczyniem na chwałę Bożą – w tym wypadku: pozłacanym.

W maju 2025 roku idę na Rynek. Tłum turystów krąży wokół kościoła Mariackiego, selfie w słońcu, lody pistacjowe i obwarzanki, których nikt nie je do końca. Gołębie tłuką skrzydłami o bruk, ktoś gra na akordeonie *Let It Be*, a ktoś inny wciska dzieciom bańki mydlane za pięć złotych. Normalny dzień w mieście świętych i studentów. I nagle pojawia się on. Arcybiskup. Albo ktoś do niego łudzaco podobny. Sutanna, fiolet, mitra pod pachą, uśmiech z plakatu wyborczego do nieba. Przechodzi przez Rynek jak przez prywatny krużganek, a turyści robią zdjęcia – myślą, że to rekonstrukcja. Albo event. Bo przecież nie wierzą, że taki ktoś naprawdę tu urzęduje. Że to nie *cosplay*, tylko *real deal*.

– *Look, papa!* – krzyczy dziecko w japonkach, a ojciec poprawia:

– *No, bishop maybe. But cool outfit, right?*

Gołębie nie reagują. Może znają go już za dobrze.

Patrzę na to z boku i czuję ten sam dziwny dygot co wczoraj. Że to wszystko jest i nie jest prawdziwe. Że ten Kraków nie potrafi już oddzielić sacrum od performance’u. Że nawet jak Kościół się tu kończy, to umiera z elegancją. W mitrze, w koronkach, w zaprasowanych mankietach. W świetle fleszy, które myślą świętość z Instagramem.

BURSZTYNOWY TRON I CZARNA SUTANNA. GDAŃSKI KOŚCIÓŁ OD PODSZEWKI

Lubię przyjeżdżać do Gdańska. Sporo mam tu znajomych: to adwokaci, lekarze, artyści. Serdeczni, gościnni, otwarci na innych. Gdańsk pewnie jest z nich dumny. Dbają o jego dobre imię, nie myślą zmieniać tego miejsca, bo to miasto ma duszę – osadzoną głęboko w historii, czasem ledwo wyczuwalną pod warstwami nowego tynku, w turystycznym zgiełku i pośród biurowców wyrastających nad Motławą. Gdańsk nie epatuje polskością. Raczej opowiada szeptem historie zwykłych ludzi. Często poprzez niemieckie napisy na murach, sztukateriach, starych tabliczkach. Trzeba się pochylić, żeby usłyszeć, co mówi.

Nie jest to typowe polskie miasto. Przez wieki żyło własnym rytmem w orbicie Hanzy, Prus, Polski i Niemiec. Mówienie o polskim Gdańsku to spore nadużycie. Do 1945 roku dominowała tu ludność niemiecka.

Niemiała część duchownych Wolnego Miasta Gdańska – z metropolitą na czele – wyglądała tu faszystów jak zbawienia. I nie trzeba przesadzać z metaforami: oni naprawdę wierzyli, że narodowy socjalizm zdoła przywrócić ład, hierarchię, niemiecką supremację i porządek dusz. Dla wielu niemieckich księży katolickich, również tych w Gdańsku, Hitler był mniej zagrożeniem, a bardziej szansą – jeśli tylko nie przeszkadzał Kościołowi w odprawianiu mszy i zachowywał dekorum. A jeśli przy okazji chciał oczyścić miasto z Polaków? Cóż, tym lepiej.

Biografia Carla Marii Spletta idealnie pasuje do ponurej galerii duchownych uwięzionych między ołtarzem a polityką kolaboracji. Jako niemiecki biskup Gdańska w czasie II wojny światowej nie tylko nie stanął po stronie prześladowanych Polaków, ale uczestniczył w germanizacji życia kościelnego na Pomorzu. Kiedy 19 września 1939 roku do Gdańska

z pompą przybył Adolf Hitler, Splett nie tylko nie milczał, ale zlecił duchownym, by na jego cześć biły dzwony i udekorowano kościoły chorągwiami. Sam Gdańsk był już wtedy miejscem pogromu polskości – kościoły zamknięto, dzieła sztuki zarekwirowano, a przed świątyniami palono wynoszone przedmioty liturgiczne. Splett w liście duszpasterskim nie widział w tym dramatu, lecz spełnienie marzenia: „Dziś cieszymy się i serdecznie dziękujemy Bogu, że spełniło się życzenie wszystkich gdańszczan rychłego powrotu do niemieckiej wspólnoty”.

Od pierwszych dni wojny polskich księży masowo aresztowano, potem mordowano w Stutthofie, Piaśnicy i lasach Pomorza. Z 670 duchownych diecezji chełmińskiej i gdańskiej życie straciło około 450 – większość już w 1939 roku. Splett o tym wiedział. Wiedział z relacji, z listów, z meldunków. Ale działał wyłącznie rutynowo – wysyłał zapytania do Wehrmachtu lub Gestapo i zadowalał się odpowiedzią, że „wzmiankowani duchowni zaginęli”. Większe zaangażowanie przejawiał wtedy, gdy wstawiał się za aresztowanymi księżmi niemieckimi. Zapewniał, że to „dobrzy Niemcy”, kończąc pisma „Heil Hitler”.

Jego lojalność wobec okupanta miała też wymiar liturgiczny: już 6 września zakazał polskich nabożeństw – zanim jeszcze zrobili to naziści. Gdy w 1940 roku zakazano spowiedzi w języku polskim, przez moment się wahał, ale ostatecznie wydał dekret o podporządkowaniu się rozkazowi Gestapo – spowiedź miała odbywać się tylko po niemiecku. Ci, którzy łamali ten przepis, trafiali do obozu. Splett zaś uspokajał Watykan, że rozwiązał problem „karteczkami spowiedzi” – spisem grzechów do zaznaczenia jak w barze samoobsługowym. Pius XII „przyjął to do wiadomości”.

Do końca wojny Splett nie cofnął żadnego antypolskiego zarządzenia. Nie protestował, nie potępił. Był biskupem milczenia – które pozwalało na mordy. A potem, gdy przyszło drugie wygnanie – już nie z Gdańska przez Polaków, lecz sumienia przez historię – tłumaczył się na procesie w 1946 roku, że „działał z rozsądku”. Że „nie z bojaźni, ale pod przymusem”. Że „łatwo stać na ambonie, ale w życiu trzeba milczeć”. Został skazany na osiem lat więzienia. Przesiedział je w pozornym unizieniu, ale po wyjeździe do Niemiec aż do śmierci w 1964 roku nie wykonał wobec Polski żadnego gestu skruchy. Nie poprosił o przebaczenie. Jego obrońcy później mówili o rozwadze, rozsądku, ochronie Kościoła. Tylko że dla setek polskich

księży rozwaga Spletta oznaczała śmierć w rowie, a dla ich wiernych – ciszę po *Boże, coś Polskę*, pieśni, która już nigdy nie rozległa się w ich kościołach.

Dziś miasto nie chce pamiętać tego biskupa. I słusznie. Ale Splett nie był sam. Inni niemieccy duchowni z Gdańska – choć mniej znani – również nie pozostawali bierni. Brali udział w wydarzeniach organizowanych przez NSDAP, składali deklaracje lojalności wobec nowych władz, uczestniczyli w ceremoniach z hitlerowskimi oficjelałami. Ich homilie pomijały temat prześladowań, mordów i aresztowań. A przemilczenie tych zbrodni było zgodą na nie.

Rzeczywistość polskich księży w Wolnym Mieście była inna. Działali skromnie, ale aktywnie: przy parafiach organizowali szkoły, chóry, harcerstwo, stowarzyszenia katolickie. Byli duszpasterzami, ale i ambasadorami polskości w mieście, które coraz bardziej chciało się ich pozbyć.

Bronisław Komorowski, proboszcz parafii św. Stanisława, był jednym z tych, którzy nie zrezygnowali. Nie ukrywał swej narodowości, mówił po polsku, był blisko ludzi. Aresztowano go 1 września 1939 roku, tego samego dnia, gdy niemieckie działa zaczęły strzelać w kierunku Westerplatte. Zginął w Piaśnicy – jednym z pierwszych miejsc masowych egzekucji na Pomorzu.

Ksiądz Franciszek Rogaczewski został zamordowany kilka miesięcy później. Dziś czczony jest jako męczennik, beatyfikowany przez Jana Pawła II, ale wtedy był tylko „polskim księdzem” – co wystarczyło, by uznać go za wroga Rzeszy.

Instytucjonalnie Kościół gdański nie podjął walki. Kuria, kierowana przez Spletta, po dojściu Hitlera do władzy w 1933 roku przyjęła strategię oportunistyczną – uznano, że lepiej nie drażnić wilka i zachować wpływy, niż je utracić w imię niepopularnych gestów. Kościół nie stał się ośrodkiem oporu. Tak wyglądała duszpasterska mapa Wolnego Miasta Gdańska przed wojną i w jej trakcie: po jednej stronie księży Polacy, prześladowani i mordowani, po drugiej – niemiecka hierarchia, przeważnie lojalna wobec systemu.

Po wojnie Gdańsk został zaludniony przez przesiedleńców – z kresów, z Warszawy, z centralnej Polski. Nowi mieszkańcy wprowadzili się do cudzych domów, często nie wiedząc, kim byli ich poprzedni właściciele.

Nosili w sobie rozbite historie, wykorzenienie, pragnienie odbudowy – także duchowej. Ta przeszczepiona społeczność przez dziesięciolecia uczyła się, jak być u siebie w mieście, które długo nie chciało być czyjeś. Efekt? Gdańszczanie bywają nieoczywiści, mniej nacjonalistyczni, bardziej otwarci, ale też złożeni tożsamościowo – jakby ciągle stali na pograniczu między przeszłością a przyszłością. A przecież to tutaj narodziła się Solidarność. Tu robotnicy i inteligencja techniczna – często niepraktykujący katolicy, ale po prostu też świadomi obywatele – rzucili wyzwanie reżimowi. Duch oporu, nieufności do władzy centralnej, silnego przywiązania do wolności i samorządności – to wszystko ciągle jest wyczuwalne, choć niekoniecznie pod amboną.

Gdańsk to miasto morza i szerokiego horyzontu. Port, stocznia, bursztyn. Życie na styku świata. Otwartość wobec przybyszów. Luz obyczajowy. Większa akceptacja różnorodności – choćby w sferze religii, ateizmu, orientacji i stylu życia – niż w wielu innych miejscach w Polsce. A jednocześnie to ośrodek silnej pamięci: o wojnie, o stalinizmie, o Grudniu '70, o ofiarach i bohaterach. Tylko że ta pamięć nie zawsze służy budowaniu wspólnoty. Często przeradza się w melancholię, a nawet duchowe osamotnienie.

I właśnie bazując na tej nieoczywistości, wolności, pamięci i morzu, trzeba czytać tutejszy Kościół. Inny niż krakowski, nasłuchujący, kto zastąpi „arcypastucha” Marka Jędraszewskiego, niż szczeciński, który ma gdzieś, co się z Kościołem na Wawelu będzie działo. Czasem marginalizowany, czasem zaskakująco nowoczesny. Czasem klerykalny, ale pozbawiony triumfalizmu. Związany z etosem robotniczym bardziej niż z trydenckim modelem pobożności i biretem. Mniej konserwatywny, niż hierarchowie by chcieli, mniej postępowy, niż świeccy by marzyli. Ale osadzony w lokalnej tkance, która nie daje się łatwo upolitycznić.

Gdański Kościół to nie tylko katedra oliwska i pomnik Jana Pawła II. To również proboszczowie z Nowego Portu, zakonnice z Wrzeszcza, kapelani stoczniowi, księża wspierający opozycję i ci, którzy potem nie umieli się odnaleźć w III RP. To także duchowni, którzy wolą działać, niż przemawiać. I ci, którzy przeoczyli moment, gdy ludzie przestali ich słuchać. Dlatego żeby go zrozumieć, trzeba najpierw poczuć to miasto. Pobyć w nim, posłuchać dźwięku dzwonów i echa syreny z portu.

Początki Kościoła w Gdańsku są nierozzerwalnie związane z procesem chrystianizacji Pomorza oraz historią polityczną regionu, który od wczesnego średniowiecza był miejscem krzyżujących się wpływów słowiańskich, niemieckich i skandynawskich. Zanim dotarło tam chrześcijaństwo, Pomorze Gdańskie było zamieszkiwane przez plemiona słowiańskie, kultywujące wierzenia pogańskie. Gyddanyzc pojawia się po raz pierwszy w źródłach pisanych w *Żywocie świętego Wojciecha* autorstwa Brunona z Kwerfurtu (około 1000 roku).

Wojciech – benedyktyński biskup i misjonarz – podczas krótkiego pobytu na tych terenach ochrzcił lokalną ludność i zorganizował podstawowe struktury religijne. Choć jego misja miała charakter raczej symboliczny niż trwałą, stanowiła istotny moment w procesie chrystianizacji Pomorza. Przez kolejne stulecia Gdańsk i okoliczne ziemie przechodziły z rąk do rąk między książętami piastowskimi, pomorskimi, a później zakonem krzyżackim – co wpływało także na kształt i siłę instytucji kościelnych. W XIII wieku region został włączony do diecezji włocławskiej, a równocześnie zaczął się dynamiczny rozwój życia zakonnego: do miasta przybyli dominikanie, franciszkanie, a w kolejnych dekadach także cystersi. W XIV wieku rozpoczęto budowę monumentalnej bazyliki Mariackiej – największego ceglanego kościoła Europy, będącego symbolem potęgi religijnej i ekonomicznej Gdańska w epoce hanzeatyckiej. W XVI wieku miasto znalazło się pod silnym wpływem reformacji, co doprowadziło do stopniowej protestantyzacji jego elit, choć katolicyzm zachował się wśród ludu, szczególnie kaszubskiego, oraz na poziomie struktur diecezjalnych. Przez wieki Gdańsk pozostawał przestrzenią ścierania się różnych tradycji religijnych, politycznych i kulturowych, co w znacznej mierze ukształtowało tożsamość lokalnego Kościoła. Dopiero w XX wieku powstała niezależna diecezja gdańska, podniesiona w 1992 roku do rangi archidiecezji – w zupełnie nowym kontekście społecznym i politycznym. Właśnie ta współczesna historia archidiecezji gdańskiej stanowi dziś przedmiot naszego zainteresowania.

Nie ma chyba księdza, którego nazwisko tak silnie utożsamiano by z Gdańskiem, jak Henryk Jankowski. Nie ma sensu udawać, że Jankowski był kimś innym, niż był. Nie był „kontrowersyjny”. Nie był „barwną postacią Kościoła”. Był centralną figurą gdańskiej diecezji przez niemal cztery dekady – potężnym, bezkarnym, aroganckim i niebezpiecznym

człowiekiem, kapelanem Solidarności i agentem SB, duszpasterzem budującym kult własnej osoby i beneficjentem systemowego przyzwolenia na krzywdzenie dzieci. Człowiekiem, który nie tyle żył w cieniu Kościoła, ile sam ten cień rzucał.

Na plebanii przy Świętej Brygidzie w Gdańsku miał wszystko, co można sobie wyobrazić – i kilka rzeczy, których nikt wyobrazić sobie by nie chciał. Słynne „ranczo” z sypialnią jak z operetki, kolekcją alkoholi, biżuterią, własnymi olejnymi portretami. Mercedesy, jaguary, kolekcję orderów, w tym rzekomy *Virtuti Militari* „za wojnę polsko-jaruzelską”. Miliony złotych wpływające z darowizn, fundacji i niejasnych źródeł. Związał się z matką Teklą Famiglietti z Rzymu, osobistym sekretarzem papieża Dziwiszem, znał Reagana, Thatcher, Kwaśniewskiego i Kaczyńskich. Brał od wszystkich – i nikt nie miał odwagi powiedzieć: dosyć.

„Laskę już zrobiłaś?” – potrafił zapytać nieznaną kobietę. Do dziennikarza rzucał: „Pokazać fiuta?”. Homilie pisali mu ghostwriterzy, pieniądze nosili ministranci, których sam sobie wybierał – niektórzy potem składali zeznania, jak Sławek, molestowany chłopiec z parafii, któremu nikt nie uwierzył. Albo Michał, który widział, jak Jankowski niszczył dokumenty przed rewizją. Albo inni, którym „pomagał wyjechać” za granicę w zamian za milczenie. Prokuratura miała zeznania poszkodowanych już w 2004 roku. I co z nimi robiła? Umarzała sprawy. Podobnie jak umarzała wcześniejsze – o nawoływanie do nienawiści, o amunicję, o samowole budowlane. W Gdańsku mówiono: „Nie ma bata na prałata”. I nie było. Bo za prałatem stali biskupi.

Biskup Lech Kaczmarek był pierwszy. Ostrożny, akademicki, niezdecydowany. Wiedział, co się dzieje na Brygidzie. Wiedział o chłopcach, o pieniądzach, o podejrzanych relacjach z klerykami. Proponował „honorowe przeniesienie do Warszawy”. Kiedy Jankowski odmówił, zapowiedział działanie – ale zmarł, zanim zdążył. Arcybiskup Tadeusz Gocłowski znał Jankowskiego od seminarium. Sam w przeszłości dostał ostrzeżenie od przełożonego w kwestii zbyt zażyłych stosunków z alumnami. Długo zwlekał, aż w końcu w 1997 roku usunął prałata z funkcji proboszcza. Ale tylko formalnie. Pozwolił mu mieszkać na plebanii, celebrować msze, utrzymać wpływy. Był człowiekiem kompromisów, biskupem „dyplomatycznego milczenia”, który nie potrafił

przeciąć zgniłej nici. Ostatecznie, jak pisał Głuchowski, „ukreślił łeb sprawie Jankowskiego”.

A potem przyszedł arcybiskup Sławoj Leszek Głódź i z farsy zrobił karykaturę. Znany z zamiłowania do alkoholu, luksusu i żołnierskiego stylu, odwiedzał „ranczo” Jankowskiego, chwalił jego styl, a po śmierci prałata bronił jego pamięci. Chronił innych księży oskarżonych o przestępstwa seksualne. Kiedy świat próbował rozliczać Kościół, Głódź mówił o „godności kapłańskiej”.

Gdańska kuria przez dziesięciolecia nie była strukturą opieki, prawdy ani sumienia. Służyła ochronie – nie ofiar, lecz sprawców. Każdy z trzech biskupów – inny z temperamentu, innej formacji i o innym stylu funkcjonowania – współtworzył jedną diecezjalną narrację: Jankowski to nasz człowiek. I choć każdy z nich inaczej próbował go okiełznać – jeden z rezerwą, drugi przez półśrodki, trzeci z zachwytem – wszyscy razem są symbolem Kościoła, który wyparł sumienie.

Kościół gdański ma więc własnego świętego – Henryka od Brygidy. Kapłana, który błogosławił dzieci, a potem je krzywdził. I którego legenda mówi o polskości, heroizmie i walce z komuną, ale milczy o przemocy, pazerności i hańbie. Tak, ksiądz Jankowski był postacią wybitną, lecz nie świętą. Wybitnie zdemoralizowaną. I wybitnie chronioną.

Ksiądz profesor Andrzej Kobyliński powiedział jakiś czas temu: „Skandal Jankowskiego to wielkie lustro, w którym powinna się przeglądać cała Polska, ludzie Kościoła”. Wydawało mi się wtedy, że brzmi to dość patetycznie. No bo co może być terapeutycznego dla moich rodaków w taplaniu się w historii kolejnego pedofila w sutannie? Ale po lekturze książki zmarłej już niestety Bożeny Aksamit i Piotra Głuchowskiego *Uzurpator. Podwójne życie prałata Jankowskiego* zacząłem się zastanawiać, czy polscy katolicy tę próbę wytrzymają. Czy im oczy nie popękają, gdy zobaczą, jaką groteskową postacią był Jankowski. Bo Aksamit i Głuchowski przedstawiają historię hedonisty, któremu dali się omamić wszyscy: Wałęsa, Wyszyński, Glemp, Jan Paweł II, by wymienić tych znamienitych z milionów dumnych Polaków. Kiedy już wiadomo było, kim jest ten ponury typ, to nikt nie miał interesu, by go zatrzymać, gdyż wszyscy chcieli chronić mit ruchu, w którego ścisłym kręgu się obracał. Kult złotego cielca oślepił wszystkich.

Seminarium było jego drugim wyborem. Nie dostał się w poczet kleryków w Pelplinie, ale w seminarium w Oliwie brakowało kandydatów do kapłaństwa. Jak to się mówi, na bezrybiu i rak ryba. Jak więc to się stało, że ten mierny człowiek, który z trudnością posługiwał się językiem polskim, chełpił się, że przeczytał w życiu dwie książki, którego nie chciało nawet ludowe Wojsko Polskie, zaszedł tak daleko? Odpowiedź wydaje się prosta. Tacy wówczas robili karierę – szumowiny, geszefciarze, którzy umieli przypodobać się przełożonym. Nie tak dawno odkryłem, że według pewnych źródeł w samej archidiecezji poznańskiej pracowało kilkuset kapłanów mniej lub bardziej zaangażowanych w zbieranie danych dla esbecji. „Worek, korek i rozporek” – o te przypadłości potykali się księża (jazda po pijaku, chciwość, kobieta na boku, „słabość” do nieletnich). Co z tego, że Jankowski nie potrafił ze zrozumieniem przeczytać studenckiej lektury, skoro miał dryg do interesów? A to skombinował bilety do opery, a to zebrał pieniądze na odbudowę kościoła św. Brygidy. To, że był pedofilem, miał relacje intymne z klerykami, szło w zapomnienie. Wybaczano mu największe zbrodnie, byle ludzie nie gadali. Zaradność Jankowskiego i bezwzględność były trampoliną jak w każdej korporacji.

I przyszedł taki moment, że stał się nietykalny. Na piedestał, z którego nie dało się go strącić, by rozliczyć ze zbrodni prymitywnej pedofilii – co za paradoks – wyniosła Jankowskiego esbecja. Czy ludzie, którzy zabijali się, żeby kupić nagrywane na magnetofonową taśmę homilie pierwszego kapelana Solidarności, mają pojęcie, że pisali je funkcjonariusze aparatu państwa? Potem kazania pisał Jankowskiemu ministrant. Miało być patriotycznie i odważnie. Był bowiem taki czas, kiedy msze w Brygidzie obstawiali dziennikarze najważniejszych światowych stacji i czasopism, na plebanię zjeżdżały tiry z darami, przywożono przemycane dolary i zachodnie marki. A że Jankowski był hojny, codziennie dzielił się żywnością i lekarstwami z ponad setką osób, pomagał w załatwianiu wiz. Na Dzień Dziecka załatwił na przykład ciężarówkę rowerów. Tylko w latach 1982–1983 dostał do dyspozycji trzy mercedesy. Jego bogactwo biło po oczach. Zbrojownia, salon wypełniony meblami z orzecha i dębu, bursztyny i obrazy z podobizną, a jakże, gospodarza. Często pomstujemy na księży za ich wyniosłość, próżność, chęć postawienia się wyżej od innych. Książka o Jankowskim doskonale pokazuje, że klerykalizm, bo o tym przecież mowa, jest budowany przez zwykłych ludzi, którzy znajdują jakieś

spełnienie w afirmowaniu księży tylko dlatego, że są księżmi. Na tym utoczył się Jankowski. Słyszał „księże profesorze”, a z uczelni w Kentucky i Akademii Polonijnej w Częstochowie spływały na niego splendory.

Prałat od pewnego momentu grał na dwa fronty. Zwerbowany przez esbecję gasił nadmierny zapal robotników w kluczowych momentach wiosny Solidarności z początku lat osiemdziesiątych. Pozyskiwał informacje z pierwszej ręki, bo na co dzień rozmawiał z Wałęsą i prymasem Wyszyńskim. Esbecy mieli więc z niego pożytek – raportował im skrzętnie każdy ruch opozycji. Co ciekawe, Wyszyński też jak ognia bał się radykalizacji nastrojów. Z Jankowskim przyjęli ten sam front wobec kryzysu jak władza ludowa.

W Jankowskim odzywa się namiętność. Przestaje być ostrożny, pomimo że ma opinię osoby, która nie radzi sobie ze swoją seksualnością. Czuje, że znów może pozwolić sobie na więcej. Czas, kiedy krążył po jednej z pierwszych parafii i napadał z nienacka na dzieci, się skończył. Nie musi się specjalnie kamuflować. Bez krygowania się śpi z młodzieńcami w wielkim małżeńskim łóżku. Jednym z tych chłopaków jest Wojtek. Jankowski robi go swoim sekretarzem. Potem jest Kajtek. Ich więc pieczętują medale z kutego złota na złotych łańcuchach z amorkami. Ręczna robota na zlecenie. Jak Kajtek się zestarzeje, zostanie szoferem. Prałat śpi w majtkach z naszywkami z serduszek i kwiatków. Chłopaków na plebanii pojawia się więcej, są sekretarzami, bramkarzami. Okupieni w markowe ubrania, przeważnie jasnowłosi, są na wyposażeniu parafii, bo Jankowski lubi otaczać się pięknem i je konsumować. Prałat dba o swoich chłopców. Kochankowie, których odprawia, dostają wyprawkę: mieszkania, samochody, dobrą pracę. Potem przyjdzie czas spotkań w klubach gejowskich, szukanie świeżego towaru w miejscach, w których oferuje się płatną miłość męskich prostytutek, jest nawet chłopak z dworca.

Paradoksalnie cezura 1989 roku ucina marzenia o permanentnej fiejście i zanurza Jankowskiego w strefę głębokiego cienia. Miał być kapelanem przy Wałęsie w Belwederze, marzyły mu się generalskie pagony, zaszczyty i splendory, ale nic z tego. Chyba rozumie, że stał się obciążeniem. Wróg zniknął, co prowadzi do bezradności całego Kościoła w nowej rzeczywistości. Trzeba wziąć się do pracy, zakasać rękawy. Kraj nie potrzebuje już bojowników. Niewielu duchownych umie odnaleźć się w swojej normalnej roli.

Przychodzi jednak nieoczekiwana pomoc. Polska się zmienia i Kościół znajduje nowych wrogów, wyimaginowanych oprawców polskiego katolicyzmu: Żydów, masonów, lewicę i Unię Europejską. Jankowski idzie na wojnę i walczy z wszystkimi naraz – Michnikiem, Geremkiem, a nawet Wałęsą. Łatwiej się żyje, gdy znajdzie się winnych wszystkich naszych nieszczęść. Popierają go prymas Glemp, a wkrótce znajdzie przyjaciela w ojcu Tadeuszu Rydzyku.

Historia Jankowskiego odsłania prawdę o głównym nurcie myślenia prezentowanym przez Kościół, który dziś nadaje w Polsce ton: zakompleksionym i płytkim, nierozumiejącym Ewangelii. Nurt ten rości sobie prawo, by jednych nobilitować, a innych wykluczać – rozzuchwalony wielowiekową tradycją wynoszenia księży ponad zwykłych ludzi. To Kościół jak spasiony kot: nic mu się nie chce, syczy tylko wtedy, gdy ktoś czegoś od niego wymaga albo go napomina.

Przyjeżdżam tu co jakiś czas. Czy to grudzień, czy maj, wychodzę z dworca tunelem przy PKS-ie. Kiedy wynurzam się na powierzchnię, za każdym razem ogarnia mnie to samo wrażenie, jakby czas zatrzymał się w tym miejscu kilkadziesiąt lat temu. Poniemieckie kamienice z odpadającym tynkiem, gdzieniegdzie schludnie odrestaurowane, a między nimi zieleń – bujna, czasem trochę zdziczała, jakby nieco zapomniana przez miejskie plany rewitalizacji. Tramwaje suną cicho po torach, skrzypiąc na zakrętach, jakby chciały dopowiedzieć jakąś historię, której nikt już nie słucha.

Skrećam w stronę Podwała Grodzkiego. Po lewej – szkło i podświetlane elewacje nowego centrum handlowego, po prawej – resztki Gdańska robotniczego: zamurowane witryny dawnych warsztatów, odrapane kamienice z klatkami z lastryko, magazynowe przybudówki przy torach. Przemilczane dzieje są tu bardzo konkretne: niemieckie napisy wyłaniające się spod tynku, powojenne nadlewki betonu, socmodernistyczne bloki wciśnięte między dziewiętnastowieczną cegłę, ślady po szyldach stoczniowych kooperantów. To nie nastroje, tylko fizyczne warstwy życia miasta – widoczne w murach i krawężnikach, wyczuwalne w zapachu mokrego smaru spod wiaduktu i wilgotnej cegły po deszczu. Tu Gdańsk zaczyna się nie od pocztówkowych zabytków, tylko od tych nakładających się na siebie epok. Dalej przechodzę przez Targ Drzewny – i tu zaczyna się Gdańsk inny: turystyczny, wypolerowany, wyreżyserowany. Ale ja wolę

jeszcze chwilę pokręcić się po tej mniej oczywistej stronie miasta, zanim trafię na Długi Targ. Gdzieś między tramwajowym szumem a zapachem starych podwórek Gdańsk mówi cicho: „Nie zapomnij, że jestem miastem, które pamięta więcej, niż pokazuje”.

Ksiądz Franciszek Cybula to jedna z najbardziej mrocznych postaci w kręgu gdańskich kapelanów Solidarności, niemal całkowicie nieznana opinii publicznej, a jednocześnie budząca grozę wśród tych, którzy znali kulisy jego życia. W odróżnieniu od Jankowskiego, który był figurą medialną i polityczną, Cybula działał po cichu, często w cieniu, ale według świadectw jego przestępstwa były równie obrzydliwe, a może nawet bardziej systematyczne. Jedną z ofiar, z którą rozmawiam na temat Cybuli, mówi o nim jako o podopiecznym Jankowskiego, cieszącym się nietykalnością i ochroną zarówno w strukturach kościelnych, jak i politycznych.

– Pamiętam jego głos. Spokojny, taki niby ciepły. Mówił, że jestem wyjątkowy. Że Bóg mnie wybrał. Że mam powołanie. Miał taki sposób mówienia, że czułem się zaszczycony, że w ogóle ze mną rozmawia. Na początku to były tylko spotkania – modlitwa, rozmowy o wierze, coś jak kierownictwo duchowe. On mówił, że Kościół potrzebuje takich chłopców jak ja. Czystych. Z ufnością. Że jestem jego radością. A potem zaczęło się przekraczanie granic. Delikatne dotknięcia, niby-ojcowskie. Przytulenia. Czasem trzymał mnie za rękę zbyt długo, kładł dłoń na udzie. Mówił, że to jest „miłość w Duchu Świętym”. Że nie mogę o tym nikomu mówić, bo wtedy zgrzeszę. Nie on – ja.

Czułem się, jakbym robił coś złego, ale jednocześnie, jakbym był wybrany. Tak potrafił to wszystko zbudować. To nie był gwałt siłowy. To był gwałt na duszy. Na mojej potrzebie bycia ważnym, kochanym. Miał w sobie coś, co sprawiało, że trudno było mu się sprzeciwić. A ja miałem wtedy czternaście lat.

Gdy pierwszy raz spróbowałem powiedzieć coś koledze ministrantowi, on mi przerwał: „Cybula? Lepiej milcz. Inaczej rodzice się dowiedzą, proboszcz się dowie i jeszcze biskup. Będziesz miał piekło”. Milczałem więc. Przez lata. Później słyszałem, że ktoś coś zgłosił. Że był skandal. I co zrobili? Wysłali go niby na leczenie do jakiegoś zakładu psychiatrycznego. A potem znowu wrócił. Na inną parafię. Do innych dzieci. Kościół nie powiadomił nikogo. Wszystko załatwili we własnym gronie jak zawsze.

Oglądałem *Tylko nie mów nikomu* Sekielskich. Kiedy usłyszałem jego nazwisko, serce mi stanęło. Jakby ktoś wyjął coś, co przez lata było w nim zakopane głęboko, i powiedział: „To się naprawdę wydarzyło. I nie jesteś sam”. Ale wiesz, co boli najbardziej? Że on nigdy nie poniósł konsekwencji. Że biskupi wiedzieli i nic. Tylko kolejne parafie, kolejne dzieci. A potem cisza. Taka święta kurialna cisza, która krzyczy w głowie ofiary do końca życia.

Cybula nie był wyjątkiem. Był regułą. Był częścią systemu, który karmił się milczeniem, strachem i zwierzchnością. Może był mniej znany niż Jankowski, ale tak samo bezkarny, tak samo ochroniany. Tak samo potworny. Jeśli Jankowski był publiczną twarzą chorych relacji władzy, to Cybula był ich sekretnym operatorem – cichym ogniwem przestępczego systemu, którego ofiary wciąż czekają na sprawiedliwość.

Ciekawią mnie historie opowiadane przez księży o biskupach.

Informator, z którym się spotykam, to oczywiście były ksiądz. Ale tu, w Gdańsku, to nie to samo, co w Krakowie. Tam – teatr, maskarada, spektakl konwersji: z koloratki w świecki garnitur, z ambony do mediów albo biznesu, przy głośnym trzasku drzwi. Tu jest inaczej. Nie ma skandalu ani ostentacyjnego odcinania się od przeszłości. Tu byli księża nie palą za sobą mostów. Wciąż mają jakieś kontakty z dawnymi kolegami, dzwonią do siebie, spotykają się na kawę, czasem nawet na piwo. Ploteczki przy stole to nie forma zdrady, ale przedłużenie przynależności do wspólnoty, tylko już bez sutanny. Bo więź i przyjaźń znaczą tu więcej niż korporacyjna solidarność. Może dlatego, że ten Kościół był zawsze bardziej portowy niż dworski, bardziej robotniczy niż klerykalny. Mniej oparty na hierarchii, bardziej na lojalności. I może dlatego, że w Gdańsku zdrada instytucji nie musi oznaczać zdrady ludzi.

No to zacznijmy tę opowieść raz jeszcze. Niech o Gdańsku mówią ludzie.

– Jaki był Gocłowski? – pyta sam siebie mój rozmówca i zaraz odpowiada: – To był człowiek z jakąś klasą i elegancją. Ale wkurzał się strasznie, kiedy słuchał o kłopotach. On miał taki zwyczaj, że jeździł po kołędzie po parafiach, lecz nie odwiedzał zwykłych ludzi, tylko księży. Czyli przyjeżdżał biskup, była tam jakaś wspólna kawa, pogaduchy i potem on obchodził każdego z księży. Do mieszkania szedł, żeby pogadać chwilę i oczywiście przyjąć ofiarę. Nic wielkiego, na dzisiejsze kilka stów.

Generalnie chodziło o to, żeby posiedzieć chwilę z biskupem u siebie w mieszkaniu i porozmawiać na jakieś miłe, sympatyczne tematy. Ale kiedy któryś z wikarych poruszył jakiś temat trudniejszy, biskup od razu spinał się i padało: „Nawet mi tego nie mów, nawet mi tego nie mów”.

Od innych księży słyszę o podziale zadań w archidiecezji. Za czasów arcybiskupa Gocłowskiego panował w niej pewien porządek. On sam był bardzo niechętny do wprowadzania zmian personalnych. Wszystkie sprawy dotyczące mianowań i przesunięć proboszczów zatrzymywał dla siebie, choć i tak robił to rzadko. Za to biskup pomocniczy Zygmunt Pawłowicz odpowiadał za ruchy kadrowe wśród wikariuszy, a także za tworzenie nowych parafii. Nie było wtedy jakiejś wielkiej otwartości na rozmowy. Jeśli były planowane jakieś przeniesienia, nie można było się zgłosić do biskupa i spróbować coś załatwić czy wyprosić zmianę. Pawłowicz miał nawet takie powiedzenie: „Dopóki się nie biją z proboszczem, nie będziemy ruszać”. Co oznaczało, że nawet jeśli wikariusz trafił do parafii z wyjątkowo trudnym, konfliktowym proboszczem, bez jawnych awantur nie było szans na przeniesienie.

Ciekawy był system tworzenia nowych parafii. Pawłowicz, jeżdżąc na bierzmowania, zawsze miał przy sobie kleryka. Po uroczystościach objeżdżali budujące się osiedla i ten kleryk liczył, ile jest klatek w blokach. Jeśli wychodziło, że na osiedlu zebrała się już wystarczająca liczba „klatek”, uznawano, że pora stworzyć tam nową parafię.

Jeżeli chodzi o czasy arcybiskupa Gocłowskiego, to trzeba przyznać, że miał swój styl zarządzania. Za przydzielenie danej parafii czy urzędu na przykład nie dało się oficjalnie zapłacić, ale w dobrym tonie było coś biskupowi w tej intencji dać. Jak się dowiedziałem od jednego ze starszych kanoników, Gocłowski miał na te podarki specjalną szafę – nie byle jaką. Była to szafa, w której kolekcjonował drogie alkohole, flaszki za kilka tysięcy złotych, absolutny top, prawdziwe perełki, same najlepsze marki, które nieraz ciężko w ogóle gdziekolwiek kupić. Proboszczowie, którzy chcieli utrzymać z nim dobrą relację, pojawiali się u niego nie tylko z butelkami, ale też z różnymi zestawami – świeże rybki, wędzone specjały, smakołyki ze sprawdzonych źródeł. Generalnie panowała wtedy taka swojska sympatyczna atmosfera. Jak ktoś potrafił się odnaleźć w tych niepisanych zwyczajach, to miał szansę w przyszłości na lepszą parafię czy jakieś przesunięcie. Ale jak któryś z proboszczów się nie pojawiał, nie

pokazywał, nie „zadbał” o relacje – cóż, jego szanse malały. Nikt niczego nie wymuszał, nikt nie mówił tego wprost, ale wszyscy wiedzieli, jak to działa.

Ale jak przyszedł arcybiskup Głódź, wszystko się posypało. Ten stary układ, eleganckie rytuały, ta „dobra atmosfera” – wszystko runęło jak domek z kart.

Gdy zaczynam rozmawiać z księżmi – zarówno tymi, którzy wciąż są w służbie, jak i tymi, którzy już dawno zrzucili sutannę – słyszę jedno zdanie, które przewija się w kółko: „Głódź to już była zupełnie inna epoka. Buta, pycha i bezczelność”.

Siedzę z nimi przy stoliku w jednej z cichych kawiarni przy Motławie, gdzie zapach kawy miesza się z wilgocią starego miasta albo skryty za dyskretnymi przepierzeniami kawiarni na Starym Rynku. Świat za szybą płynie leniwie – turyści, statki, gwar rynku – ale tu, przy tym stole, czas jakby się zatrzymał. Słucham ich szeptów, notuję, przecierając oczy ze zdumienia. Bo to, co mówią, brzmi jak fabuła z taniego thrillera albo gotycki scenariusz o upadku Kościoła – tyle że to nie jest fikcja. Nawet moi rozmówcy jakby nie do końca wierzą, że to wszystko się wydarzyło. Że Głódź nie jest tylko legendą, stworem, którym straszy się dzieci na rekolekcjach, ale realną postacią z krwi, kości, złota i wódki.

Rozglądają się nerwowo. Ciągłe są w traumie. Jakby bali się, że nawet teraz ktoś ich słucha. Ścisząją głosy, kiedy wchodzą w bardziej mroczne szczegóły. W powietrzu czuć coś więcej niż ich strach – czuć ciężar lat milczenia, zatajanych prawd, zgniłych kompromisów.

– Były plotki, że ma przyjść do Gdańska. Ale nikt się z tego nie cieszył. Każdy wiedział, jakie były jego rządy – czy w diecezji połowej, czy później na Pradze w Warszawie.

Jeden z byłych księży opowiada mi historię, która brzmi jak anegdota, ale wcale mu nie jest do śmiechu:

– Była taka sytuacja: proboszcz, który nie chciał być przeniesiony, kupił mu samochód. Porządne Volvo, takie naprawdę na wypasie. Głódź dar oczywiście przyjął... a dwa tygodnie później tego proboszcza i tak przeniósł.

Inny wspomina:

– Bierzmowanie, wizytacja, a po wszystkim biskup wysyłał wikarego po wódkę. „No, pójdziecie po rozchodniaczkę” – mówił. Skończyło się na

tym, że tych rozchodniaczków było siedem. Po siódmym wikary zemdłał.

Kiedy Głódź przyszedł do Gdańska, chciał się pokazać z najlepszej strony. Zorganizował zebrania dla wikariuszy – podzielił ich na dwie grupy, bo wszyscy naraz by się nie zmieścili.

– Szokiem było, że podał swój prywatny numer telefonu. Mówił, że na Pradze wszyscy księża mieli jego numer, ale... nie był nadużywany. Czyli masz numer, ale lepiej nie dzwoń – bo nie wiesz, jak trafisz.

Wielkie obietnice padły już na starcie.

– Zapewniał, że w pierwszym roku nie będzie przenosił proboszczów. Że ograniczy też przenosiny wikariuszy, jeśli nie będzie konieczności. No i oczywiście tego nie dotrzymał. Zaczął przerzucać księży jak nikt przed nim.

Statystyki robiły wrażenie.

– W diecezji było wtedy około pięciuset księży. Jak robił zmiany, to nie dwudziestu czy pięćdziesięciu, tylko stu. To było traktowanie księży jak dzieci.

Przykład? Wielki Czwartek, bazylika Mariacka, msza święta.

– Po mszy dzwoni kanclerz z kurii: ksiądz biskup zaprasza do kaplicy królewskiej. „Jaki cel?” „Tego się ksiądz dowie na miejscu”. No to trzeba było iść. Kaplica mała, część weszła na górę, część musiała czekać przed drzwiami. Zmienialiśmy się pojedynczo, żeby przekazać informacje. Wszystko w tajemnicy, wszystko z zaskoczenia.

Nie chodziło tylko o parafie.

– W kurii powymieniał praktycznie wszystkich urzędników. Zostawił tylko kanclerza Stanisława Ziębę, bo ten był krótko przed emeryturą. Resztę wymienił w ciągu dwóch, trzech miesięcy. Samych młodych wzięł.

Skąd ich wzięł?

– No, wpadli mu w oko, rozumiesz...

Kiedy pytam o jego metody, słyszę od księży, że chodziło nie tylko o wymianę ludzi, ale o stworzenie sieci lojalnych, młodych, posłusznych urzędników, którzy czuliby wdzięczność.

– Nie tyle chodziło o pieniądze – mówi mi były ksiądz – ile o sytuację, w której siedem, osiem lat po święceniach nagle ktoś zostaje urzędnikiem kurii, a dwa lata później kanonikiem. To byli najmłodszy kanonicy w Polsce. I byli mu wierni, bo się bali. On był furiatem, potrafił wpaść w szal,

szczególnie na kacu. Darł się na całą kurię, nieważne, czy było o co, czy nie.

Proszę o przykłady. Nie muszę długo czekać.

– Zaraz po ingresie zaczął wzywać księży, którzy mieli zaległości w opłatach na kurię i seminarium. Każdy musiał płacić – stówka miesięcznie na seminarium, druga stówka na kurię, jeszcze pięćdziesiąt złotych na co innego. Niektórzy mieli długi po kilka, kilkanaście tysięcy. Ja akurat niedużo, osiem tysięcy, ale tylko dlatego, że wcześniej mieliśmy zgodę, żeby nie płacić, bo kończyliśmy seminarium gdzie indziej. Kiedy mnie wezwał, tłumaczyłem sprawę, to się trochę ostudził. Nawet dał mi różaniec, żeby się za niego modlić.

Ale nie wszyscy mieli tyle szczęścia.

– Byli tacy, którzy przyszli i wprost powiedzieli, że mu nie zapłacą. Wtedy zza drzwi było słyhać, jak się drze. Potrafił mówić: „Ale ksiądz jest chujem”. Tak, przez „ksiądz”. Zawsze przez „ksiądz”. Na ty nie przechodził, ale potrafił człowieka opierdolić tak, że wszyscy słyszeli.

Kiedy przyjeżdżał na wizytacje, zawsze miał już przygotowany raport od komisji kurialnej, która wcześniej sprawdzała finanse, kartoteki, dokumenty.

– Wiedział dokładnie, kogo opierdzielić. A jak odprawiał mszę – czy to wizytacja, czy bierzmowanie – dostawał ofiarę za mszę. Była też taka sytuacja, która mnie mocno ruszyła: mój kolega ksiądz zmarł w wieku trzydziestu siedmiu lat, miał problemy hormonalne, ważył prawie sto dziewięćdziesiąt kilo. Na mszy pogrzebowej Głódź zaczyna kazanie i mówi: „Myślałem, że to ten drugi gruby ksiądz umarł, a nie ten”. Słuchaj, w kościele trzystu księży, parafianie, dzieciaki z gimnazjum, rodzina, matka, siostra... a on wali taki tekst z ambony.

Pytam, czy biskup przyjeżdżał też po kołędzie do księży, żeby zebrać dodatkowy *cash*.

– Nie, tego nie było. Ale zrobił co innego. Wyremontował sobie rezydencję w Gdańsku, zapraszał księży dekanatami na obiady, a parafie musiały wpłacać odpowiednią kasę na pokrycie kosztów funkcjonowania tej rezydencji. Pokazywał potem swoje pokoje, łóżko robione na zamówienie, meble gdańskie, wszędzie obrazy z nim...

A pijaństwo?

– Tak, było o tym głośno. Ale długo nie dało się nic zrobić. Dopiero już po moim odejściu kilku księży zebrało się, złożyło skargę do Watykanu, dlatego po emeryturze musiał opuścić Gdańsk. Krzywda mu się nie stała, umówmy się.

Pytam jeszcze o imprezy u prałata Jankowskiego.

– Na początku jeździł, ale potem przestał. Jankowski pod koniec pieprzył już takie bzdury, że Głódź chyba z ostrożności tam się nie pokazywał.

A rozmowy dyscyplinujące?

– Zdarzały się. Jak miałeś z nim spotkanie, to on zawsze był gotowy, wiedział, co ci zarzucić, wiedział, na czym cię złapać. Potrafił postawić do pionu każdego.

Choć arcybiskup Głódź przez lata dominował w historiach o Kościele gdańskim, to nie był jedyną postacią budzącą kontrowersje. W cieniu jego rządów działał Eugeniusz Stelmach, były proboszcz parafii św. Teresy Benedykty od Krzyża w Gdańsku-Ujeścisku. Zasłynął nie tylko z budowy kościołów, ale także z obrotu nieruchomościami. W 2001 roku parafia, którą zarządzał, zakupiła od miasta działkę o powierzchni 1,6 hektara za 34,4 tysiąca złotych z przeznaczeniem na budowę obiektów sakralnych i społecznych. Zamiast tego część terenu Stelmach sprzedał pod inwestycje komercyjne, co przyniosło parafii zysk w wysokości około 1,9 miliona złotych.

Kiedy zaczęła się budowa świątyni na Ujeścisku, lokalna społeczność była dumna – nowy kościół miał być sercem rozwijającej się dzielnicy. Ale szybko okazało się, że ksiądz Stelmach nie chce stawiać „skromnego domku Bożego”. Zamiast tego zamawiał marmury, drogie wykończenia, efektowne zdobienia. Wnętrze budowli bardziej przypominało luksusowy pałac niż miejsce skromnej modlitwy. Marmurowe posadzki, dekoracyjne balustrady, wysokiej klasy nagłośnienie i oświetlenie – to wszystko kosztowało setki tysięcy złotych.

Ale to nie koniec. Proboszcz sam zaczął zwracać na siebie uwagę stylem życia. Widziano go za kierownicą luksusowego jaguara. Inni duchowni z diecezji jeździli skromnymi samochodami, często używanymi – on wybierał klasę premium. To rodziło pytanie: skąd ma na to pieniądze? Jak ustaliły media, podstawowym źródłem dochodu proboszcza były grunty parafialne. W Gdańsku, gdzie ceny ziemi od lat szybują w górę, każdy

kawałek działki to żyła złota. Parafia dysponowała terenami, które mogły być wykorzystane pod inwestycje. Zamiast jednak działać przejrzyście, ksiądz prowadził operacje, które szybko zaczęto nazywać wałkami. Sprzedaże, wynajmy, dziwne przekształcenia własności – te działania dawały mu ogromne środki. Niektóre działki miały być sprzedawane po zaniżonych cenach, a w rękach nowych właścicieli szybko zyskiwały na wartości. Inne były formalnie „w dyspozycji parafii”, ale *de facto* stały się maszynką do robienia pieniędzy dla proboszcza.

Ludzie z parafii zaczęli mówić wprost: proboszcz nie żyje jak duchowny. Marmurowy kościół, luksusowe auta, kontakty z lokalnymi biznesmenami, przepych w plebanii. Niektórzy wierni czuli się wykorzystywani – że pieniądze z tacy, składek i darowizn idą nie tylko na potrzeby Kościoła, ale też na utrzymanie wystawnego stylu życia. Kiedy ktoś próbował pytać, gdzie są rozliczenia, słyszał, że to sprawy parafialne.

Presja rosła. Do mediów docierały kolejne sygnały o niejasnych finansach parafii. Ludzie zaczęli publicznie krytykować Stelmacha, pojawiły się artykuły w prasie, sprawę podchwyciły portale internetowe. W końcu w 2022 roku archidiecezja gdańska ogłosiła, że ksiądz Stelmach przestaje być proboszczem. Oficjalnie nie podano powodów, ale wszyscy wiedzieli, że to efekt lat kontrowersji.

Tu tkwi największy problem: Kościół w Polsce nie ma obowiązku pełnego ujawniania swoich finansów. Proboszcz zarządza majątkiem parafii praktycznie samodzielnie. Nie ma rady nadzorczej, nie ma zewnętrznej kontroli. Wiemy, że marmury kosztowały krocie. Wiemy, że jaguar nie spadł z nieba. Wiemy, że operacje na gruntach przynosiły potężne zyski. Ale czy kiedykolwiek ktoś to dokładnie policzył? Kościół odsunął proboszcza w cień, parafia przeszła pod nowe zarządzanie, a pytania o przeszłość zawisły w powietrzu.

Kołobrzeg, 2003 rok. Cisza nad Bałtykiem, tylko mewy skrzeczą nad nadmorskim miastem. W cieniu Agencji Mienia Wojskowego ksiądz prałat Andrzej Czerwiński finalizuje nietypowy zakup: 108 hektarów gruntów. Cena? 1,4 miliona złotych. Prywatnie, nie jako przedstawiciel Kościoła. Nie mija wiele czasu, gdy zaczyna krążyć wiadomość, że duchowny jest gotów odsprzedać nieruchomość miastu. Za ile? 3 miliony 812 tysięcy 32 złote.

– Jestem w szoku – komentuje wtedy Henryk Bieńkowski, ówczesny prezydent Kołobrzegu, na zwołanej konferencji prasowej. – To niemoralne. Prawie trzy razy więcej, niż sam zapłacił. Nie zgodzę się, bo byłaby to niegospodarność.

Lokalne media podchwyciły temat. Ludzie pytali: skąd ksiądz ma takie pieniądze? Czerwiński odpowiadał w rozmowie z „Gazetą Wyborczą” otwarcie: „Pracuję od 39 lat. W latach osiemdziesiątych jeździłem na zastępstwa do Niemiec. Dużo zarobiłem na obligacjach. Inwestowałem w nie ponad 10 lat. Teraz nie opłaca się ich trzymać. Dlatego postanowiłem kupić te tereny”. Z uśmiechem dodawał: „Może obudziła się we mnie pasja po ojcu kułaku? Na starość nie chcę być obciążeniem dla parafii i żyć za 500 zł miesięcznie. A ślubów ubóstwa nie składałem”.

Nie każdy ksiądz w PRL-u potrafił zbudować kościół, a Andrzej Czerwiński zbudował kościół, szkołę katolicką, dom rekolekcyjny, sale spotkań, boiska. To był czas, kiedy wszystko załatwiano się bokiem. Oficjalnie państwo blokowało pozwolenia, materiały były na kartki, cement ginął z placów budowy, a cegła była bardziej pilnowana niż złoto. Ale ksiądz Andrzej potrafił to obejść.

– On się dogadywał z każdym – wspomina jeden z parafian. – Z lokalnymi urzędnikami, z sekretarzami partii, z milicją. Miał taki urok, że jak wchodził do biura, to człowiek nie czuł, że przyszedł ksiądz. Czuł, że przyszedł ktoś ważny.

Był sprytny, potrafił zagrać kartą wspólnego interesu. Przekonywał, że kościół to przecież inwestycja dla całej społeczności, że budowa szkoły to wcale nie tylko sprawa religijna, że boisko przy parafii to miejsce dla młodzieży z miasta. Część materiałów zdobywał z darów, część... kupował spod lady, dogadując się z ludźmi, którzy mieli dojścia.

– On potrafił zdobyć blachę w czasie, kiedy nikt nie mógł jej załatwić – mówi ze śmiechem dawny skarbnik parafialny. – Mówił: „Panowie, potrzebujemy dachu na kościół”, i następnego dnia blacha była.

Jednocześnie prowadził interesy na własną rękę. Kiedy PRL upadał, a rynek się otwierał, Czerwiński świetnie wyczuł zmiany. Wszedł w nieruchomości, kupował ziemie, działki. Oficjalnie nie jako ksiądz – wszędzie figurował jako „pan Andrzej Czerwiński”. Znalazł sposób, jak wykorzystać sieć kontaktów do inwestycji, które przynosiły konkretne pieniądze. Problem zaczął się wtedy, kiedy prywatne interesy zaczęły

mieszać z duszpasterskimi obowiązkami. A do tego dochodziły alkohol, jego romanse, chłopcy zapraszani na plebanie. Kiedy sprawa wyszła poza parafię, trafiła od razu do Watykanu. Arcybiskup Gocłowski – człowiek obyty, z watykańskim doświadczeniem, z doktoratem z prawa kanonicznego – próbował najpierw sytuację ugasić, ale ostatecznie musiał podjąć decyzję. Zakazy, rozmowy, zakulisowe układy – nic nie pomogło. W końcu przyszła decyzja: wydalenie ze stanu kapłańskiego.

– Ludzie byli w szoku – mówi jeden z mieszkańców. – Bo jak to? Ksiądz, który tyle zrobił, nagle odchodzi? Ksiądz, który umiał się ustawić, który potrafił zdobywać pieniądze, który kręcił tak jak nikt inny? Przecież bez niego nie byłoby ani kościoła, ani szkoły.

Ale historia nie kończy się skandalem. Wręcz przeciwnie. W 2007 roku media podają, że ksiądz sprzedał działkę ze sporym zyskiem. Co zrobił z pieniędzmi? Postanowił sfinansować nowe skrzydło szkoły. W tym samym roku prałat Czerwiński został laureatem Nagrody Zespołu Szkół Katolickich im. św. Jana Pawła II w Gdyni. Trafił do galerii zasłużonych razem z prezydentem Gdyni Wojciechem Szczurkiem i metropolitą gdańskim Gocłowskim. Dziś jego portret wisi tam nadal jako symbol przedsiębiorczego ducha, który nie bał się inwestować, nawet jeśli budziło to kontrowersje.

Kolejną postacią, która nie może być pominięta w tej książce, jest ksiądz Rafał Sawicz. To ciekawa figura – kapłan cień, duchowny widmo, beneficjent tajemniczych kopert i wyjątkowo dyskretny uczestnik gry, którą Jarosław Kaczyński prowadził nie tylko na Wiejskiej, ale i przy gdańskich ołtarzach. To symbol tego, jak głęboko Kościół potrafił zanurzyć się w świat politycznych układów i pieniędzy. I jak łatwo można zniknąć, kiedy robi się zbyt głośno.

Rafał Sawicz to nie jest postać z pierwszego planu, ale z pewnością nie z ostatniego. W 2018 roku jego nazwisko wypłynęło przy okazji słynnej już afery „dwóch wież” – czyli próby budowy przez spółkę Srebrna bliźniaczych wieżowców w centrum Warszawy. Projekt nie wypalił, ale podczas jednej z kluczowych rozmów – nagranej przez austriackiego biznesmena Geralda Birgfellnera – padło nazwisko księdza, który miał otrzymać kopertę z gotówką. I właśnie tym duchownym był Sawicz. Ksiądz Sawicz miał otrzymać gotówkę w kopercie nie dlatego, że był głodny lub

bezdolny, ale dlatego, że... był potrzebny. A ściślej: potrzebny był jego podpis. Sprawa dotyczyła Instytutu im. Lecha Kaczyńskiego, fundacji, która formalnie zarządzała działką przy ulicy Srebrnej, a w której Sawicz zasiadał w radzie. To nie była dekoracyjna funkcja. Bez zgody rady nie było zgody na inwestycję, a inwestycja była warta setki milionów złotych. I właśnie wtedy – jak wynika z nagrań Birgfellnera, austriackiego biznesmena współpracującego z PiS – pojawił się temat koperty dla księdza.

W rozmowie z Birgfellnerem Jarosław Kaczyński miał powiedzieć, że „trzeba dać księdzu”, bo „ksiądz się zgodzi, ale trzeba go ułagodzić”. Padła też kwota – 50 tysięcy złotych w gotówce. Bez przelewów. Bez śladu. Po prostu koperta dla księdza. Czyli – najprościej mówiąc – chodziło o łapówkę. Motyw? Przekupienie członka rady fundacji, aby zagłosował za projektem budowlanym dwóch wież. Sawicz miał być tym, który pomoże politykom ominąć trudności formalne, pod warunkiem że odpowiednio się go „uhonoruje”. Co ważne, Sawicz podczas przesłuchania nie zaprzeczył, że przyjął kopertę. Po prostu odmówił odpowiedzi. Czyli zrobił to, co wielu duchownych robi w sytuacjach kryzysowych: zamilkł. Ale to milczenie mówiło wszystko.

To klasyczny przykład tego, jak Kościół zmienia się ze wspólnoty duchowej w narzędzie w operacjach finansowo-politycznych. Ksiądz w radzie fundacji? Idealny. Nie budzi podejrzeń, nie przecieknie do mediów i podpisze, co trzeba. Albo dostanie kopertę, żeby podpisał. Sawicz nie był więc beneficjentem jałmużny, tylko trybikiem w układzie. Jako przedstawiciel Kościoła nie głosił Ewangelii, lecz zapewniał głosy, podpisy i zgody – za odpowiednią stawkę.

Co stało się potem? Zapadła cisza. Sawicz, dawniej ksiądz archidiecezji gdańskiej, zniknął. Oficjalnie: wystąpił z kapłaństwa. Nieoficjalnie: przeszedł na polityczną emeryturę ze złotym spadochronem. Jak podały media, wkrótce sprzedał działkę wartą, bagatela, 1,5 miliona złotych. Przypadek? Zbieg okoliczności? Dar niebios? Gdańska kuria, zapytana przez dziennikarzy o Sawicza, mówiła krótko: „Nie mamy z nim kontaktu”.

Sawicz nie głosił kazań w Radiu Maryja, nie grzmiał z ambony przeciwko gender ani nie bronił życia „od poczęcia do naturalnej śmierci”. Nie musiał. Był potrzebny do prowadzenia „świętych interesów”. Dyskretnie obracał milionami, kopertami, wieżowcami i zniknął dokładnie wtedy, kiedy

zrobiło się niebezpiecznie. Bo władza, Kościół i pieniądze tworzą Trójkąt Bermudzki polskiej demokracji.

DIECEZJA BEZ KRÓLA. KOŚCIÓŁ LEGNICKI MIĘDZY CUDAMI A SKANDALAMI

Piłem szklankę zimnej herbaty, gdy usłyszałem:

– Tu nie ma ani jednego pasterza. Tu każdy ksiądz jest sobie biskupem. A niektórzy... no, powiedzmy, że lubią inne owce.

Ex z Legnicy, były duchowny, z którym spotykam się regularnie na kawie, mówi o Kościele z pasją i uśmiechem – ale to nie wesołość, to raczej uśmiech politowania. W pewnej chwili unosi głos, potem przestaje mówić, bo emocje go zalewają, a po chwili rzuca ironicznie:

– Diecezja legnicka? Królestwo księży. Tu biskup jest tylko z urzędu.

Dworzec PKP w Legnicy jakiś czas temu odnowiono sporym nakładem środków. Mnie kojarzy się z carską Rosją, choć gdy go budowano w XIX wieku, Legnica należała do Prus. Dziś panuje tu zaduch, czuć spaliny, zalatuje mi też fetor zepsutej kanalizacji. A że słońce nie ma litości, wszystkie te zapachy działają ze zdwojoną siłą.

Jestem zmęczony już tym jeżdżeniem, spotykaniem się z byłymi, a rzadziej obecnymi księżmi, organistami, eskortami, sakrofilkami, jak mówią o kochankach księży, wreszcie zranionymi „przyjaciółmi”, których roje krążą przy światłości plebanii i kurii. Wiem jednak, że te wyjazdy sporo mi dają, że lepiej rozumiem, o co w tym wszystkim chodzi, że sensowniej jest pytać, by nie zapędzać się w ślepe uliczki, które spowolnią pisanie tej książki.

Legnica wita mnie spieczonym czerwcowym południem. Jadąc uberem do hotelu, gdzie zostawię mały bagaż i nieco się odświeżę, zastanawiam się, co ja właściwie wiem o tym mieście poza tym, że doszło tu do kilku seksskandali kościelnych i wałków finansowych, a grupa proboszczów trzyma władzę w tutejszej diecezji. Już mam: przypominam sobie z historii,

że Legnicę najechali Mongołowie w XIII wieku i choć zwycięstwo tej dziczy nad rycerstwem księcia Henryka II Pobożnego było ewidentne, to nawet napastnicy nie chcieli tu zabawić na dłużej. Każdy też wie, że to region bogaty w miedź, na której kolejne ekipy upasały się, sprawując zarząd w spółkach skarbu państwa. No, ale ja pamiętam Legnicę jako miasto ludzi radzieckich. Bo Legnica niczym Borne Sulinowo była ważną bazą Armii Czerwonej w Polsce. Może stąd to skojarzenie z Rosją. A niektórzy do dziś nazywają ją Małą Moskwą.

Gdy w maju 1945 roku wojska sowieckie wkroczyły do Legnicy, miały tu zabawić tylko na chwilę. To był ich przystanek. Tymczasowe dowództwo frontowe. Ale chwila w historii bywa pojęciem względnym, a Legnica szybko stała się centrum dowodzenia Północnej Grupy Wojsk Armii Radzieckiej – największego zagranicznego zgrupowania sił sowieckich poza ZSRR. W latach 1945–1993 stacjonowało tu od czterdziestu do nawet osiemdziesięciu tysięcy żołnierzy radzieckich i ich rodzin. Oficjalnie – sojuszników. W praktyce – funkcjonariuszy stanowiących państwo w państwie.

– Mieli własne sklepy, własne szkoły, szpitale, przedszkola, domy kultury, kina. Polak nie miał tam wstępu – wspomina pan Marian, dziś emerytowany kolejarz. – W centrum miasta była dzielnica zamknięta. Mówiliśmy na to: Mała Moskwa. Bo rzeczywiście, jakby kawałek Związku Radzieckiego wylądował w środku Dolnego Śląska.

Do dziś nie wiadomo, czy pod Legnicą przechowywano głowice jądrowe. Historycy się spierają. Ale niepokojące fakty wypływają.

– W latach osiemdziesiątych mój ojciec pracował w służbach komunalnych. Mówił, że był raz w strefie radzieckiej pod pretekstem naprawy instalacji. Opowiadał potem, że widział coś w rodzaju silosów. Głębokie betonowe komory strzeżone przez uzbrojonych żołnierzy – opowiada anonimowo jeden z mieszkańców.

Oficjalnie Polska Ludowa nie miała broni atomowej. Nieoficjalnie – na Dolnym Śląsku mogły się znajdować przenośne magazyny z tak zwanymi walizkami nuklearnymi, gotowymi do użycia w razie wojny z NATO. Nie bez powodu Legnica była celem uderzeń amerykańskich bombowców strategicznych w razie wybuchu kolejnej wojny światowej.

Kiedy w 1989 roku komunizm zaczął się chwiać, Legnica zaczęła oddychać. Choć nie od razu. Rosjanie wyjeżdżali powoli, z godnością, ale

też z frustracją. Zostawiali za sobą zdewastowane obiekty, śmieci, azbest, trupy psów wojskowych porzucone w boksach. Ostatni pociąg z nimi odjechał z Legnicy 16 września 1993 roku. Było cicho. Nikt nie płakał. Jedynie niebo było tego dnia zasnuwane mgłą, jakby na Dolnym Śląsku coś się kończyło.

Zapominam o ruskiej historii, chodząc po tutejszym rynku. Niektóre barokowe kamienice zachwycają. Oczywiście jest tu sporo wynalazków architektonicznych rodem z PRL-u, ale taki urok ma cała Polska, w której każdy budował, jak chciał i co chciał. Siadam więc w Rynku w kawiarni Markowej z ciastem i kawą i zaglądam do notatek. To jest naprawdę fascynujące. Każda diecezja ma swoją specyfikę. Ta legnicka to jakiś fenomen.

Dla kogoś, kto nie wnika w te sprawy, wszystko tu się wydaje normalne. Nudne życie kleru jak w każdej innej diecezji – katedra, kuria, biskup, księża. No, ale ja nie zadawałam się powierzchownościami. Lubię kopać pod powierzchnią spraw, które wydają się już zamknięte i wyjaśnione.

Zacznijmy od seminarium. Robert Samborski miał być księdzem. Przez sześć lat przygotowywał się do kapłaństwa w Wyższym Seminarium Duchownym w Legnicy. Miesiąc przed święceniami został z niego wyrzucony. Oficjalnie: za opublikowanie satyrycznych opowiadań. Nieoficjalnie: bo zbyt dobrze poznał system i przestał się go bać.

W książce *Sakrament obłudy* Samborski obnaża kulisy funkcjonowania seminarium, w którym nie formowała się duchowość, lecz tresowano ludzi do posłuszeństwa. „Nie budowano tam sumienia, tylko lęk” – pisze. Zamiast miłości do Boga i bliźniego klerycy uczyli się gry pozorów, donosicielstwa i ślepego podporządkowania. Każdy ruch był obserwowany, każde słowo analizowane. Za pytania groziła kara. Za szczerość – izolacja. Za bunt – wydalenie. Samborski pisze o hipokryzji przełożonych, którzy publicznie nauczali o czystości, a prywatnie dopuszczali się zachowań sprzecznych z nauką Kościoła. O wykładowcach, którzy zamiast rozwijać duchowość, promowali lojalność wobec systemu. O atmosferze, w której wiara stawała się dekoracją, a nie treścią życia.

Książka Samborskiego to nie tylko rozrachunek z Kościołem, ale też z samym sobą. Po odejściu z seminarium przestał wierzyć, zaakceptował swoją orientację i rozpoczął nowe życie. Studiuje biologię, prowadzi bloga inspirowanego mitologią nordycką, pisze o świecie bez Boga, ale

z godnością. Mam nadzieję, że ma się dobrze, ale jakiś czas temu zrobił sobie z nas wszystkich żart. Na fejkowym koncie ktoś napisał, że zmarł. Jeden z redaktorów pewnego portalu poprosił mnie nawet, żebym go pożegnał. Pomyślałem, że może popełnił samobójstwo, i napisałem delikatny tekst o tym pięknym człowieku. Potem okazało się, że żyje, że się po prostu ukrył przed światem. Cieszę się też, że Robert spisał swoją historię, a jeszcze bardziej z tego, że stanął na nogi.

Teoretycznie diecezją powinien rządzić biskup. W tej diecezji jednak rządzi grupa baronów. To proboszczowie, którzy – od dziesięcioleci osadzeni na swoich plebaniach – zbudowali wokół siebie układ nie do ruszenia. Nie chodzi tylko o to, że decydują o kwestiach duszpasterskich, ale też o ich interesy. Są jak książęta. Ich dochody, nieruchomości i wpływy krążą w zamkniętym obiegu. Każdy, kto próbowałby go naruszyć – nawet biskup – szybko przekonuje się, że nie ma tu pola do działania. Władza kurii? Iluzoryczna. Kontrola finansowa? Teoretyczna. Czy to jeszcze struktura kościelna, czy już lokalna oligarchia, w której biskup robi za słupa. Śmieją się z niego, że to człowiek bez poglądów. Taka atrapa satrapy.

Widziałem go kilka razy w akcji. „Bez serc, bez ducha”... Jest jak robot, który powtarza wgrane formułki jak wszyscy biskupi od lat.

Cóż więc mam w tych notatkach? Jest ich tyle, że w zasadzie mogą już wystarczyć do opisu diecezji. Wybieram te, które łączą mi się w pewną całość.

Nie tak dawno zakończyła się sprawa w Legnickim Polu. Tutejszy proboszcz został skazany na dwa lata więzienia. Wydał bez konsultacji z nikim 1,2 miliona złotych przeznaczonych na zapłatę za renowację zabytkowej bazyliki. Konta parafii zajął komornik, z proboszcza nikt nic nie ściągnie. Goły i wesoły jest – słyszę. Na co on liczył? Że rozejdzie się po kościach? Że kradzież kasy na remont, o którą trzeba było mocno walczyć, pójdzie w zapomnienie? Że ludzie machną na nią ręką? Zainwestował w kryptowaluty i mam dla niego pewną dozę podziwu, no bo jednak trzeba się na tych wszystkich skomplikowanych operacjach i parametrach znać. I ten tupet! W nudnym jak flaki z olejem i raczej ubogim w przymiot kreatywności środowisku kościelnym facet miał jednak jaja.

Ogromny jak niedźwiedź ksiądz wydawał się spokojnym człowiekiem. Jeden z księży wspomina, że był delikatny, wręcz kobiecy w zachowaniu.

Nie wiem, czy mieli na pieńku, ale dodaje jeszcze, że to wszystko pozory, że to pyszny i zadufany w sobie, lubiący luksus typ.

– Kojarzył mi się z jakimś francuskim notablem, wiecznie niezadowolonym. Brakowało mu tylko peruki. – Śmieje się, bo Włodzimierz jest łysy już od lat.

Co mu przyszło do głowy? Miał przed sobą karierę, biskupi jedli mu z ręki. Jako kanonik zabiegający o podniesienie kościoła do rangi bazyliki miał zasługi. Pamiętał też o przełożonych, z którymi miał doskonałe relacje. W 2014 roku biskup Stefan Cichy został pierwszym Honorowym Obywatелеm Gminy Legnickie Pole. Decyzję o przyznaniu mu wyróżnienia podjęła jednogłośnie uchwałą Rada Gminy Legnickie Pole. Trzy lata potem biskup Zbigniew Kiernikowski powołał do życia Kapitułę Świętej Jadwigi Śląskiej, której dziekanem mianował księdza Włodzimierza. Po co mu był ten skok na kasę?

Wierzycieli jest dwóch. Gmina Legnickie Pole otrzymała od diecezję w ramach spłaty środków grunty. Ministerstwu Kultury i Dziedzictwa Narodowego trzeba zwrócić ponad milion złotych dotacji. Ciekawe, czy ministerstwo pozwie diecezję w związku z przestępstwem księdza. Moim zdaniem to prosta sprawa. Swoją drogą ksiądz wpadł na dość ciekawą linię obrony. Twierdził, że ktoś włamał się do jego komputera i przelał te pieniądze. No, ale ten fortel nie przeszedł. Choć ten milion to drobne w porównaniu z aferą salezjańską, opisaną przeze mnie w *Zakrystii*, w której kilku księży oskarżono o wyłudzenie ponad 400 milionów złotych z legnickiego oddziału Kredyt Banku, ale też od osób prywatnych. Kapłani uwijali się, produkując lewe dokumenty o dochodach osób, które zaciągały kredyty. Sporo inwestowali poprzez Bank Watykański, no, ale sprawa się rypła, bo pośrednicy wożone do Watykanu w walizkach pieniądze włożyli w mało dochodowe interesy. Nawet „Baranina”, który na zlecenie jednego z duchownych miał na procent wyegzekwować zainwestowane pieniądze, nic nie zdziałał. W sprawie tej poza mafiosem pojawił się nawet trup. Ot, typowa bandyterka białych koloratek. Skończyło się tak, że na spłatę rat księża pożyczali od wiernych, a wierni z banku. Wierni jak to wierni. Może i mierni, ale dali radę i wzięli na klatę zobowiązanie.

Bohater kolejnej sprawy to nie byle kto. Mówimy o kanclerzu legnickiej kurii biskupiej. Dziś wspomina pewnie przeszłość jak zły sen, bo z dnia na dzień sprawami, którymi się zajmował, zainteresowały się służby: Agencja

Bezpieczeństwa Wewnętrznego i prokuratura. O co w zasadzie chodziło? O zwrot majątku kościelnego zabranego po II wojnie światowej. Jeśli chodzi o parafie i samą diecezję legnicką, Kościół dostał więcej ziemi, niż utracił. No i niemal od razu sprzedał ją deweloperom i prywatnym inwestorom.

Ksiądz Józef Lisowski to człowiek o ciężkiej posturze i jeszcze cięższym charakterze dla tych, którzy stają mu na drodze. Słyszę, że lubi perfumy i dobre auta. No i od niemal zawsze potrafi się wkręcić we wpływową koterię. W szczególności umiłował sobie lewicę, a w zasadzie SLD, z którym doskonale się dogadywał. Noga powinęła mu się wiele razy, ale żaden biskup od początku istnienia diecezji nie zdjął go ze stanowiska kanclerza.

Fizjonomia typowo księzowska. Ciężka, okrągła, nalana twarz znamionuje dobrze wykarmionego notabla. Jest na swój sposób pogodny i ma w sobie sporo spokoju. Dobrze zrobione zęby, czarne marynarki, zadbana siwa grzywka zaczesana na bok. Ale moi rozmówcy mówią, że jak zwykle to pozory, że w tym grymasie uśmiechu jest coś fałszywego, co tylko udawało dobroduszość.

Rober Samborski w *Sakramencie obłudy* wspomina go następująco: „Po cichu mówiło się, że swoje wpływy zawdzięczał wielkiej obrotowości w zakresie finansów. Wszyscy, nawet najwyżej postawieni księża, bali się go jak ognia, bo też potrafił mścić się na każdym, kto mu podpadł. Nawet biskupi musieli liczyć się z jego zdaniem. Wśród księży mówiło się wręcz o tym, że ks. Józef L. jest w stanie niepokornym duchownym załatwić »drobny wypadek«”.

À propos wypadku, to dokopałem się do ciekawego tekstu Patryka Koseli z 2008 roku, opublikowanego w Wirtualnej Polsce. Bohaterem tej historii jest młody chłopak, który dorabiał na studia na stacji benzynowej. Poza nauką jego pasją były motocykle. Jeździł po Głogowie z umiarkowaną prędkością. Droga była pusta... „Przed sobą miałem tylko jeden stojący na poboczu po mojej stronie samochód. Nagle samochód ruszył z miejsca, kierowca bowiem próbował zawracać, lecz tym samym, o zgrozo, zajechał mi drogę. Zdołałem położyć na boku motocykl i całym rozpędem runąłem pod koła nawracającego auta” – tak to opisał w relacji dla ubezpieczyciela. Miał wrażenie, że kierowca chce uciec z miejsca zdarzenia. Chłopak, ledwo idąc, podszedł do luksusowego audi wartego pół miliona złotych, które –

jak się później okazało – zostało zarejestrowane na Caritas, i raptem druga osoba z auta wpełchnęła go do środka. Poza kierowcą, w stroju księdza, w audi był ksiądz Lisowski.

Limuzyna ruszyła i zawiozła go do szpitala. Chłopaka zbadano na zawartość alkoholu we krwi – był czysty. Nie wiadomo, czy zbadano księdza. W szpitalu chłopak musiał zostać jeszcze przez miesiąc. Sprawa była poważna: wieloodłamowe złamanie głowy i szyjki kości ramiennej ze zwicnięciem w stawie barkowym, złamania nasady dalszej kości promieniowej lewej, stłuczenia nerki prawej – krwiak podtorebkowy, krwimocz. Do tego dwie operacje, kilkadziesiąt szwów. Lisowski odwiedził go raz. Matce dał kopertę z 500 złotymi. Nie chciała tej jałmużny, ale wzięła, bo naciskał.

Chłopak po wyjściu ze szpitala napisał do księdza maila. Miał żal. W odpowiedzi otrzymał piękne słowa: „Wspominasz o tym, co miałeś, a co straciłeś... jednak nie wspominasz, co zyskałeś! Zyskałeś nowe życie, nowy dar, który powinieneś mądrze wykorzystać i cieszyć się z niego, obdarowując innych miłością, ponieważ ona daje siłę do walki z wszelkimi niepowodzeniami, zwątpieniami, przeciwnościami losu” – napisał Lisowski.

Lisowski ma niesamowite szczęście. W 2006 roku pisowski wojewoda dolnośląski Krzysztof Grzelczyk powiadomił prokuraturę o wyłudzeniu nieruchomości o łącznej wartości 3 milionów złotych. Jako winnych wskazywał urzędnika Dolnośląskiego Urzędu Wojewódzkiego we Wrocławiu Rafała Ziglewskiego oraz Lisowskiego. Zanim opowiem szczerzej o tych nieprawidłowościach, warto wspomnieć, że Lisowski występował w sprawach w podwójnej roli: raz jako ten, który odzyskiwał grunty, a raz jako ten, który je sprzedawał.

Ale Lisowski miał plecy. Widywano go z prezydenckim ministrem Michałem Kamińskim, jak również z prezesem KGHM Krzysztofem Skórą. To były czasy, kiedy państwo obchodziło się z Kościołem jak z jajkiem. To, że duchowni balansowali na krawędzi prawa w sprawach gospodarczych, nie było takim problemem, ale czasem ewidentnie je łamali. Wielu adwokatów, z którymi rozmawiałem na temat Komisji Majątkowej i sprawy salezjańskiej, przypomina, że Kościół był wtedy pod ochroną. Jeden z podsekretarzy stanu w ważnym ministerstwie przyznał nawet, że zna

przypadki, kiedy sprawy nadużyć finansowych księży załatwiano jednym telefonem.

Bawi mnie tekst w „Gazecie Wrocławskiej” z 2010 roku na temat księdza Lisowskiego. A w zasadzie to, jak naiwnie tłumaczył się w sądzie. Pytano go, czemu, mając wiedzę o tym, że kuria dostała więcej ziemi, niż powinna, ją sprzedawała. Analizy wykazały, że katolickie parafie diecezji legnickiej otrzymały bezprawnie grunty warte co najmniej 1,2 mln złotych. Na ławie oskarżonych posadzono byłych pracowników Urzędu Wojewódzkiego i Agencji Nieruchomości Rolnych. Zarzucono im niegospodarność i działanie na szkodę interesu publicznego. Jednego uniewinniono, inny usłyszał orzeczenie o warunkowym umorzeniu postępowania. Według przepisów kościelne osoby prawne mogły otrzymać zwrot nie większy niż 15 hektarów ziemi rolnej od skarbu państwa. Zdarzało się jednak, że dostawały od 28 do 44 hektarów. Wydano aż 46 nieprawidłowych decyzji. Według zeznań księdza Lisowskiego już w 2004 roku wszyscy obdarowani proboszczowie upoważnili go do sprzedaży otrzymanej ziemi. Co było zrobić? Ksiądz więc ją sprzedał.

Niedawno dowiedzieliśmy się, jak kiepski biznes na sprzedaży tych nieruchomości zrobił Kościół. Dopiero w 2022 roku udało się uzyskać dostęp do bazy danych, które pokazują, jaką dotację w ramach Wspólnej Polityki Rolnej Unii Europejskiej z lat 2015–2020 otrzymali właściciele ziemscy. Lisowski w 2004 roku sprzedał Piotrowi T. 228 hektarów gruntów rolnych za 800 tysięcy złotych. Ścinawski rolnik zrobił na tej transakcji interes życia. Z kolei obywatel Polski i Niemiec z Essen Gustaw B. kupił od Lisowskiego 223 hektary za przeszło 724 tysiące złotych. I tym razem była to państwowa ziemia przekazana parafiom za darmo. No i teraz niespodzianka. Piotr T. tylko w latach 2015–2017 dostał od Unii przeszło milion euro, co dawało w chwili ujawnienia tych danych ponad 4,7 miliona złotych. Gustaw B. otrzymał w latach 2015 i 2016 1,1 miliona euro, a więc 5,4 miliona złotych. Rzecz jasna obaj rolnicy mieli jeszcze inną ziemię, ale na pewno sporo zyskali na zakupie.

Zajrzałem głębiej do przepisów i ustaliłem, że rolnik posiadający 200 hektarów w 2015 roku mógł liczyć na naprawdę sporo. Podstawowe dopłaty bezpośrednio wtedy wynosiły:

- jednolita płatność obszarowa (JPO) – 453,70 zł/ha,
- płatność za zazielenienie – 304,31 zł/ha.

Zakładamy, że rolnik nie spełniał kryteriów płatności dla młodego rolnika, a dopłata dodatkowa przysługiwała tylko dla pierwszych 150 ha. Wynika więc, że otrzymał 177 118,50 złotych za 200 hektarów. Gdyby się okazało, że na ziemi coś uprawiał, na przykład buraka cukrowego, pozyskałby 430 202 złote dodatkowo. Kupił więc za tyle, ile dostał za rok, choć nie sprzedał. Piękny biznes!

I co na to nasz rolnik z Essen, kiedy „Wyborcza” zapytała go o sprawę? „Skąd pan jest? Z »Wyborczej«? To tamten w jarmułce jest współwłaścicielem? Michnik? To on jeszcze żyje? Jest taki artykuł *Pejsaci przy okrągłym stole*, tym się zajmijcie, cześć” – odpowiedział tylko. Ot, taki humor kolegi gospodarza. Ktoś skomentował to w sposób następujący: „Nikt za to nie poniósł odpowiedzialności. Nie dziwi mnie to. Bo czy któryś z duchownych poniósł odpowiedzialność za działanie Komisji Majątkowej, w związku z pracami której państwo straciło miliardy?”.

Pora na następnego barona na legnickich włościach. Ksiądz doktor Andrzej Jarosiewicz to były sekretarz biskupa Tadeusza Rybaka. Pisałem w *Plebani* o jego dziwnej relacji z chłopakiem z *Top Model*. Kiedy powstawał film o nim *Kim jest Adrian*, ksiądz nagle odszedł z lukratywnej parafii w Bolesławcu. W mieście huczało od plotek o młodym przyjacielu proboszcza, który pojawia się obok niego i podobno, jak sam mówi, wydaje dziesiątki tysięcy złotych na ubrania, rozbija się po świecie, a nawet prezentuje filmiki z łazienki na plebanii. Prasa, która zainteresowała się parą, pisała:

Dzisiaj Adrian mocno udziela się w sieci i jest influencerem. Prezentuje ubrania drogich projektantów i dużo podróżuje. Twierdzi, że wydaje 20 tysięcy złotych miesięcznie na markową odzież, obuwie i dodatki. Mówi otwarcie, że jest homoseksualistą, równocześnie stwierdza jednak, że z księdzem Jarosiewiczem łączyły go jedynie stosunki przyjacielskie. Filmy i zdjęcia, które umieszczał w sieci, mogą temu zaprzeczyć. Kapali się razem w jacuzzi, wyjeżdżali wspólnie na drogie wakacje, a na filmach umieszczanych przez Adriana na YouTube można zobaczyć odbicie księdza w lustrze. Mieszkańcy Bolesławca wymieniali się także zdjęciami, które zrobili parze znajomych na zakupach w sklepie.

Co na to proboszcz? „Do tej decyzji dojrzywałem przez kilka miesięcy. Jeszcze raz powtórzę, do tej decyzji dojrzywałem przez kilka miesięcy. Przy tej decyzji pomogły mi także odprawione we wrześniu rekolekcje z moimi kolegami kursowymi w jednym z klasztorów dolnośląskich. (...) Proszę was także, abyście z szacunku do siebie i do mnie nie wsłuchiwali się w głos fałszywych proroków, ludzi, którzy są ateistami, którzy nie mają nic wspólnego ze wspólnotą Kościoła. Bo oni mają zawsze najwięcej do powiedzenia w sprawach życia Kościoła” – mówił w bolesławieckiej świątyni ksiądz Andrzej Jarosiewicz. No, ale w Węglińcu, do którego został przeniesiony, nastąpiło jakby nowe otwarcie. Sprawy księdza wróciły do mediów.

„Według mojej wiedzy w diecezji legnickiej nie ma ustalonego cennika za usługi religijne. Uprawnienia do opracowania takiego cennika ma Konferencja Episkopatu. W Polsce Konferencja Episkopatu takiego nie opracowała. Kwestię opłat za dokumenty kancelaryjne i usługi religijne pozostają sprawą otwartą do ustalenia między petentem a duszpasterzem. Zazwyczaj jest to ofiara. Na prośbę zainteresowanej osoby duszpasterz może wystawić potwierdzenie wpłaty. W związku z tym, że nie jestem osobą kompetentną do udzielania odpowiedzi w imieniu Kurii, proszę podobne pytania w przyszłości kierować do Rzecznika Kurii” – napisał ksiądz Tomasz Kołodziej, sekretarz biskupa legnickiego. Tymczasem wierni z Węglińca twierdzą, że jest inaczej.

W parafii Najświętszego Serca Pana Jezusa, którą objął Jarosiewicz, opłata za mszę pogrzebową wynosi 900 złotych, rodzice dzieci przystępujących do pierwszej komunii świętej mają zapłacić za każde dziecko 800 złotych. Opłata za dokumenty wystawiane przez księdza to 30 złotych, za wypominki – 50 złotych. Ksiądz Andrzej to człowiek honorowy. Nie upadnie tak nisko, żeby grzebać zmarłych taniej. I ja to rozumiem. W Bolesławcu umiał się urządzać. Na brak gotówki z pewnością nie mógł narzekać. No, ale żeby wrzeszczeć na żałobników?

Oto opis jego zachowania z grudnia 2024 roku: Rodzina zmarłej pani Władysławy miała jedynie 400 złotych dla księdza, który miał ją pochować. Krewny opowiadał, że nie skończyło się na kulturalnej wymianie zdań: „Ksiądz za mną wyleciał, rzucił we mnie kopertą i powiedział, żebym sobie znalazł »innego idiotę«, który pochowa babcię za tyle pieniędzy”. Taki ksiądz znalazł się w parafii w Lubaniu.

To ciekawe, ale zbierając materiały do tej książki, dowiaduję się, że proboszcz ma na sumieniu znacznie więcej.

„Nie ma praktyki odprawiania mszy wieczystych w parafiach diecezjalnych. Ja przynajmniej nigdy z czymś takim się nie spotkałem” – wyjaśniał wyraźnie poruszony pytaniami dziennikarzy ksiądz Waldemar Wesołowski, rzecznik diecezji legnickiej. „Takie msze są odprawiane przez niektóre zgromadzenia zakonne lub sanktuaria”. Nazwa „wieczyste” oznacza, że będą one sprawowane tak długo, jak istnieje dane zgromadzenie czy sanktuarium, czyli, można powiedzieć, na wieki wieków amen. Zakony, które msze wieczyste odprawiają, mają na to zgodę papieża. „W prawie kanonicznym nie zostało to uregulowane, ale jest zwyczaj, że trzeba mieć zgodę, ponieważ jest to związane z ogromną odpowiedzialnością. Zakony czy sanktuaria biorą ją wspólnie za takie msze”. No i ksiądz Bogusław Wolański, następca księdza Andrzeja, ma problem: „Zaraz po moim objęciu probostwa zaczęły się zgłaszać osoby z zapytaniem o zamówione przez nich msze wieczyste. I wtedy, zaniepokojony sytuacją, postanowiłem, że zapytam o tę kwestię biskupa”.

Pytany, czy nie zostały może jakieś dokumenty w tej sprawie po poprzedniku, rzecznik diecezji odpowiada: „Nie pozostawił ani księgi intencji mszy wieczystych, ani funduszu, który zajmowałyby się ofiarami składanymi na te msze. Teoretycznie, jeśli nawet byłyby takie msze dopuszczone, to powinna być księga intencji, a w bazylice bolesławieckiej jej nie ma. Powinno być też przekazanie ofiar, które zostały złożone na poczet tych mszy. Ich również nie ma”.

Pieniądzy nie ma. Nie ma też biskupa, który by chciał wyciągnąć w sprawie jakieś konsekwencje. Biskup bowiem lubi spokój i pretensję ma jedynie o to, że znów o jego diecezji jest głośno.

Najbardziej jednak irytuje mnie chamstwo kleru.

To miała być zwykła msza. Zwykła, jeśli cokolwiek jest zwykłe, gdy modlą się dzieci i nauczyciele z ośrodka szkolno-wychowawczego. Kościół św. Jadwigi Śląskiej w Złotoryi, piątkowe popołudnie. W ławkach cicho, pokornie, jak zawsze. Wierni pochylają głowy, a dzieci przyklękają w zbyt dużych kurtkach. I wtedy wychodzi on, ojciec Kryspin Zenon Bernat, franciszkanin. Staje na ambonie z kazaniem, które w kilka minut zrujnowało nie tylko atmosferę mszy, ale i zaufanie, jakim wielu

z obecnych darzyło instytucję Kościoła. Zamiast słów Ewangelii padają takie, których nikt się nie spodziewał – ani dzieci, ani ich wychowawcy.

– Swołocz, którą należy przepędzić – mówi, patrząc z góry na zgromadzonych.

Chwila ciszy. Ktoś porusza się niespokojnie w ławce. Nauczyciele spoglądają po sobie, nie wierząc własnym uszom. Duchowny mówi dalej, jakby odprawiał nie mszę, lecz polityczny mityng:

– Poprzewracało się wam w głowach od dostatku – cedzi z pogardą. – Macie misję, a nie prawo pytać o pieniądze.

Opowiada o nauczycielce, która rzekomo nie chodzi do kościoła, bo „nie ma się w co ubrać”, a tymczasem „w szafie ma piętnaście sukienek i pięćdziesiąt par butów”. Ktoś wstaje. Ktoś jeszcze. Kilkoro nauczycieli, dotkniętych do żywego, w milczeniu opuszcza świątynię. I wtedy pada dobitne: „Uderz w stół...” – jakby wyjście tych ludzi było potwierdzeniem jego racji. Jakby ich ból był dowodem, że zasłużyli.

Kilka godzin później w internecie wrze. Relacje świadków, nagłówki, szok. Portal 24legnica.pl opisuje całą sprawę jako skandal. Przychodzą przeprosiny. Na stronie parafii pojawia się oświadczenie: „W żaden sposób nie odzwierciedlają one naszych opinii ani przekonań. (...) Jest nam niezmiernie przykro, że takie słowa padły z ust franciszkanina”. Ale mleko już się rozlało. W cieniu ołtarza ktoś nazwał nauczycieli – tych samych, którzy przyszli się modlić, może szukać siły – swołoczą, a dzieci były tego świadkami. To nie była pomyłka. To nie był lapsus językowy. To był akt pogardy ubrany w habit.

Z jednym z moich informatorów spotykam się zaraz po przyjeździe do Legnicy. Jest uśmiechnięty. Ubrany po cywilnemu. Zasypuje mnie komplementami, że co prawda nie zgadza się ze mną w wielu sprawach, ale mimo wszystko widzi w moich książkach potencjał i wynika z nich wiele dobrego dla Kościoła. Park Miejski okazuje się doskonałym miejscem na rozmowę, która będzie miała wiele przełomów i potrwa kilka godzin. W jej trakcie kupimy kawę i po spacerze coś na ząb. Wreszcie zaprowadzi mnie do jakiegoś mieszkania.

Nie chcę opisywać tego księdza dla jego dobra. Mówi spokojnie, bez emocji, czasem z ironią, czasem z wyraźnym bólem. Przed nim leży telefon – nagrywa. Po prostu chce być bezpieczny, bo to, co opowiada, dotyczy

jednej z najbardziej zamkniętych i wpływowych instytucji w Polsce: Kościoła katolickiego. A dokładniej – diecezji legnickiej.

– Zdradziłem system i jestem z tego dumny – mówi.

Zaczyna od jednego z najbardziej wpływowych proboszczów w diecezji, który, jak twierdzi, miał teczki na wszystkich: na księży gwałcących kobiety na misjach, na molestujących chłopców, na biskupów, świeckich, a nawet urzędujących w Watykanie.

– Kiedyś przy whisky wartej półtora tysiąca pokazywał mi dokumenty na księdza, który wrócił z misji z zarzutami gwałtu. Trzymał wszystko jak archiwista mafii.

Dla mojego rozmówcy to nie była jedyna rana. Informuje mnie wprost o swojej biseksualności, o tym, jak w seminarium księży dobierali się w pary, jak funkcjonowały ciche układy, jak homoseksualność była wszechobecna, ale zakryta woalem hipokryzji.

– Dziewięciu na dziesięciu księży, których spotkałem na Grindrze, wysyłało najpierw zdjęcie penisa, dopiero dziesiąty twarz.

Ostatnią mszę odprawił z kadzidłem, chórem i pełną pompą. Jakby to była prymicja. Żegnali go uczniowie – z butelkami Jacka Daniel’sa. W diecezji nikt jeszcze nie wiedział. Potem tylko jeden esemes do sekretarza biskupa. Dwa tygodnie później dostał pierwsze upomnienie kanoniczne, potem drugie, aż zawieszono go w obowiązkach.

– Biskup nie zadzwonił, nie napisał, nawet nie próbował rozmawiać. Miał wszystko w dupie – mówi.

Przełożeni, o których opowiada, to ludzie bez właściwości. Cichy – bierny, mierny, wierny. Kiernikowski – choleryk, który krzyczał w zakrystii. Siemieniewski – oderwany od rzeczywistości, nieobecny w diecezji, niewidzialny dla księży.

– Jak dzwonisz do biskupa i mówisz o przestępstwie, opowiada bajeczkę obok. To absurd. Mój proboszcz miał komputer zapchany gejowską pornografią. Zostawił mi go do naprawy. Nie wiedział, że nie zamknął zakładek – kontynuuje.

Po odejściu z kapłaństwa rozmówca próbował pracować w szkole. Miał kwalifikacje, doświadczenie. Dopóki proboszcz nie zadzwonił do dyrektora: „Zobaczy pan, pan też stołek straci”. Nie minęły trzy dni, a dyrektor odwołał decyzję o zatrudnieniu. Inna dyrektorka zaliczyła wizytę proboszcza, który rzucił na odchodne: „Zobaczysz, jak skończysz”. Kiedy

rozmówca zgłaszał nadużycia, był ignorowany. Kiedy próbował mówić o prawdziwej wierze – wyśmiewany.

– Kościół nie jest dla ludzi. Jest dla siebie. Dla własnego trwania. To instytucja, która nie daje nic. Nie ewangelizuje, tylko zarządza. I tłumi wszystko, co niewygodne.

To świadectwo nie jest wyjątkiem. To głos z wnętrza systemu, który jednak powinien być wysłuchany.

– Oni uważają, że jestem zdrajcą. I dobrze. Bo zdradziłem zło i chcę żyć inaczej.

Opowiada o jednym z proboszczów, który może więcej niż biskup:

– Nikogo się nie bał. Biskupi, kurialiści podchodzili do niego jak do porcelanowego. Byłem u niego na parafii jakiś czas. Nigdy nie mogłem mu zarzucić, że zastosował wobec mnie jakiś mobbing lub szantaż, a nawet próbował mnie do czegoś zmusić. Nie było tego. Zawsze był dla mnie miły. Dostałem od niego chyba trzy i pół tysiąca za niedzielę, kiedy poprosił mnie o zastępstwo. Za pięć mszy.

Czas w diecezji legnickiej płynie jakby wolniej. Kamienice przy rynku pamiętają jeszcze pruską dyscyplinę i niemieckie nabożeństwa, ale od lat panuje tu polski Kościół – surowy i nieprzejrzysty – i nic się nie zmienia. Nadal rządzą tu proboszczowie.

Biskup Stefan Cichy kierował diecezją do 2014 roku. Na fotografiach zawsze uśmiechnięty, z pastelowym humorem opowiadał o liturgii, która była jego pasją. Ale za tym uśmiechem kryły się niewiedza, zaniechanie, a może obojętność... Gdy Watykan przeprowadził dochodzenie, wyszło na jaw, że Cichy wiedział o oskarżeniach przeciwko jednemu z księży, mimo to pozwolił mu dalej pracować w parafii. Nie zareagował. Dziś odprawia msze w zaciszu prywatnej kaplicy. Ma zakaz publicznych wystąpień. Pokuta, modlitwa i milczenie.

Jego następca, biskup Zbigniew Kiernikowski, był inny – surowy, wykształcony, związany z ruchem neokatechumenalnym. Chciał kształtować diecezję według własnego rygoru, ale nie potrafił stawić czoła przestępcom w sutannach. W maju 2022 roku Stolica Apostolska nałożyła na niego kary za „zaniedbania w sprawach nadużyć wobec małoletnich”. Zakaz wystąpień publicznych. Życie w modlitwie. I kolejny akt w teatrze cichej odpowiedzialności, w którym nikt nie mówi „przepraszam”.

Gdy w 2021 roku przyszedł biskup Andrzej Siemieniewski, diecezja miała nadzieję na nowy początek. Biblista, teolog związany ze wspólnotami charyzmatycznymi wydawał się bardziej otwarty. Ale nadzieje szybko zgasły. Nie rozliczył poprzedników. Nie przeprosił ofiar. Zachował spokój – i milczenie. Tak jakby nadużyć nie było. Jakby nic się nie stało.

W legnickiej kurii nie słyhać bicia dzwonów sumienia. Są tylko ciche dokumenty, spóźnione decyzje Watykanu i zapomniane nazwiska ofiar. W tym trójkącie biskupów jak w dobrze skrojonym ornacie wszystko wygląda poprawnie. Ale brakuje jednego: słowa prawdy.

I jeszcze na koniec przenieśmy się na chwilę do Bolesławca.

Miasto znane dotąd głównie z ceramiki, malowniczego rynku i festiwalu glinianych garnków coraz częściej pojawia się w mediach nie z powodu kultury ludowej, lecz... duchownej. A raczej tej duchowości, która dziwnie często kończy się na portalach gejowskich. Już pisałem w *Plebani*, że Bolesławiec to jakieś duchowne zagłębienie queer – i jak się okazuje, nie był to wcale żart. Przyjrzyjmy się najnowszym rewelacjom z lokalnego portalu Istotne.pl, który chyba nie bez powodu zajął się tropieniem grzeszników w koloratkach. Przy okazji serdecznie pozdrawiam osoby prowadzące to przedsięwzięcie.

Ksiądz na aplikacji randkowej? Proszę bardzo. W sutannie i z krzyżykiem.

Pierwszy tekst *Czy to ksiądz z Bolesławca na portalu randkowym dla gejów?* jest krótki, ale wystarczająco dosadny. Mieszkańcy alarmują redakcję: „Zobaczcie! To przecież nasz ksiądz! Wystawił się na randkowym portalu dla gejów!”. I rzeczywiście, profil z imieniem, twarzą i... koloratką. W opisie mężczyzna mówi o swoich „głębokich uczuciach”, „pragnieniu bliskości” i tym, że szuka „prawdziwego siebie”. Nie byłoby w tym może nic szokującego, gdyby nie fakt, że ów pan, jak donoszą czytelnicy, prowadzi regularnie msze w jednej z parafii w powiecie bolesławieckim. Portal nie podaje nazwiska ani dokładnej lokalizacji, ale pisze jednoznacznie: duchowny nie zaprzeczył, że to jego zdjęcie i profil. Odpowiedź kurii? Cisza. Oficjalnie: nie komentujemy życia prywatnego księży. „Szukał kontaktu duszpasterskiego przez aplikację?” – śmieją się miejscowi.

Drugi tekst: duchowny z Bolesławca (tu też bez nazwiska, ale ze wskazaniem, że to realna postać) opowiada otwarcie o swojej orientacji.

Mówi: „Tak, jestem gejem. Ale to nie oznacza, że grzeszę. Żyję w celibacie. Jestem wierny nauce Kościoła. Nie ukrywam się, bo nie chcę żyć w kłamstwie”.

To coś nowego. Nie portal randkowy, nie seksafera, tylko szczerość. Ale i tak wywołuje to burzę. W komentarzach wojna. Jedni piszą: „Brawo za odwagę!”, inni: „Wynoś się z Kościoła, grzeszniku!”. Kuria znowu milczy. Prawdopodobnie liczy, że sprawa sama ucichnie. Ale sprawy z Bolesławca nie cichną – przeciwnie, pulsują.

I tak oto z pozoru prowincjonalne miasto staje się symbolicznym frontem walki o to, czym dziś powinno być kapłaństwo. Czy ksiądz gej to jeszcze zgorszenie, czy już tylko „człowiek jak każdy”? Czy to podwójne życie, czy dramat ukrywanej tożsamości? Czy Kościół w ogóle potrafi udźwignąć prawdę o swoich pasterzach? Bo na razie, jak widać, nie bardzo. Milczenie kurii, memy w internecie, nerwowe spojrzenia na plebaniach. Bolesławiec – nieświadomie – stał się testem. Na szczerość. Na gotowość do rozmowy. I wygląda na to, że jeszcze nie raz o nim usłyszymy. Pytanie tylko: czy z powodu kolejnej apki z księdzem? Czy może wreszcie Kościół spojrzy odważnie w lustro?

Spis treści

WSTĘP

BÓG, BETON I BROSZURY: INTELEKTUALNA ZAPAŚ A
POLSKIEGO KLERU

JEZUICI: MIĘDZY DUCHOWOŚCIĄ A DYSCYPLINĄ,
MIĘDZY TEATREM A TRAUMĄ

CISZA I KAPLICA. ANATOMIA WŁADZY I MILCZENIA
W POZNAŃSKIM KOŚCIELE

WARSZAWA: BETON I BŁOGOSŁAWIEŁSTWO

DZIEJE GRZECU KRAKOWSKIEGO

BURSZTYNOWY TRON I CZARNA SUTANNA.

GDAŃSKI KOŚCIÓŁ OD PODSZEWKI

DIECEZJA BEZ KRÓLA. KOŚCIÓŁ LEGNICKI MIĘDZY
CUDAMI A SKANDALAMI